Adam Chmielewski

Psychopatologia życia politycznego

Podręcznik ilustrowany

Wrocław 2009

Psychopatologia życia politycznego.
Podręcznik ilustrowany

Recenzent
Jan Paweł Hudzik

© Copyright by Adam Chmielewski 2009

Tytuł ukazuje się dzięki wsparciu finansowemu
Instytutu Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego
ul. Koszarowa 3, 51–149 Wrocław
www.filozofia.uni.wroc.pl

oraz we współpracy z zespołem redakcyjnym
czasopisma Studia Philosophica Wratislaviensia
www.studiaphilosophica.pl

ISBN 978–83–7432–555–4

Korekta
Dorota Drałus

Projekt okładki
Roman Konik

Skład
Artur Pacewicz

Realizacja wydawnicza
Oficyna Wydawnicza ATUT — Wrocławskie Wydawnictwo
Oświatowe
ul. Kościuszki 51a, 50–011 Wrocław
oficyna@atut.ig.pl; www.atut.ig.pl

Spis treści

Wstęp 5

1. Walka o uznanie. Polska i Niemcy w Europie 21
2. Poszerzenie pola walki 45
3. Dlaczego polscy liberałowie potrzebują lewicy? 65
4. Kryzys 97
5. Religia a granice bezradności państwa 111
6. Ascetyzm wyuczony 132
7. Dwa świstki papieru 157

Bibliografia 181
Indeks autorów 186
Contents 190
Summary 191

Wstęp

Książka ta jest poświęcona problemom ludzkich emocji społecznych oraz sposobom politycznego zarządzania nimi. Sfera ludzkiej subiektywności jest podatna na przemiany bardziej dynamiczne niż inne aspekty życia społecznego. W swej dynamice przybiera ona ustawicznie rozmaite, coraz to nowe postacie, spośród których wiele uzyskuje miano patologicznych. To, co można uznać za psychopatologię życia politycznego, stanowiło przedmiot filozoficznego zainteresowania od czasów najdawniejszych. Wnikliwe obserwacje zjawisk psychologicznych, ujawniających się w przestrzeni politycznej ukonstytuowanej w pierwszym okresie demokracji ateńskiej, stały się podstawą dla teorii politycznych największych filozofów greckich, Platona i Arystotelesa. Rozumienie politycznego znaczenia ludzkich emocji społecznych odgrywało równie fundamentalną rolę w dziełach politycznych Niccolò Machiavellego, Thomasa Hobbesa, Jean-Jacquesa Rousseau i Johna Locke'a. Największe znaczenie w swej teorii filozoficznej przypisywał im zapewne David Hume, myśliciel Oświecenia, który, podobnie jak w innych sprawach, zachował głęboki sceptycyzm wobec oświeceniowej wiary w zdolność sprawowania przez rozum skutecznej władzy nad uczuciami, głosząc wręcz, że rozum jest i powinien być tylko niewolnikiem

namiętności[1]. Rozwój nowoczesnych demokracji, podobnie jak to było w przypadku demokracji ateńskiej, otworzył przestrzeń dla kształtowania i ujawniania się podmiotowej sprawczości politycznej indywidualnych ludzi. Dzięki postępowi społecznemu i technologicznemu przestrzeń ta otworzyła się jednak znacznie szerzej niż było to możliwe kiedykolwiek wcześniej; nic więc dziwnego, że w warunkach nowoczesnych demokracji zjawiska uznawane za patologie polityczne kształtują się i ujawniają w stopniu oraz w formach wcześniej nieznanych. Jest to powód, dla którego współcześnie zainteresowanie dla tego, co uchodzi za psychopatologie polityczne znacznie się wzmogło, przeobrażając się w samodzielny przedmiot dociekań naukowych[2].

Książka ta została napisana z teoretycznego punktu widzenia, według którego emocje odgrywają podstawową i niezbywalną rolę w funkcjonowaniu i przemianach społeczeństw ludzkich oraz że dynamika ludzkiej subiektywności spełnia fundamentalną rolę w zarówno w sferze poznania i tworzenia, jak i w sferze etycznej i politycznej. Ponieważ wraz z rozwojem społeczeństw subiektywność i emocjonalność człowieka nieustannie ujawnia się w nowych formach, spośród których wiele zagraża stabilności społecznej, to naturalnym zadaniem polityki jest inteligentne ich odczytywanie, trafne interpretowanie i innowacyjne poszukiwanie skutecznych form zarządzania nimi. Koncepcje filozoficzno-polityczne, które ignorują sferę ludzkiej emocjonalności, nie mogą być adekwatne.

Odkładając wszelako kwestie ściśle teoretyczne na inną sposobność, książkę tę poświęcam zjawiskom patologicznym w funkcjonowaniu współczesnych ustrojów politycznych, koncentrując się zwłaszcza na niektórych, specyficznie polskich ich postaciach. Jest to więc w mniejszej mierze praca teoretyczna, w większej zaś kolekcja ilustracji przejawów i objawów psychopatologii, które ze szczególnym nasileniem zapełniły polską przestrzeń publiczną. Genezą tej pracy jest szereg prób, do pewnego stopnia niezależnych od siebie, mających na celu zrozumienie

[1] David Hume, *Traktat o naturze ludzkiej*, przekł. Czesław Znamierowski, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1963, t. II, s. 188.

[2] Por. np. Krystyna Skarżyńska, *Człowiek a polityka. Zarys psychologii politycznej*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2005; Robert S. Robins, Jerrold M. Post, *Paranoja polityczna. Psychopatologia nienawiści*, Książka i Wiedza, Warszawa 2007.

obecnego stanu polskiej polityki w jej wymiarze wewnętrznym i zewnętrznym, jak również konsekwencji tego stanu.

Mówiąc bardziej konkretnie, praca ta jest głównie zbiorem ilustracji dla tezy, zgodnie z którą obecny kształt polskiej przestrzeni politycznej jest rezultatem szeregu zjawisk patologicznych o podłożu psychicznym, skutkiem tych psychopatologii jest zaś powolne osuwanie się polskiej polityki w stan degeneracji, która pod wieloma względami wydaje się już nieodwracalna. Argumentuję również, że degeneracja ta ma przede wszystkim źródło w porażce, jaką poniosły polskie elity polityczne w trafnym odczytywaniu, rozumieniu i adekwatnym zarządzaniu społecznymi emocjami polskiego społeczeństwa. Porażka ta była, moim zdaniem, kumulatywnym skutkiem nierozumienia roli, jaką odgrywa „emocjonalna zmienna polityczna" w życiu społeczeństw; nieumiejętności w zarządzaniu ludzką subiektywnością; rezultatem patologicznej uległości elit politycznych wobec niej; oraz cynicznego jej podsycania i wykorzystywania we wzajemnej walce politycznej, prowadzonej bez względu na jakkolwiek pojmowane dobro wspólne. Obecny, degeneracyjny trend polskiej polityki przypisuję zwłaszcza patologicznym formom organizowania emocji społecznych przez dominujące na polskiej prawicy postacie o charakterach nie mniej patologicznych. Z tej racji, choć książka ta ukazuje się w dwudziestą rocznicę zapoczątkowania przemian politycznych w Polsce, nie ma charakteru rocznicowego.

Patologie, o których mowa w tej książce, dają o sobie znać nie tylko na płaszczyźnie polskiej praktyki polityki, ale także w polskich doktrynalnych debatach politycznych. Ujawniają się one m.in. w specyficznie polskich sporach o rozumienie wiodących obecnie ideologii, konserwatyzmu, liberalizmu i lewicowości. Bronisław Łagowski na przykład wielokrotnie podkreślał, że rozróżnienie na lewicę i prawicę w Polsce jest rozróżnieniem nazwowym, a nie pojęciowym[3]. Zasadniczo zgadzając się z tym osądem, jestem zarazem przekonany, że nie można go ograniczać wyłącznie ani do terytorium Polski, ani do specyficznej polskiej przestrzeni dyskursu politycznego. Spośród wielu prac, które podejmują zagadnienia bliskie omawianym w tej książce,

[3] Bronisław Łagowski, *Duch i bezduszność III Rzeczypospolitej. Rozważania*, Universitas, Kraków 2007, s. 117. Na ten temat piszę nieco więcej w rozdziale 2, poniżej.

należy wymienić przede wszystkim dwie książki Franka Furediego[4]. Podobnie jak Łagowski, socjolog brytyjski w swych esejach klarownie i z zaangażowaniem argumentuje m.in. na rzecz nieaktualności tradycyjnego rozróżnienia na polityczną lewicę i prawicę. Jak pisze, „nieadekwatność słownika politycznego minionych dwóch stuleci jest najbardziej uderzająca, gdy sprawa dotyczy tradycyjnego rozróżnienia na lewicę i prawicę. Był czas, gdy te etykiety odnosiły się do różnicy między zwolennikami postępu i reakcjonistami. Mówiąc z grubsza, lewica pragnęła zmiany społecznej i dążyła do przyszłej ludzkiej emancypacji. W przeciwieństwie do niej, prawica lękała się zmian i aktywnie zabiegała o zachowanie tego, co uznawała za tradycyjne sposoby postępowania. Obecnie jednak ludzie określający się jako prawicowi — a jest ich bardzo niewielu — w mniejszym lub większym stopniu zarzucili obronę tradycji. (...). Jak prawica nie broni już tradycji, tak lewica nie jest już rzecznikiem zmiany. Ci, którzy określają się mianem lewicowych, należą dzisiaj do najgwałtowniejszych przeciwników przemian”[5]. To trafne i dobrze uzasadnione spostrzeżenie Furediego wyraża jeden z wielu powodów, dla których w przeszłości, w innej książce, podjąłem próbę zastąpienia rozróżnienia na lewicę i prawicę za pomocą dwóch odmiennych kategorii, sygnalizujących alternatywne wizje polityczne; jedną z nich można określić mianem społeczeństwa otwartego, drugą zaś mianem wspólnoty[6]. Pod tym, a także pod wieloma innymi względami, idee formułowane przez Furediego są zbieżne z argumentacją zawartą w tej książce.

Chciałbym zarazem podkreślić, że mimo pewnych zbieżności z poglądami Furediego, argumentuję tu na rzecz stanowiska, które mocno się od nich różni. Wymienione, jak również inne jego książki są bowiem wymierzone przeciwko temu, co określa on mianem subiektywizacji przestrzeni publicznej; przed-

[4] Frank Furedi, *Where Have All Intellectuals Gone? Confronting 21st Century Philistinism*, London–New York 2004, oraz tenże, *Politics of Fear. Beyond Left and Right*, Continuum, London–New York 2005.

[5] Frank Furedi, *Politics of Fear. Beyond Left and Right*, s. 9–10.

[6] Por. Adam Chmielewski, *Społeczeństwo otwarte czy wspólnota?* (Arboretum, Wrocław 2001). To powiedziawszy jednak chciałbym zastrzec, że w dalszych partiach tej książki nadal posługuję się kategoriami lewicowości i prawicowości, są to bowiem stereotypy trwale funkcjonujące w przestrzeni dyskursu politycznego, zaś całkowita rezygnacja z tych etykiet utrudniałoby analizę i krytykę tego dyskursu.

miotem swoich stanowczych potępień uczynił on czynniki subiektywne i psychologiczne, które w jego przekonaniu nie tylko zdominowały współczesną politykę państw zachodnich, zwłaszcza w Zjednoczonym Królestwie i w Stanach Zjednoczonych, ale są także aktywnie i bezwzględnie eksploatowane w demokratycznej praktyce politycznej wszystkich społeczeństw demokratycznych. Furedi twierdzi, że polityczna rola emocji i subiektywności jest jednym ze źródeł współczesnych form postmodernistycznego relatywizmu, który zwrotnie nadaje intelektualną prawomocność emocjonalności współczesnego życia społecznego, legitymizując także jej patologiczne formy. Pisze na przykład: „Postmoderniści często twierdzą, że nie istnieje jedna droga do zrozumienia. To podkreślanie różnicy dotyczy także metodologii — do prawd dociera się różnymi metodami. Wypracowanie relatywizacji metodologii jest jedną z cech charakterystycznych postmodernizmu. Opiera się on na dawnym romantycznym przekonaniu, że droga do rozumienia idzie przez subiektywność, zwłaszcza intuicję. Postmoderniści opracowali tę ideę po to, aby zasugerować, że skoro istnieje wiele prawd, to istnieje także wiele prawomocnych dróg dochodzenia do nich"[7]. Furedi obciąża winą polityczne sankcjonowanie tego specyficznie rozumianego emotywizmu za współczesne patologie społeczne, zwłaszcza w sferze edukacji, które skutkują tym, co określa on mianem filistynizmu. Jakkolwiek w tych kwestiach stanowisko Furediego zbliża się nieco do poglądów Alasdaira MacIntyre'a[8], to sądzę, iż jest nieadekwatne i niewystarczające, zwłaszcza gdy idzie o jego argumentację przeciwko relatywizmowi, kwestia ta bowiem jest znacznie bardziej skomplikowana[9].

Jest także szereg innych powodów, dla których stanowiska Furediego nie jestem w stanie zaakceptować. Chciałbym je objaśnić za pomocą odniesienia do innej książki, opublikowanej niedawno w języku polskim, a mianowicie pracy Davida Osta *Klę-*

---

[7] Frank Furedi, *Where Have All Intellectuals Gone?*, s. 62.

[8] Alasdair MacIntyre, *Dziedzictwo cnoty. Studium z teorii moralności*, przekł. Adam Chmielewski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996, oraz tenże, *Czyja sprawiedliwość? Jaka racjonalność?*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, przekł. Adam Chmielewski i in., Warszawa 2007.

[9] W tej sprawie por. Adam Chmielewski, *Niewspółmierność, nieprzekładalność, konflikt. Relatywizm we współczesnej filozofii analitycznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997.

ska „Solidarności”[10]. Obok prac Bronisława Łagowskiego[11], książka ta jest znacznie bliższa niniejszej zarówno pod względem tematycznym, jak i doktrynalnym. Amerykański politolog dogłębnie analizuje przyczyny porażki jednego z najważniejszych nurtów powojennej Europy, który najpierw zapoczątkował przeobrażenie Polski, Europy i całego świata, wzbudzając dla siebie powszechny podziw, w ciągu dwóch dekad od swojego historycznego zwycięstwa roztrwonił następnie swój dorobek i całkowicie utracił swe siły.

Ost argumentuje, że dorobek i siła tego potężnego nurtu społeczno-politycznego zostały roztrwonione wskutek intelektualnego i ideologicznego podporządkowania tego nurtu ideom prawicowo-konserwatywnego liberalizmu, doktrynalnie wykluczającego dbałość o pozycję społeczno-ekonomiczną klasy robotniczej, która ten ruch zapoczątkowała i przez kilka pierwszych lat go ożywiała. Kluczowym twierdzeniem Osta jest teza, że polscy liberałowie zaniedbali zadanie mobilizowania i organizowania fundamentalnej emocji politycznej, jakim jest gniew społeczny, w systematyczny sposób ignorując potencjał w nim zawarty. Ost twierdzi, że „nawet liberalna polityka wymaga mobilizowania, a nie ignorowania gniewu społecznego”[12], natomiast skłonność zarówno elit liberalnych, jak i kierownictwa związku zawodowego „Solidarność”, do „upatrywania w klasowym gniewie głównego zagrożenia dla demokracji”[13], doprowadziła do tego, że gniew ten został zmobilizowany pod innym kierownictwem, co nie tylko osłabiło polski ruch robotniczy, ale doprowadziło do upadku autorytet elit liberalnych, stojących na czele przemian rynkowych. Doszło do tego, ponieważ „dobrzy liberałowie obawiali się (...) namiętności, wierzyli natomiast w postęp. (...) Liberałowie nie chcieli pokierować gniewem, lecz go wytłumić”[14], „nie wierzyli, by namiętność mogła służyć cze-

[10] David Ost, *Klęska „Solidarności”. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, przekł. Hanna Jankowska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza S.A., Warszawa 2007.

[11] Por. zwł. Bronisław Łagowski, *Duch i bezduszność III Rzeczypospolitej. Rozważania*, Universitas, Kraków 2007, oraz tenże, *Pochwała politycznej bierności*, Wydawnictwo Sprawy Polityczne, Elbląg 2008.

[12] David Ost, *Klęska „Solidarności*, s. 17.

[13] *Ibid.*, s. 131.

[14] *Ibid.*, s. 213.

muś innemu niż sprawy irracjonalne"[15]. Wskutek niezrozumienia podstawowej emocji politycznej, jaką jest gniew społeczny, oraz w konsekwencji ignorowania go, potencjał zawarty w tym gniewie obrócił się przeciwko wiodącym siłom transformacyjnym Polski, które początkowo cieszyły się bezprecedensowym kredytem zaufania. „Z polskich doświadczeń wynika (...), iż taka strategia marginalizacji i protekcjonalnego traktowania jest z politycznego punktu widzenia zarówno naiwna, jak i przynosi skutki odwrotne do zamierzonych i musi ostatecznie doprowadzić do klęski samych liberałów"[16].

Sformułowaną przez Davida Osta diagnozę akceptuję i uznaję za własną. Podobnie jak on sądzę, że liberalne zaniedbanie, motywowane czynnikami doktrynalno-ideologicznymi, znacznie przyczyniło się do nasilenia i późniejszej demokratycznej legitymizacji psychopatologicznych postaw w polskiej polityce. Również jego twierdzenie, że podstawą demokracji nie jest kapitalizm, lecz sposób wyrażania sprzeciwu wobec kapitalizmu, uważam za element agonistycznej koncepcji polityki, naszkicowanej przeze mnie we wcześniejszych książkach[17].

Choć praca Osta jest znakomicie ugruntowana teoretycznie, to ma ona charakter w głównej mierze historyczny i politologiczny. Z racji odmiennych zainteresowań moje badania i refleksje poszły w odmiennym kierunku, skupiają się one bowiem nie tyle na samych procesach politycznych i historycznych, ile raczej na czynnikach psychospołecznych i politycznych, które te procesy w znacznym stopniu kształtowały i które im towarzyszyły.

Zawarta w rozdziale 1 ilustracja dotyczy polskiej polityki zagranicznej, omówionej na przykładzie stosunków polsko-niemieckich, oraz, w mniejszym stopniu, stosunków polsko-rosyjskich. Na podstawie szeregu przytoczonych przykładów argumentuję, że niekorzystny obrót w relacjach polsko-niemieckich, do jakiego doszło w 2005 roku, można interpretować jako obszar szczególnego nasilenia przejawów patologii politycznej, wskutek czego zostały one przeobrażone w poligon irracjonalnej walki

[15] *Ibid.*, s. 215.

[16] *Ibid.*, s. 224.

[17] Na rzecz zbliżonego stanowiska argumentowałem w odmiennej formie w szkicu *Kuracje dla demokracji*, w: *Walc wiedeński i walec europejski oraz inne interwencje filozoficzno-polityczne* (Atla2, Wrocław 2001, ss. 69–82); a także w: *Społeczeństwo otwarte czy wspólnota?* (Arboretum, Wrocław 2001) oraz *Dwie koncepcje jedności* (Oficyna Wydawnicza Branta, Wrocław–Bydgoszcz 2006).

politycznej i doprowadziły do degeneracji obu stron polityki wewnętrznej, zarówno lewicowej, jak i prawicowej.

Przedmiotem rozdziału 2 jest krytyczna analiza współczesnych przemian na polskiej scenie politycznej, kształtujących się w reakcji na radykalizm ugrupowań prawicowych w latach 2005–2007. Ilustracja ta dotyczy procesów politycznych oraz intelektualnych, które, przynajmniej na płaszczyźnie teoretycznej, wydawały się dawać cień nadziei na nawiązanie współpracy między formacjami o charakterze modernizacyjnym i emancypacyjnym, tj. między liberalnymi i lewicowymi. Analiza ta dotyczy w szczególności prób przejęcia poparcia społecznego przez formacje liberalne oraz lewicowe od ugrupowań prawicowych w okresie przedwyborczym w 2007 roku. Sięgając wstecz do pewnych czynników historycznych, kształtujących przebieg transformacji gospodarczej i prawnoustrojowej Rzeczypospolitej Polskiej po 1989 roku, wskazuję na płaszczyzny możliwych sojuszy doktrynalnych i politycznych między formacjami modernizacyjnymi, pokazując zarazem na psychologiczne bariery, endemiczne dla tych ugrupowań, które ten strategiczny sojusz udaremniły.

Rozdział 3 zawiera diagnozę obecnego miejsca i roli liberalizmu w polskiej przestrzeni politycznej. Jest on poświęcony analizie możliwości autentycznej uniwersalizacji egalitarnych projektów emancypacyjnych w skali kraju, deklarowanych przez formacje liberalne i lewicowe funkcjonujące na polskiej scenie politycznej; tematycznie jest więc on najbliższy treści pracy Davida Osta, a także w pewnej mierze Iry Katznelsona[18]. Wśród przyczyn obecnego kryzysu liberalizmu w Polsce wskazuję przede wszystkim na generalną tendencję do samoograniczenia się liberalnych partii politycznych w realizacji społecznych postulatów emancypacyjnych. Od początku transformacji społeczno-politycznej kraju bowiem rozmyślnie ograniczały one swe dążenia do elitarnej emancypacji niektórych podmiotów społecznych w sferze ekonomicznej, czemu towarzyszyło nie mniej rozmyślne pomijanie egalitarnych dążeń emancypacyjnych w obszarach społecznych, kulturowych i politycznych. Wskutek tego ekskluzywistycznego samoograniczenia, opuszczona przez li-

[18] Ira Katznelson, *Krzywe koło liberalizmu. Listy do Adama Michnika*, przekł. Łukasz Nysler, Andrzej Orzechowski, Lotar Rasiński, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2006.

berałów przestrzeń polityczna została wypełniona przez radykalne, nacjonalistyczno-religijne ugrupowania populistyczne, które w 2005 roku zyskały silne poparcie społeczne. Wskazuję również, że z podobną porażką spotkały się te polskie ugrupowania polityczne, które, choć nominalnie lewicowe, w praktyce politycznej realizowały politykę neoliberalną. Przedstawiam argumenty, według których stabilizacja i zwiększenie przewidywalności politycznej Polski wymagałyby podjęcia szeregu społecznych postulatów emancypacyjnych w sferze ekonomicznej, społecznej i kulturowej, które w jego opinii liberałowie winni realizować we współdziałaniu z ugrupowaniami lewicowymi.

Analiza teoretyczno-polityczna, dokonana na podstawie dość szczególnych realiów polityki polskiej, skłania jednak do negatywnej odpowiedzi zarówno na pytanie o to, czy emancypacyjne projekty liberalne i lewicowe dadzą się ze sobą pogodzić, jak również o to, czy można je poddać uniwersalizacji w praktyce politycznej. Co więcej, refleksja nad możliwościami wcielenia w życie politycznych projektów egalitarnych w skali globalnej tę negatywną konkluzję dodatkowo wzmacnia, ujawnia bowiem fundamentalne bariery polityczne, które wydają się skazywać globalne aspiracje emancypacyjne i modernizacyjne na nieuchronną porażkę.

Krytyczny stosunek do antyspołecznej, konserwatywnej odmiany zaborczego neoliberalizmu, sformułowany w rozdziałach 2 i 3, doczekał się zaskakująco rychłego wsparcia w postaci kryzysu, który z pełną siłą ujawnił się w 2008 roku. Mechanizm tego kryzysu jest przedmiotem analizy w rozdziale 4. Analiza ta, nie aspirująca do wyczerpującej, została sformułowana z perspektywy teorii ekonomicznej Josepha Schumpetera oraz z punktu widzenia analiz przewidujących głębokie osłabienie gospodarki amerykańskiej, do niedawna najsilniejszego organizmu ekonomicznego na świecie.

Przykład Stanów Zjednoczonych, wzmiankowany w rozdziale 4, wskazuje m.in. na patologiczne skutki, do jakich prowadzi dominujący wpływ instytucji religijnych na instytucje nowoczesnego państwa. Kwestię miejsca religii w życiu publicznym współczesnych społeczeństw świata zachodniego podejmuję szerzej w rozdziale 5. Argumentuję w nim, że państwo oparte na prawie religijnym wielokrotnie dowiodło, iż nie jest zdolne zapewnić pokoju i tolerancji obywatelom wyznającym

różne światopoglądy. Argumentuję także, że skoro nierozsądnie byłoby oczekiwać od religii pokory i umiaru w szerzeniu swych misji, to zadaniem państwa staje się zapewnienie warunków, w których wszyscy ludzie mogliby żyć w pokoju bez względu na swoje wyznanie. Odpowiednio do tego poddaję pod rozwagę rozwiązanie wypływające z koniunkcji dwóch rozróżnień: dystynkcja pierwsza ujmuje różnicę między uznaniem pozytywnym i negatywnym, druga zaś między uznaniem indywidualnym i kolektywnym. Wynikająca stąd polityka państwa wobec religii polegać by miała na spojeniu obu tych rozróżnień: państwo miałoby więc w negatywny sposób uznawać te grupy swoich obywateli, które okazały się niezdolne do przestrzegania zasad tolerancji względem innych, a jednocześnie gwarantować uznanie pozytywne dla praw obywatelskich wszystkich, traktowanych jako jednostki. Ta próba politycznego rozwiązania niektórych aspektów relacji między nowoczesnym państwem a religiami wypływa z przekonania, że prawowite państwo nie będzie w stanie zapewnić ochrony wszystkim jego obywatelom bez względu na ich przekonania, jeśli nie zdoła wznieść się ponad ich wzajemnie niewspółmierne aspiracje do niepodważalnej prawdy. Z pewnością nie będzie w stanie osiągnąć tego państwo, które w sporze z religiami deklaruje swą bezradność.

W jednej z wyżej wymienionych prac Frank Furedi poświęcił bardzo wiele miejsca roli społecznej i politycznej środowisk intelektualnych we współczesnym świecie. Broniąc autonomii uczonych, intelektualistów i artystów, zwracał zarazem uwagę na szereg zjawisk patologicznych, ujawniających się zarówno w otoczeniu społeczno-politycznym tych środowisk, jak i wewnątrz nich. Jego diagnoza uzasadnia zarówno stwierdzenie o rozwoju nowych form filistynizmu i wzroście ich roli społecznej, jak i dramatyczne pytanie o to, gdzie współcześnie podziali się intelektualiści, którzy mogliby stawić mu czoła.

W dwóch ostatnich rozdziałach niniejszej książki podejmuję zagadnienia podobne do tych, które skłoniły Furediego do polemicznej interwencji. Koncentruję się w nich jednak wyłącznie na polskich odmianach tych problemów. Skupiam się mianowicie na psychopatologii politycznej w formach, w jakich ujawniła się ona na styku sfery polityki z polskim środowiskiem akademickim, jak również, w konsekwencji, wewnątrz niego. Jakkolwiek wiele zjawisk patologicznych, zdiagnozowanych przez Fu-

rediego, występuje także w Polsce, to za pomocą przytoczonych faktów chciałbym wskazać, z jednej strony, jak wielka przepaść dzieli polskie środowiska naukowe i twórcze od zachodnich, z drugiej zaś pragnę pośrednio uprzytomnić, jak poważnych przewin i zaniedbań w stosunku do rodzimej nauki dopuściły się polskie władze politycznych po 1989 roku.

Odpowiednio więc rozdział 6 został poświęcony przejawom patologii politycznej wynikającym z krótkowzroczności i zaniedbań transformacyjnych polskich władz politycznych w podejściu do finansowania sfery wyższej edukacji publicznej. Skutkiem tych zaniedbań była zwłaszcza erozja potencjału politycznego i kreatywnego, wyrażającego się początkowo w entuzjazmie tych środowisk, które pierwotnie z największym optymizmem opowiadały się za transformacją kraju, aktywnie popierając polskie modernizacyjne siły polityczne. Krótkowzroczność elit politycznych jednak w szybkim tempie odebrała mu nadzieję na aktywne uczestnictwo w przemianach kraju i doprowadziła do wewnętrznej głębokiej degradacji tego środowiska.

Przedmiotem rozdziału 7 jest natomiast akt ostatecznej politycznej eksterminacji resztek optymizmu i entuzjazmu politycznego środowisk akademickich, dokonany na nich przez polityków polskiej autorytarnej prawicy. Rozdział ten, utrzymany częściowo w formie subiektywnej relacji z osobistych przygód akademickich, jakie mnie spotkały zarówno w okresie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jak i w okresie transformacji, zawiera szereg refleksji dotyczących politycznej próby uzyskania — za pomocą ustawy lustracyjnej — represyjnej kontroli politycznej nad środowiskiem cieszącym się znacznym respektem i wpływem społecznym.

Wnioski z przedstawionych w tej książce analiz są pesymistyczne. Uczucia składające się na emocjonalny kompleks nacjonalistycznego i religijnego ekskluzywizmu, mimo dekad ich kształtowania i tłumienia, wydają się zachowywać szczególnie dużą podatność do odradzania się i wydobywania spod pokrywy deklarowanej woli porozumienia i współpracy, zwłaszcza wtedy, gdy są podsycane przez pozbawionych poczucia odpowiedzialności, cynicznych polityków. Demonstrowanie uczuć wrogości i pogardy wobec przeciwnika politycznego oferuje bowiem tak wiele korzyści w walce politycznej, że rezygnację z ich eksploatacji w medialnie sterowanych społeczeństwach demo-

kratycznych należy uznać za czyste niepodobieństwo. Liberalna oświeceniowa rozumność, powiązana z pyszną wiarą w swą wyższość i skuteczność, okazuje się gwarantem jej własnej klęski politycznej, natomiast rozmaite wersje uniwersalistycznych aspiracji tej rozumności okazują się albo niemożliwe do spełnienia albo nieszczere, co prowadzi zresztą do identycznych skutków. Lekceważenie zasad egalitarnego dostępu do edukacji i hamowanie rozwoju rodzimej wiedzy naukowej stało się polską specjalnością polityczną; długie dziesięciolecia bezkarności wobec tej postawy były okresem dostatecznie długim, aby wołania o zmiany przestały być w ogóle słyszalne, zaś środowiska je formułujące tym łatwiej jest ignorować lub, w uznaniu ich znaczenia, poddawać je politycznym represjom.

John Gray, jeden z najważniejszych pisarzy filozoficznych współczesności, stwierdził, że „w epoce ewolucyjnej prehistorii świadomość wyłoniła się jako skutek uboczny języka. Obecnie jest ona produktem ubocznym mediów”[19]. Sądzę, że słowa te są tym bardziej prawdziwe w odniesieniu do współczesnej ludzkiej emocjonalności. Media bowiem niemal całkowicie wyparły instytucje edukacyjne, kulturalne i religijne z ich tradycyjnej roli sentymentalnego edukowania społeczeństw współczesnych. Media wykonują to zadanie raczej gorzej niż lepiej, a także z biegiem czasu coraz gorzej niż lepiej, jednakże ich rola w zarządzaniu ludzką emocjonalnością jest politycznie nieoceniona, albowiem, jak słusznie twierdzi Gray, ich funkcją jest „zabawianie i dostarczanie rozrywki [tej części] populacji, która — choć jest bardziej zajęta niż kiedykolwiek wcześniej — skrycie podejrzewa, że jest zbędna”[20].

John Gray został uznany za osobę, która sądzi, „iż na świecie jest o wiele za dużo ludzi, że jesteśmy plagą na tej planecie i krwiożerczą hordą, a także, że nasze pragnienie lepszego społeczeństwa nieuchronnie skończy się masowym mordem”[21]. Tim Black zastanawiał się nawet, skąd ktoś wyznający takie poglądy może czerpać motywację do codziennego wstawania z łóżka. Choć przypisana Grayowi skrajna postać pesymizmu i mizan-

[19] John Gray, *Straw Dogs. Thoughts on Humans and Other Animals*, Farrar, Straus and Giroux, New York, 2002, s. 171.

[20] *Ibid.*, s. 160.

[21] Tim Black, *John Gray, The Poster Boy for Misanthropy*, w: „Spiked”, 24, maj 2009, http://www.spiked-online.com/index.php?/site/reviewofbooks_article/6896, dostęp 25. 05. 2009.

tropii jest być może nieco karykaturalna, to sądzę, że dał on pewne podstawy do takiej opinii o nim. Pisał na przykład, że „jeżeli chce się zrozumieć wojny dwudziestego pierwszego wieku, trzeba zapomnieć o konfliktach wieku dwudziestego. Zamiast tego trzeba czytać Malthusa. Przyszłe wojny będą się toczyły o kurczące się zasoby naturalne”[22].

Jest to jedna z wielu pesymistycznych opinii, której, na podstawie zawartych tu analiz, nie potrafiłbym odeprzeć. Sformułowane tu sceptyczne wnioski na temat procesów toczących współczesną politykę, wraz z utrzymaną w tym samym tonie nutą kończącą tę książkę, stanowią według mnie istotny powód do zajęcia postawy pesymistycznej, jakiej Gray wielokrotnie dawał wyraz i sugestywnie uzasadniał. Z całą pewnością stan współczesnej polityki daje niewiele podstaw do optymizmu, każdy dzień zaś nadaje więcej wiarygodności wyżej zasygnalizowanej tezie o nieodwracalności degeneracyjnych procesów polityki, zarówno polskiej, jak i globalnej.

Adam Chmielewski
Wrocław, wrzesień 2009

[22] John Gray, *Straw Dogs*, s. 180.

Informacja bibliograficzna

Książka niniejsza powstawała etapami w latach 2005–2009; jej niektóre fragmenty były publikowane w wersjach wcześniejszych. Wszystkie ogłaszane uprzednio materiały, które weszły w jej skład, dla celów obecnej publikacji zostały poddane głębokim rewizjom i uzupełnieniom.

Rozdział 1 powstał na podstawie referatów prezentowanych przeze mnie na międzynarodowych konferencjach German Studies Association w Nowym Orleanie, Pittsburgu i San Diego w latach 2004–2007. W wersji wcześniejszej rozdział ten ukazał się w formie artykułu w tomie *Teka Komisji Politologii i Stosunków Międzynarodowych*, vol. II, pod redakcją Jana P. Hudzika (Polska Akademia Nauk, Oddział w Lublinie, Lublin 2007, ss. 250–265); jego przekład na język polski, dokonany przez Magdalenę Kawę i Agnieszkę Ziętek ukazał się w tym samym tomie (ss. 120–136).

Pierwotna wersja rozdziału 2 ukazała się we wrocławskim miesięczniku „Odra", nr 10, 2007, ss. 16–22.

Fragmenty rozdziału 3 były prezentowane na forum konferencji międzynarodowych „Tożsamość i różnica w polityce — o demokracji po komunizmie" zorganizowanej przez Oddział Lubelski Polskiej Akademii Nauk w 2007 roku, oraz „Równość w Unii Europejskiej. Teoria i praktyka", zorganizowanej przez

Instytut Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego w 2008 roku[23]. W pierwotnej wersji ukazał się on w wyżej wymienionym tomie *Teka Komisji Politologii i Stosunków Międzynarodowych*, vol. II, red. Jan P. Hudzik, Polska Akademia Nauk, Oddział w Lublinie, Lublin 2007, ss. 60–74; jego wersja angielska, w przekładzie Jerzego Adamko, została opublikowana tamże, ss. 191–205. Obecna redakcja tego rozdziału została poszerzona o wypowiedź pt. *Global Challenge to Social Democracy*, napisaną na prośbę redakcji portalu Re-Public jako głos w dyskusji na temat „Liberalism and Social Democracy: A Promising Marriage?"[24], oraz o tekst pt. *Coming of Age*, napisany na prośbę amerykańskiego oddziału The British Council[25].

Rozdział 4 ukazał się w miesięczniku „Odra", nr 2, 2009, ss. 16–21.

Rozdział 5 stanowi poszerzoną wersję referatu wygłoszonego podczas międzynarodowej konferencji „Between Politics and Aesthetics. Richard Shusterman's Pragmatism", która odbyła na Uniwersytecie Wrocławskim dnia 8 marca 2008 roku. Jedna z jego wersji, w przekładzie na język polski dokonanym przez dra Rolanda Zarzyckiego, ukazała się w tomie *Teka Komisji Politologii i Stosunków Międzynarodowych*, vol. III, pod redakcją Jana P. Hudzika, Polska Akademia Nauk, Oddział w Lublinie, Lublin 2008, ss. 81–94; w skróconej redakcji został opublikowany w miesięczniku „Odra", nr 7–8, 2009, ss. 36–43.

Część rozdziału 6 ukazała się w ogólnopolskim tygodniku „Przegląd" z 20 kwietnia 2008, ss. 34–35, oraz w tomie *Pytanie o szkołę wyższą. W trosce o człowieczeństwo*, pod redakcją Bogusławy Doroty Gołębniak (Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2008, ss. 207–212), zawierającym materiały z konferencji z udziałem Marthy Nussbaum. W obecnej wersji tego rozdziału zostały wykorzystane obszerne fragmenty artykułów Jacentego Wertyczki i Andrzeja Piwowskiego, publikowane w tygodniku „Przegląd", wywiady przeprowadzane przeze mnie z czołowymi politykami polskimi, publikowane na

[23] Materiały z tej konferencji ukazały się w: *Równość w Unii Europejskiej. Teoria i praktyka*, red. Wiesław Bokajło i Anna Pacześniak, Atla2, Wrocław 2008.

[24] http://www.re-public.gr/en/?p=301; wypowiedź ta ukazała się w miesięczniku „Le Monde diplomatique", Edycja Polska, przekł. Grzegorz Maryniec, lipiec, Warszawa 2008, ss. 18–19.

[25] Por. *Coming of Age*, w: *Talking Trans-Atlantic*, The British Council, Washington DC, 2008, ss. 40–41.

łamach pisma „Uniwersytet Wrocławski", oraz niepublikowane wcześniej relacje ze spotkań o takim charakterze.

Rozdział 7 ukazał się na portalu „Gazety Wyborczej"[26] oraz, w innej redakcji, w miesięczniku „Odra", 5, 2007, ss. 10–17.

Na ostateczny kształt tej książki miały wpływ m.in. głosy krytyczne i uwagi sformułowane przez uczestników spotkań i konferencji, na których miałem sposobność prezentować jej poszczególne rozdziały i fragmenty; byli wśród nich zwłaszcza Jeffrey C. Goldfarb (New School of Social Research), Gerald R. Kleinfeld (Arizona State University), Jan P. Hudzik (Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej) oraz Wiesław Bokajło (Uniwersytet Wrocławski). Szczególne podziękowania, za wnikliwą lekturę maszynopisu tej książki, a także za wiele innych rzeczy, składam dr Dorocie Drałus (Uniwersytet Wrocławski).

[26] http://wyborcza.pl/1,79328,4054217.html.

1.
Walka o uznanie.
Polska i Niemcy w perspektywie filozoficzno-politycznej

Rozmowy Okrągłego Stołu oraz pierwsze, nie w pełni jeszcze demokratyczne wybory, które odbyły się 4 czerwca 1989 roku, stały się symbolem końca ery realnego socjalizmu w Polsce. Wśród wielu znaczeń tej daty, rychło przeobrażonej w symbol, było również i to, iż sposób, w jaki doszło do ówczesnych przemian, dawał powody do ich interpretacji jako świadectwa trwałej zmiany tradycyjnego stosunku Polaków do własnej historii. Okres pierwszych piętnastu lat polskiej transformacji od komunizmu do demokracji był bowiem zdominowany przez ducha poszukiwań porozumienia narodowego oraz kształtowania zasad dobrej współpracy z sąsiednimi państwami, których wtedy Polsce przybyło. W okresie tym niemal wszyscy w Polsce pojmowali politykę zagraniczną jako narzędzie promowania interesu narodowego metodami współpracy i poszukiwania kompromisu, nie zaś za pomocą nieustępliwej walki w jego obronie. Albowiem akty bohaterstwa Polaków, którymi usiana jest polska historia, nawet jeżeli były w pełni usprawiedliwione, słuszne i godne podziwu, po wielokroć były spóźnionym skutkiem dążenia do naprawy błędów zawinionych przez elity polityczne narodu. W długiej perspektywie zaś, jak z tej historii jedno-

znacznie wynika, często okazywały się czcze i wyniszczające, przeobrażając się w heroiczną aureolę dla postępującej utraty podmiotowości przez państwo polskie, a w jej odzyskaniu zazwyczaj chybione i przeciwskuteczne.

Symbol roku 1989 oznaczał więc, iż Polacy uświadomili sobie, że własną historię nie tylko powinni, ale także *mogą* zmieniać drogą pokojowych negocjacji i wzajemnego porozumienia, nie zaś wyłącznie drogą militarnej mobilizacji i heroicznej walki. Nabierało wówczas siły przekonanie, iż od tego przełomowego momentu Polska będzie trwale zdolna do godzenia własnych interesów i odzyskanej tożsamość z odmiennymi interesami i tożsamościami narodowymi z obopólną, a więc także własną korzyścią, i to znacznie skuteczniej niż kiedykolwiek wcześniej. W sferze polityki zagranicznej postawa taka zapanowała także w odniesieniu do najbliższych sąsiadów, zwłaszcza wobec Niemiec. Wydawało się więc niemal pewne, że polskie przysłowie: „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem", nie zostanie ponownie podniesione do rangi naczelnej zasady polskiej polityki wobec Niemiec.

Ten moment w historii Polski szczęśliwie spotkał się z postawą narodu niemieckiego ukształtowaną pod ciężarem wojennych przewin. „Prowadzona pod międzynarodowym nadzorem reedukacja narodu niemieckiego przyniosła pożądane wyniki: Niemcy są dziś nastawieni pokojowo, są być może najmniej ksenofobicznym społeczeństwem w Europie, są gotowi do uczciwej współpracy i niesienia pomocy innym. Potępili szczerze swoją przeszłość militarystyczną, a zwłaszcza wojnę i zbrodnie dokonane pod przywództwem narodowych socjalistów. Rozpędzony proces samokrytyki doprowadził ich do zanegowania prawie całej narodowej przeszłości, także momentów wielkości, z których każdy inny naród byłby dumny. Stali się, jak ktoś powiedział, antynarodem"[1].

Przeprowadzone w Polsce w 2005 roku wybory powszechne stanowiły jednak świadectwo, że zmiana stosunku Polaków do swej historii była nietrwała. Były one początkiem nawrotu do poprzedniego sposobu myślenia. Nawrót ten był skutkiem demokratycznego zwycięstwa skrajnie nacjonalistycznych i populistycznych ugrupowań polskiej prawicy, wyznającej specyficzny rodzaj polityki eksterminacyjnej, paradoksalnie inspirowanej fi-

[1] Bronisław Łagowski, *Duch i bezduszność III Rzeczypospolitej*, s. 186.

lozofią polityczną niemieckiego prawnika Carla Schmitta, czynnie wspierającego reżym nazistowski[2]. W rezultacie tego regresu polska polityka zagraniczna została całkowicie podporządkowana polityce wewnętrznej i padła ofiarą gwałtownych i brutalnych sporów toczących się w jej łonie. Szereg incydentów w najnowszych stosunkach polsko-niemieckich, które zostały zamknięte klauzulą wyborów powszechnych jesienią 2007 roku, zasługuje na zainteresowanie, także z filozoficznego punktu widzenia.

Ekstaza pojednania

Od czasu symbolicznego spotkania zorganizowanego w byłej rezydencji rodziny von Moltke w miejscowości Krzyżowa (Kreisau) na Dolnym śląsku, podczas którego rosły kanclerz Helmut Kohl uścisnął drobnego Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego polskiego premiera w postkomunistycznej Polsce, oba kraje otworzyły sobie nawzajem drogę do długo oczekiwanego pojednania. Kolejne rządy niemieckie odegrały istotną rolę w realizowaniu głównych polskich aspiracji, sformułowanych przez byłego ministra spraw zagranicznych, Krzysztofa Skubiszewskiego w kwietniu 1993 roku; ich celem było trwałe powiązanie Polski z Zachodem przez jej przystąpienie do NATO i Unii Europejskiej.

Symboliczne wydarzenie w Krzyżowej pociągnęło za sobą liczne niemiecko-polskie inicjatywy, które umożliwiły Polsce „powrót do Europy" i zapoczątkowały proces, który pozwolił Europie, jak mówił Jan Paweł II, „oddychać dwoma płucami". Wśród najistotniejszych ówczesnych inicjatyw najważniejszą było powołanie 29 sierpnia 1991 roku Trójkąta Weimarskiego przez ministrów spraw zagranicznych Francji, Niemiec i Polski, Rolanda Dumasa, Hansa Dietricha Genschera i Krzysztofa Skubiszewskiego. Przez piętnaście lat był to nieformalny, lecz bardzo skuteczny instrument zabezpieczania polskich interesów w europejskiej grze. Został on ustanowiony w przekonaniu, że „Francja, Niemcy i Polska tworzą wspólnotę interesów, która zmierza do sukcesu Europy". Jej ojcowie apelowali do swoich narodów i rządów „o kontynuację na drodze powszechnej odpowiedzialności Polaków, Niemców i Francuzów". Wzywali także społe-

[2] Na temat filozofii politycznej Carla Schmitta por. „Studia Philosophica Wratislaviensia" 1, 2009, red. Dorota Drałus, Instytut Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław, 2009.

czeństwa tych trzech krajów do podjęcia działań w celu efektywnego stawienia czoła wyzwaniom stojącym przed współczesną Europą. Należy podkreślić, że Trójkąt Weimarski był szczególnie ważny dla Polski. Jej przystąpienie do NATO, które nastąpiło 12 marca 1999 roku, i późniejsza akcesja do Unii Europejskiej, do której doszło 1 maja 2004 roku, nie byłyby możliwe bez poparcia Francji i Niemiec. Było ono możliwe głównie dzięki wpływowi wywieranemu przez te kraje nie tylko na te instytucje ponadnarodowe, ale również na ich otoczenie geopolityczne, w szczególności na Rosję. Znaczenie Trójkąta Weimarskiego jest widoczne szczególnie wtedy, gdy porówna się go z Grupą Wyszehradzką, zwaną także „polską osią geopolityczną"[3], składającą się z Republiki Czeskiej, Węgier, Polski i Słowacji, która okazywała się systematyczną nieskutecznością zarówno przed wielkim rozszerzeniem Unii Europejskiej z 2004 roku, jak i po nim.

W okresie pierwszych piętnastu lat transformacji Polski i Europy rozwijało się wiele niemiecko-polskich stowarzyszeń, fundacji i lokalnych inicjatyw. W 2000 roku kanclerz Gerhard Schröder zapowiedział powołanie przez niemiecki rząd fundacji finansowanej przez przemysł, której celem była wypłata odszkodowań za pracę przymusowym robotnikom, jak również więźniom obozów koncentracyjnych z czasów nazistowskiego reżimu. Znaczną część z 76 milionów euro przeznaczonych na ten cel otrzymali obywatele polscy. Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, która dysponowała znacznymi środkami na wspieranie projektów kulturalnych, naukowych i artystycznych, założona przez Niemiecką Centralę Wymiany Akademickiej (DAAD) i Instytut Goethego, znacznie zwiększyła swą ofertę dla polskich naukowców, studentów oraz artystów. Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży oraz Fundacja „Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość" to inne przykłady symbolicznego zbliżenia. Znaczącą rolę odegrała działająca w Polsce zwłaszcza Fundacja Friedricha Eberta, będąca organizacją pozarządową SPD, której rola była tym większa, że przez istotną część tego okresu władze w Niemczech sprawowała niemiecka socjaldemokracja. Wiele pomniejszych fundacji działało i nadal działa w Polsce, na przykład Fundacja im. Róży Luksemburg, stowarzyszona z niemiecką lewicą (*Die Linke*) lub Centrum im. Willy'ego Brandta

[3] Simon Araloff, *The Visegrad Group. Polish Geopolitical Axis*, www.axisglobe.com, dostęp 27 lutego 2006.

przy Uniwersytecie Wrocławskim, założone w 2002 roku. Również Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego stał się beneficjentem ówczesnego okresu zbliżenia, albowiem jego obecna siedziba — dawne koszary Wehrmachtu, a następnie Armii Czerwonej — została przystosowana do celów dydaktycznych i naukowych dzięki wsparciu ze strony Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Procesom tym towarzyszyły liczne obustronne kontakty polskich i niemieckich polityków różnych szczebli, pełniąc funkcję stymulującą dla dalszej współpracy na innych obszarach, w tym międzyregionalnym. Można więc, bez popraania w przesadę, uznać, że w okresie pierwszych piętnastu lat po 1989 roku relacje niemiecko-polskie były najlepsze w tysiącletniej historii sąsiedztwa obu krajów.

Podsumowując charakter dwustronnych relacji pomiędzy Niemcami i Polską w okresie poprzedzającym przyjęcie Traktatu Nicejskiego, które nastąpiło dnia 26 lutego 2001 roku, należy stwierdzić, iż Niemcy usilnie i na różne sposoby starały się zapewnić Polsce silną pozycję międzynarodową. Znalazło to ważkie potwierdzenie m.in. w tym, iż zgodnie z ustaleniami nicejskimi Polska zyskała możliwość tworzenia koalicji, które umożliwiały blokowanie pewnych decyzji Unii Europejskiej, co było równoznaczne z przyznaniem Polsce prawa weta wobec decyzji europejskich. Ten gest uznania dla Polski, uzyskany dla niej w wyniku nacisku Niemiec, odegrał ważną rolę w pozyskaniu publicznego wsparcia dla akcesji Polski do Unii Europejskiej, które wcale nie było pewne, zważywszy na histeryczną opozycję wobec Unii ze strony wielu narodowych i religijnych ugrupowań w Polsce, szczególnie ugrupowań skrajnie prawicowych oraz chłopskich, jak również niektórych reprezentantów Kościoła katolickiego. Podczas decydującego etapu negocjacji dotyczących warunków polskiej akcesji do Unii Europejskiej w Kopenhadze 13 grudnia 2002 roku, Gerhard Schröder zdecydował o przyjęciu zaskakującego i w istocie wysoce kłopotliwego żądania polskiego premiera Leszka Millera dodatkowego miliarda euro dla Polski w budżecie Unii Europejskiej na lata 2004–2006, mimo iż wszystko było już wcześniej ustalone i uzgodnione. Jakkolwiek pod wpływem nalegań polskiego premiera te dodatkowe pieniądze Polska wówczas otrzymała, to w istocie pochodziły one z innej puli, która tak czy inaczej miała przypaść Polsce. Wszystko to stanowi dowód na to, że w ciągu piętnastu lat trans-

formacji Niemcy starały się zaspokoić zarówno racjonalne, jak i niekiedy nierozumne polskie roszczenia tylko po to, aby pozyskać państwo i społeczeństwo polskie dla Unii Europejskiej. Problemy rozpoczęły się z chwilą, gdy integracja stała się już nieodwracalna.

2005 — punkt zwrotny

Kiedy nowo wybrana niemiecka kanclerz Angela Merkel odbyła swoją pierwszą oficjalną wizytę w Rosji, uznano, że w ciągu zaledwie tygodnia udało się jej osiągnąć więcej niż osiągnął Gerhard Schröder w ciągu kilku lat swojej kadencji kanclerskiej, podczas której był krytykowany za zbyt przyjacielskie relacje z Władimirem Putinem[4]. Nawet jeśli był to komentarz nieco przesadzony, to należy stwierdzić, iż Angela Merkel poradziła sobie z Rosją całkiem dobrze. W tym samym czasie i z tego samego powodu nie można było przypisać kanclerz podobnych sukcesów w relacjach z Polską; wręcz przeciwnie. Jeżeli rok 2002 został uznany za rok przełomowy w stosunkach niemiecko-amerykańskich w negatywnym sensie[5], to można to samo powiedzieć o roku 2005 w odniesieniu do relacji niemiecko-polskich. Niemieckie i polskie wybory parlamentarne w 2005 roku stały się punktem zwrotnym, który oznaczał zdecydowaną zmianę na gorsze. Problemy towarzyszące stosunkom niemiecko-polskim należy postrzegać na tle wydarzeń z lat wcześniejszych, jak również z bardziej odległej przeszłości. Począwszy od wyborów parlamentarnych, przeprowadzonych w obu krajach jesienią 2005 roku, relacje pomiędzy niemiecko-polskimi rządami zmieniły się z przyjacielskich i wzorowych w stan wojny toczonej na ostre i zimne słowa. Jeżeli wzmiankowane wyżej problemy w procesie pojednania stanowiły poważną przeszkodę w akceptacji przez Polskę zasad kompromisowej polityki europejskiej przed 2005 rokiem, to po tej dacie problemy te były uporczywie wykorzystywane przez nowo wybrane partie w ich konsekwentnie wojowniczej retoryce, którą posługiwały się one w formułowaniu nowego stanowiska Polski w większości europejskich kwestii.

---

[4] „Der Spiegel", 12 grudnia 2005.

[5] Stephen F. Szabo, *The Poisoned Relationship. Germany, The United States, and the Election of 2002*, [w:] *A Precarious Victory. Schröder and the German Elections of 2002*, (eds.) David P. Conradt, Gerald R. Kleinfeld, Christian Søe, Berghahn Books, New York–Oxford 2005, p. 201.

W 2005 roku rząd polski został uformowany przez prawicową populistyczną partię Prawo i Sprawiedliwość, kierowaną przez Jarosława Kaczyńskiego. W wyborach prezydenckich, które odbyły się dwa tygodnie po wyborach parlamentarnych, jego brat bliźniak Lech Kaczyński został wybrany prezydentem Rzeczpospolitej Polskiej, zastępując na tym stanowisku Aleksandra Kwaśniewskiego, postrzeganego jako symbol postkomunistycznego establishmentu. Zwycięska partia Prawo i Sprawiedliwość stanowiła formacją radykalnie nacjonalistyczną, populistyczną i skrajnie antypostkomunistyczną. Wygrała wybory, choć nieznacznie, pod hasłami usunięcia z przestrzeni publicznej skorumpowanej sieci elit określanej jako „układ", symbolizowanej przez karciany stół, przy którym biznesmeni, skorumpowani politycy, a także byli i obecni agenci tajnych służb oraz tendencyjni dziennikarze rozgrywają grę przeciwko polskiemu interesowi narodowemu. Program Prawa i Sprawiedliwości miał niewiele wspólnego z konstruktywną wizją polskiej pozycji w Unii Europejskiej i był zogniskowany na sprawach wewnętrznych, które miały zostać rozwiązane nie tyle drogą modernizacji kraju, ile przez jego oczyszczenie z byłych współpracowników komunistycznych tajnych służb i z postkomunistów.

Oczekiwana koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Platformą Obywatelską, partią bardziej nowoczesną i lepiej obeznaną ze sprawami międzynarodowymi, okazała się niemożliwa z powodu personalnych urazów pomiędzy ich liderami. Lech Kaczyński wygrał wybory prezydenckie przeciwko liderowi Platformy Obywatelskiej, Donaldowi Tuskowi, dzięki upublicznieniu faktu, iż dziadek Tuska, wywodzącego się z Kaszub, walczył podczas II wojny światowej w Wehrmachcie. Wskutek niezdolności do porozumienia przez dwie największe partie, Prawo i Sprawiedliwość uformowało w zamian koalicję z populistyczną Samoobroną, kierowaną przez przywódcę chłopskiego Andrzeja Leppera, oraz ultrakatolicką, ksenofobiczną i homofobiczną partią Liga Polskich Rodzin, kierowaną przez Romana Giertycha[6].

[6] Stefan Meller, doświadczony dyplomata reprezentujący koła liberalne w Polsce, który początkowo zgodził się zostać ministrem spraw zagranicznych w rządzie Prawa i Sprawiedliwości, po pewnym czasie zrezygnował ze stanowiska. Został zastąpiony przez Annę Fotygę, osobę o szczególnych predylekcjach do autokompromitacji, znaną z niezdolności do podjęcia jakiejkolwiek decyzji bez wcześniejszej konsultacji z prezydentem Lechem Kaczyńskim.

Giertych był również honorowym prezesem Młodzieży Wszechpolskiej, jeszcze bardziej radykalnej i antysemickiej organizacji, która zdobyła rozgłos, gdy jeden z jej liderów został uchwycony przez fotografa w geście nazistowskiego pozdrowienia[7]. Jego ojciec, Maciej Giertych, deputowany do Parlamentu Europejskiego, zyskał z kolei rozgłos swymi publicznymi pochwałami dla generała Francisco Franco i Antonio Salazara jako wzorowych postaci ucieleśniających wartości europejskie, oraz swoją publikacją antysemickiej broszury opatrzonej logo Parlamentu Europejskiego, na co, naturalnie, nie miał pozwolenia Parlamentu; za to nadużycie został później upomniany.

Początkowo niewiele oznak zapowiadało nadchodzącą zmianę w polskiej polityce w stosunku do Niemiec, tym bardziej, że lider zwycięskiej partii, Jarosław Kaczyński, własną wizji przyszłej Polski określił mianem „drugiej Bawarii". Zostało to odczytane jako pośrednia aluzja do obietnicy Lecha Wałęsy przekształcenia kraju w „drugą Japonię". Należało przypuszczać, iż oczywiste znaczenie tego porównania obejmuje religię katolicką, dominującą w Bawarii, symbolizowaną przez papieża Benedykta XVI, Bawarczyka, wieloletniego współpracownika i następcę Jana Pawła II, pozostającego ikoną polskości dla Polaków. Istniała także pewna nadzieja, że wizja „drugiej Bawarii" obejmie również nowoczesny przemysł rozwijający się w Bawarii, symbolizowany przez BMW, Siemens i Audi, tamtejsze wiodące przedsiębiorstwa. Optymistyczne oczekiwania pod tym względem okazały się jednak całkowicie chybione; wkrótce stało się też jasne, że bliźniacy przejęli władzę w Polsce z zamiarem budowania „nowej Bawarii" zgoła przeciwko samym Niemcom.

Kampania wyborcza oraz późniejsza polska polityka zagraniczna zostały zdominowane przez hasła obrony interesu narodowego. Zarówno polityka wewnętrzna, jak i zagraniczna, zostały podporządkowane tzw. „polityce historycznej", co stanowiło zapowiedź tego, iż zorientowane przyszłościowo modernizacyjne działania polityczne ustąpią pierwszeństwa polityce roszczeń odszkodowawczych za krzywdy i zniszczenia doznane przez Polskę w przeszłości.

[7] Giertych został ministrem edukacji i jednym z jego obowiązków była organizacja wycieczek młodych Izraelczyków w Polsce, podczas których odwiedzali byłe nazistowskie obozy zagłady. Jeden z jego antysemickich komentarzy skłonił izraelski rząd do stwierdzenia, że nie zamierzają z nim współpracować.

Zgodnie z tą linią polityczną, miejsce Polski w Europie zostało określone przez nowy rząd za pomocą postrzegania Niemiec i Rosji jako wiodących zagrożeń dla polskiego bezpieczeństwa narodowego. Współpraca tych dwóch krajów, szczególnie przy budowie rurociągu gazowego North Stream, który ma przebiegać po dnie Morza Bałtyckiego z pominięciem terytorium Polski, służyła jako niepodważalny dowód spisku dwóch zewnętrznych wrogów przeciwko Polsce. Polskie bezpieczeństwo narodowe mogło zyskać autentyczną ochronę tylko dzięki Stanom Zjednoczonym. Ostatecznie więc polityka historyczna skutkowała w praktyce odnowieniem przedwojennej, katastrofalnej dla Polski polityki dwóch wrogów oraz ślepym i bezkrytycznym proamerykanizmem. To, co nastąpiło potem, było groteskowym spektaklem demonstracyjnej wrogości i podejrzeń wobec Europy oraz skrajnie upokarzającej i chybionej służalczości wobec Ameryki.

Zmagania o uznanie — kilka przykładów

W dobrze znanym dowcipie pacjent przychodzi do lekarza i zwierza się ze swej dolegliwości: „Panie doktorze, wszyscy mnie ignorują…". Doktor odpowiada: „Następny proszę!".

Coś takiego faktycznie przydarzyło się Jarosławowi Kaczyńskiemu w 1999 roku podczas spotkania z kanclerzem Helmutem Kohlem. Skorzystał z tej sposobności, aby przypomnieć kanclerzowi wszystkie niegodziwości Niemiec w stosunku do Polski. Kanclerz Kohl, zamiast spierać się z nim lub namawiać go do zmiany punktu widzenia, po prostu wskazał mu drzwi, co zapewne musiało mocno zaskoczyć Kaczyńskiego, ponieważ we własnym mniemaniu był on jedynie szczery. Ten incydent mówi sporo zarówno o spojrzeniu Kaczyńskich na polsko-niemiecką historię, o ich talentach dyplomatycznych, jak również o ich nieograniczonej wyniosłości oraz poczuciu pewności siebie. Można też przypuszczać, iż publiczny brak szacunku jednego z nich, zademonstrowany wobec kanclerz Angeli Merkel, był spóźnionym rewanżem za urażoną w przeszłości dumę jednego z nich.

Podczas swojej pierwszej oficjalnej wizyty w Niemczech, będącej w ogóle jego pierwszą wizytą w tym kraju, prezydent Lech Kaczyński bowiem nie zrobił nic, co sygnalizowałoby, że zamierza kontynuować wcześniejszy polski kierunek działań w stosunku do Niemiec. Zapytany po powrocie, co myśli o kanclerz

Angeli Merkel, ograniczył się do protekcjonalnego i seksistowskiego komentarza, że wydaje się ona „miłą kobietą". Podobna wzmianka na temat Merkel pojawia się w wywiadzie Lecha Kaczyńskiego dla „Der Spiegel", gdzie zostało to przetłumaczone jako „bardzo przyjemna kobieta". Fakt, iż we właściwym momencie nie zauważył jej wyciągniętej ręki — ta chwila nieuwagi uchwycona została przez fotografów — był szeroko komentowany jako demonstracja lekceważenia dla niej i zapowiedź radykalnej zmiany we wzajemnych stosunkach.

Ostatnim etapem pierwszej wizyty Lecha Kaczyńskiego w Niemczech był wykład na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie, podczas którego przedstawił on swoją wizję Europy. Wykład został zakłócony przez protest gejowskich i lesbijskich aktywistów przeciwko jego stanowisku wobec homoseksualizmu, jakie publicznie ujawnił w okresie swej prezydentury Warszawy, gdy zakazał homoseksualistom zademonstrowania swoich przekonań na paradzie równości. Ówczesna decyzja Kaczyńskiego stała się przykładem do naśladowania dla prezydentów innych miast w Polsce. W odpowiedzi na pytania dotyczące jego poglądów w kwestii homoseksualizmu prezydent Kaczyński kilkakrotnie stwierdził, że uważa homoseksualizm za chorobę wymagającą leczenia, a nie za coś, co byłoby powodem do dumy i publicznej demonstracji.

8 września 2005 roku Niemcy i Rosja porozumiały się w sprawie budowy nowego rurociągu, mającego transportować syberyjski gaz do Niemiec i Europy. Gazociąg, obecnie w trakcie budowy, ma przebiegać z obszaru St. Petersburga po dnie Bałtyku do Greifswaldu, z pominięciem terytorium Polski. Niemiecko-polska debata w tej sprawie była w głównej mierze zdominowana przez rozmaite, wewnętrznie sprzeczne wątki, w tym zagrożenia dla bezpieczeństwa energetycznego Polski, wynikającego z nadmiernego uzależnienia od dostaw rosyjskich, przez oczekiwanie, iż rurociąg, zamiast przez Bałtyk zostanie poprowadzony przez Polskę, zapewniając jej korzyść w postaci opłat tranzytowych, przez ideę dywersyfikacji dostaw do Polski gazu norweskiego, choć byłby on znacznie droższy niż rosyjski, oraz za pomocą budowy portu zdolnego przyjmować skroplony gaz ziemny z Kataru. Wszystkie te opcje pojawiały się w debacie na przemian i uznawano je w różnym stopniu za uzasadnione i realistyczne, zwłaszcza w kontekście gwałtownego wzrostu cen

energii na rynkach światowych oraz dwóch incydentów związanych z wykorzystaniem przez Rosję gazociągów jako instrumentów wywierania wpływu na Białoruś i Ukrainę.

Podczas wizyty na szczycie przywódców państw NATO w Brukseli minister obrony w rządzie PiS i późniejszy minister spraw zagranicznych w rządzie Platformy Obywatelskiej, Radosław Sikorski, porównał wspólne niemiecko-rosyjskie porozumienie do paktu Ribbentrop-Mołotow. Nie była to tylko jego prywatna opinia; takie porównania często można było usłyszeć w polskich mediach. Zgodnie z popularnym wówczas punktem widzenia, polskie bezpieczeństwo było zagrożone przez nowy pakt niemiecko-rosyjski, podpisany bez uzgodnienia z polskim państwem i wbrew jego interesom. Minister obrony powiedział także, że kanclerz Merkel zaproponowała konsultacje nad projektem gazociągu, okazując zarazem brak jakiejkolwiek gotowości do wprowadzenia zmian w porozumieniu zawartym z Rosją. „Podejmowanie decyzji, a potem proponowanie konsultacji, nie jest zgodne z naszym rozumieniem idei europejskiej solidarności", powiedział Sikorski. „Jesteśmy oburzeni, że Niemcy uczyniły coś, co stwarza niekorzystną sytuację dla niemieckich konsumentów i co geopolitycznie jest wymierzone przeciwko polskiemu interesowi"[8]. Z kolei prezydent Kaczyński powiedział w wywiadzie dla „Der Spiegel": „Jesteśmy sprzymierzeńcami Niemiec, zarówno w NATO i w Unii Europejskiej — więc skąd ten gazociąg wokół polskich granic? Moja rozmowa z kanclerz Merkel... nie była zadowalająca ani konstruktywna dla Polski pod tym względem. Chcemy oczywiście możliwie jak najlepszych stosunków z Rosją. Ale jednocześnie jesteśmy bardzo czujni, kiedy chodzi o relacje niemiecko-rosyjskie. Racje dla tego dwustronnego gazociągu przez Morze Bałtyckie są czysto polityczne"[9].

Najgorszy moment przyszedł tuż przed spotkaniem uczestników Trójkąta Weimarskiego, zaplanowanym na czerwiec 2006 roku, na krótko przed szczytem G-8, zapowiedzianym w St. Petersburgu na lipiec tego roku, który miał się odbyć pod przewodnictwem prezydenta Rosji Władimira Putina. Na krótko przed oczekiwaną wizytą prezydenta Kaczyńskiego w Weimarze Peter Köhler, felietonista niemieckiej lewicującej opiniotwór-

[8] „Der Spiegel", 1 maja 2006.
[9] „Der Spiegel", 6 marca 2006.

czej gazety „Die Tageszeitung", opublikował satyryczny artykuł, w którym bracia Kaczyńscy zostali porównani do młodych polskich ziemniaków, nazwał ich drobnymi złodziejaszkami, przy okazji wspomniał coś o ich matce, a nade wszystko zostali obaj oskarżeni o aspirowanie do władzy nad całym światem.

Po publikacji tej rubasznej satyry doszło do jeszcze bardziej tragikomicznej międzynarodowej wrzawy, w trakcie której najpierw Lech Kaczyński w ostatniej chwili, gdy wszystko już było gotowe, odmówił uczestnictwa w spotkaniu Trójkąta Weimarskiego, potem zaś, wraz z innymi polskimi politykami, domagał się od niemieckiego rządu przeprosin za publikację w „Die Tageszeitung". Ówczesna polska minister spraw zagranicznych, Anna Fotyga, porównała satyrę do antypolskich agresywnych publikacji w nazistowskim „Der Stürmer", a prokurator generalny został poproszony o rozważenie możliwości oskarżenia ich autora za obrazę głowy państwa[10]. Redaktor naczelny „Die Tageszeitung" Bascha Mika przyznała, że satyra opublikowana w jej gazecie była miejscami pozbawiona smaku, jednakże porównała reakcję polskich władz do reakcji radykalnych muzułmanów na opublikowanie karykatury Mahometa w „Jyllands-Postens", która doprowadziła do demonstracji na Bliskim Wschodzie oraz w innych miejscach[11]. W najmniejszej mierze nie pomogło to w zdobyciu uznania dla Kaczyńskich w oczach niemieckich.

W trakcie tego pożałowania godnego zamieszania Angela Merkel została poddana stanowczej krytyce przez premiera Jarosława Kaczyńskiego za to, że jej samolot nie zatrzymał się w Warszawie w drodze do St. Petersburga na szczyt G-8 w lipcu 2006 roku. Sugerował on, iż jej bezpośredni lot nad terytorium Polski do St. Petersburga bez uzgodnienia z władzami polskimi był demonstracją lekceważenia oraz nie sprzyja polsko-niemieckiemu dialogowi.

W odpowiedzi na reakcje Kaczyńskich na „kartoflany" pamflet ośmiu byłych polskich ministrów spraw zagranicznych wystosowało list nakłaniający nowe władze do respektowania wcześniejszych polskich osiągnięć na polu międzynarodowym oraz zwłaszcza do uznania znaczenia Trójkąta Weimarskiego. Zwrócili uwagę na fakt, iż forum francusko-niemiecko-polskie służyło

[10] *Poland Demands Apology. Polish PM Prickled by 'Spud' Slander*, „Der Spiegel", 11 lipca 2006.
[11] *Ibid.*

przede wszystkim i w największej mierze interesom polskim, ponieważ ani Francja ani Niemcy nie potrzebowały Trójkąta Weimarskiego dla wzmocnienia własnych interesów. W odpowiedzi na ten list ministrowie zostali oskarżeni o zdradę polskich interesów. Jeden z nich, Władysław Bartoszewski, znany orędownik polsko-niemieckiego pojednania i były ambasador Polski w Austrii, spektakularnie nie został poproszony przez ministra spraw zagranicznych ani przez prezydenta o wycofanie swojej rezygnacji z członkostwa w Radzie Polityki Zagranicznej, którą wcześniej złożył w proteście przeciwko demonstracyjnie antyniemieckiej polityce prezydenta i rządu. Doszło do tego oskarżenie wysunięte przez zastępcę ministra obrony, Antoniego Macierewicza, znanego z niezrównoważonych poglądów i zachowań, który w radykalnej, katolicko-narodowej telewizji „Trwam", kierowanej przez fundamentalistycznego księdza katolickiego Tadeusza Rydzyka, dosadnie stwierdził, że większość byłych polskich ministrów spraw zagranicznych była agentami radzieckimi. W tym kontekście istotnym faktem było to, że za te słowa wiceminister Macierewicz nie został skłoniony przez swoich zwierzchników do złożenia rezygnacji ani nawet upomniany.

Jednym z partnerów w koalicji rządzącej była Liga Polskich Rodzin, partia określana jako fundamentalnie katolicka, nacjonalistyczna, antyrosyjska, antyniemiecka i antysemicka. To małe ugrupowanie, w trakcie trwania koalicji coraz bardziej podporządkowane partii Prawo i Sprawiedliwość, zabiegało o publiczne uznanie i głosy za pomocą częstych prób wprowadzania kontrowersyjnych zagadnień do debaty publicznej. Na początek jeden z jego polityków zaproponował wprowadzenie kary śmierci za pedofilię. Poproszony o komentarz prezydent Kaczyński powiedział, że był i będzie zwolennikiem kary śmierci, obawia się jednak, że w obecnych warunkach przywrócenie kary śmierci nie będzie możliwe; rozumiał przez to oficjalny zakaz stosowania kary śmierci, wynikający z europejskich umów i dokumentów. Jego słowa spowodowały reakcję Rady Europy, która wystosowała list z prośbą o wyjaśnienie stanowiska prezydenta w tej sprawie.

Liga Polskich Rodzin zaproponowała również, aby mniejszość niemiecka w Polsce została pozbawiona przywileju, dzięki któremu od początku transformacji żyjący w Polsce etniczni Niemcy posiadają reprezentację parlamentarną licząca od 2 do

4 deputowanych. Politycy Ligi zwrócili uwagę, że polska mniejszość w Niemczech nie cieszy się takim samym przywilejem, chociaż jest liczniejsza. Premier Jarosław Kaczyński dość zdecydowanie poparł to stanowisko, powołując się na zasadę symetrii. Jednak już następnego dnia, podczas spotkania z Angelą Merkel w Helsinkach, zmienił zdanie i obiecał, że niemiecki przywilej nie zostanie odebrany. Należy dodać, że przywilej ten dotyczy nie tylko Niemców, ale wszystkich etnicznych mniejszości w Polsce, chociaż tylko etniczni Niemcy są wystarczająco zorganizowani, aby z niego skorzystać. Groźba zniesienia rzekomego przywileju etnicznych Niemców w Polsce okazała się jedynie szantażem, ponieważ szybko wyszło na jaw, że niemiecka mniejszość posłów odważyła się, choć tylko jeden raz, zagłosować w polskim parlamencie razem z Platformą Obywatelską, a nie z Prawem i Sprawiedliwością. Prawo i Sprawiedliwość, nie zawsze mogło polegać na niepewnych partnerach koalicyjnych, wobec czego władze klubu parlamentarnego tej partii były zmuszone do sumiennego przeliczania głosów za każdym razem, kiedy rząd usiłował przeprowadzić ważną dla siebie ustawę.

Od początku sprawowania rządów przez nowe polskie władze, czyli od 2005 roku, było oczywiste, że dla nowo wybranych polskich liderów politycznych najważniejszym niemieckim politykiem nie będzie ani prezydent Horst Köhler, ani przyjemna kobieta Angela Merkel, ani żaden inny oficjalny przedstawiciel Niemiec, lecz „wstrętna baba" Erika Steinbach, przewodnicząca Związku Wypędzonych w Niemczech. Steinbach zwróciła na siebie uwagę prawicowych partii w Polsce od chwili, gdy zgłosiła inicjatywę upamiętnienia losu wypędzonych z byłych niemieckich terenów na zachodzie i północy obecnej Polski. Jeden z opiniotwórczych tygodników przedstawił ją w kompromitującej pozie w mundurze Waffen SS, jadącą na plecach Gerharda Schrödera.

10 sierpnia 2006 roku Erika Steinbach otworzyła wystawę „Wymuszone drogi. Ucieczka i wypędzenie w Europie XX wieku"[12]. Ta niewielka i raczej skromna wystawa, ograniczona do trzech sal berlińskiego Kronprinzenpalais położonego przy alei Unter den Linden, była dla polskiego rządu znacznie ważniejsza od tego, co uczynił dotąd jakikolwiek niemiecki polityk.

[12] Charles Hawley, *The Wounds of World War II. Remembering German Victims*, „Der Spiegel", 10 sierpnia 2006.

Po opublikowaniu informacji o otwarciu wystawy premier Jarosław Kaczyński zademonstrował swoją dezaprobatę, odwiedzając w rewanżu były nazistowski obóz koncentracyjny w Stutthof. Kazimierz Marcinkiewicz, były premier, a wówczas pełniący obowiązki prezydenta Warszawy, odmówił wyjazdu do Berlina, miasta partnerskiego polskiej stolicy, na wcześniej zaplanowaną wizytę. Natychmiast po opublikowaniu pierwszych recenzji z wystawy zostały wycofane z niej niektóre eksponaty wypożyczone od strony polskiej, w tym zwłaszcza dzwon ze statku *Wilhelm Gustloff,* który został zatopiony przez Rosjan na Bałtyku w styczniu 1945 roku wraz z 9343 uciekającymi z Gdańska Niemcami na pokładzie. Przed wystawą Eriki Steinbach większość Niemców i Polaków nie zdawała sobie sprawy, że od chwili wydobycia tego symbolicznego dzwonu z dna morza, Polska nie potrafiła znaleźć dla niego dobrego miejsca ekspozycyjnego. Zanim stał się ponownie sławny dzięki Frau Steinbach, był w Polsce podrzucany jak gorący kartofel z jednej instytucji do drugiej.

2 września 20006 prezydent RFN Horst Köhler wziął udział w tradycyjnym „Dniu Ojczyzny" („Tag der Heimat"). W swoim przemówieniu skrytykował interpretację wypędzeń głoszoną przez Erikę Steinbach, i to w jej obecności. Powiedział, że Niemcy cierpieli z powodu wypędzenia nie w 1945 roku, ale już w 1939, a następnie przedstawił losy swej rodziny, w tym własne, jako przykład tych procesów. Horst Köhler urodził się bowiem w Skierbieszowie, małym mieście w Polsce, gdzie jego rodzina osiadła po tym, jak została wypędzona z Mołdawii przez nazistów. Tego samego dnia premier Jarosław Kaczyński zaatakował Horsta Köhlera, mówiąc, że jego pojawienie się na uroczystościach „Dnia Ojczyzny" jest kolejnym z serii antypolskich gestów prezentowanych przez niemieckich polityków[13]. Premier uznał obecność prezydenta Republiki Federalnej Niemiec podczas obchodów 2 września za antypolski gest, choć jest ona niemiecką tradycją od 1950 roku. W swoim zacietrzewieniu nie był w stanie zauważyć tego, co prezydent Köhler faktycznie powiedział[14].

[13] *New Setback in German-Polish Ties*, „Der Spiegel", wrzesień 2006.

[14] Prezydent Köhler w istocie powiedział wówczas m.in.: „W Niemczech nie ma żadnej poważnej siły, która chciałaby poprawiać historię".

Odwieczna wrogość

Elity polityczne rządzące w Polsce w latach 1989–2005 postępowały mniej lub bardziej w zgodzie z duchem listu z 1965 roku, w którym polscy biskupi przebaczyli niemieckim i sami prosili o przebaczenie. Elity te mozolnie zwalczały tradycyjny polski obraz złych Niemców. W tym trudnym zadaniu odniosły w sporej mierze sukces, który, jak się okazało, był wielce nietrwały. Obraz dobrych Niemców został zakłócony przez dwoje najbardziej popularnych niemieckich polityków w Polsce, Erikę Steinbach, która zapoczątkowała polsko-niemiecką debatę na temat moralnego aspektu upamiętniania losu wypędzonych z dawnych terenów niemieckich, i przez Rudiego Pawelkę, przewodniczącego Powiernictwa Pruskiego, powstałego w celu wpierania żądań odszkodowawczych Niemców, którzy stracili swoje mienie w wyniku wypędzenia. Ich interwencja w proces pojednania okazała się zarazem bardziej niż mile widziana przez niektóre polskie partie i ugrupowania, znajdujące szczególną, perwersyjną rozkosz w malowaniu przerażającego obrazu zagrożeń ze strony Steinbach i Pawelki. Było to sprytne posunięcie, ponieważ spora część Polaków ciągle pamięta komunistyczną propagandę przeciwko rewizjonistom Herbertowi Hupce i Herbertowi Czai, których niemal do 1989 roku traktowano jako symbole niemieckiego zagrożenia dla powojennej suwerenności terytorialnej Polski. Polacy, którzy pracowali na rzecz polsko-niemieckiego pojednania, zostali uznani przez radykalnie nacjonalistyczny rząd polski w latach 2005–2007 za „łże-elity" i oskarżani o zdradę polskich interesów narodowych. Ich pojednawcza postawa wobec Niemiec była postrzegana jako przesadny filogermanizm, a zarazem znajdowała dogodne wyjaśnienie za pomocą otrzymywanych przez nich hojnych niemieckich stypendiów. Niemiecko-rosyjski rurociąg, razem ze Steinbach i Pawelką, służyły jako doskonały dowód prawdziwości tych oskarżeń. Polacy przyzwyczaili się myśleć, że każdy Niemiec jest oprawcą i pozostanie nim na zawsze. Wrzawa, jaka rozpętała się w tym okresie po przyznaniu się przez Günthera Grassa do służby w Waffen SS[15], posłużyła do tego, by wykazać Polakom, iż jeśli nawet najlepsi, tj. propolscy Niemcy okazują się aż tak bardzo źli, to nie może

[15] *An Honorary Citizen's Fall from Grace*, „Der Spiegel", 18 sierpnia 2006. Zob. także: *Waffen SS Admission. Grass Seeks to Cleanse Reputation*, „Der Spiegel", 17 sierpnia 2006.

stąd nie wynikać nic innego, jak tylko to, że dobrych Niemców nie ma wcale.

Podmiot i przedmiot

Stan stosunków polsko-niemieckich, zilustrowany za pomocą opisanych wyżej wydarzeń, domaga się wyjaśnienia. Musi się ono opierać na rozszyfrowaniu zawartości pewnych elementów ideologii, pojawiających się w Polsce jak grzyby po deszczu w odpowiedzi na gwałtowność i dynamikę przemian w stosunkach międzynarodowych, w ramach których oba sąsiadujące państwa nie mogą pozwolić sobie na wzajemne ignorowanie się i są skazane na odgrywanie wobec siebie ważnych ról.

Różnicę między wzajemnymi postawami wobec siebie Niemców i Polaków może tłumaczyć fakt, iż w trakcie trwania intensywnych procesów transformacyjnych w Europie, z powodu relatywnie słabej kondycji ekonomicznej i politycznej Polski, władze polskie postrzegają własny kraj jako przedmiot, upatrując jednocześnie w Niemcach główny podmiot tych zmian. Należy podkreślić, że ta podwójna percepcja polskich władz, a także do pewnego stopnia polskiego społeczeństwa, jest mniej więcej zgodna ze stanem faktycznym. Osobliwości zachowań polskich polityków wobec zachodniego sąsiada należy więc wyjaśniać za pomocą silnego oporu odczuwanego w Polsce przed narzuconą jej rolą przedmiotu, nie zaś podmiotu procesów politycznych. Do tego dochodzi nie mniej silne wśród Polaków pragnienie bycia uznawanymi za co najmniej równych Niemcom; najsilniejszą i najmniej kwestionowaną podstawą do tego są moralne racje byłych ofiar Niemiec. Z tej racji władze Polski w latach 2005–2007 kierowały się dwoma uzupełniającymi się strategiami. Jedną z nich było dążenie do ugruntowania przekonania o moralnej wyższości Polaków nad Niemcami, co czyniły za pomocą częstych odwołań do historii, szczególnie do II wojny światowej, podczas której Polska padła ofiarą niemieckiej inwazji i okupacji. Moralna wyższość ofiary nad jej dawnym prześladowcą miała stanowić nie tylko rekompensatę za słabą pozycję Polski pod innymi względami, ale także miała się przekładać na specjalne prawa dla Polski, które tę pozycję miały wzmocnić. Druga strategia miała za cel uzyskanie partnerskiej pozycji Polski w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi; ostatecznym efektem tej strategii miało być uzyskanie silniejszej pozycji Polski

w ramach Unii Europejskiej, a także gwarancji bezpieczeństwa przed potencjalnym zagrożeniem rosyjskim.

Finlandyzacja, amerykanizacja, izrealizacja

Polska polityka zagraniczna nacjonalistycznego rządu Kaczyńskich opierała się więc na założeniu, że bezpieczeństwo Polski może być skutecznie chronione jedynie przez Stany Zjednoczone, a nie przez Unię Europejską, a więc przez NATO, nie zaś za pomocą Wspólnej Europejskiej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. Zarówno w okresie przed-, jak i poakcesyjnym Unię Europejską przedstawiano nie jako bezprecedensową historyczną sposobność, otwierającą drogę do modernizacji i rozwoju słabego państwa polskiego, lecz jako jego poważne zagrożenie. Zagrożenie to było w naturalny sposób utożsamiane z silną pozycją Niemiec w Unii. Teza ta stała w sprzeczności z celami strategicznymi Niemiec i ich polityką zagraniczną, jaką formułowano w okresie poprzedzającym niemieckie wybory powszechne w 2002 roku, jak i później[16].

Należy oczywiście przyznać, że NATO nadal istnieje, podczas gdy Europejskie Siły Szybkiego Reagowania nadal jeszcze nie powstały[17]. Polska polityka była i pozostaje skupiona na staraniach, aby to oczywiste twierdzenie pozostało prawdziwe; z tej racji polskie wysiłki były koncentrowane na wzmacnianiu NATO i amerykańskiej obecności w Europie, a zarazem na podważaniu każdej próby wypracowania podstaw wspólnej europejskiej polityki zagranicznej i utworzenia Europejskich Sił Szybkiego Reagowania.

Na początku procesów transformacyjnych elity polityczne w Polsce na krótko przyjęły pomysł „finlandyzacji" państwa, co wówczas było wykorzystywane jako jedno z uzasadnień dla żądania wycofania oddziałów Armii Radzieckiej z terytorium

[16] Jeśli chodzi o historię zmiany niemieckiej postawy wobec USA, zob.: S. F. Szabo, *op. cit.*, s. 185–204. Zob. także błędne przewidywania odnośnie oczekiwanej kontynuacji w niemieckiej polityce zagranicznej Jeffreya Lantisa, *Strategic Dilemmas and the Evolution of German Foreign Policy since Unification*, Praeger Publishers, Westpost, Ct, 2002.

[17] Gdy idzie o ówczesne rozbieżności między USA i Europą, por. Robert Kagan, *Potęga i raj: Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, tłum. W. Turopolski, Warszawa 2003; podobny, bardziej aktualny obraz prezentuje Gerald R. Kleinfeld, *Zderzenie dwóch unilateralizmów*, przekł. Edyta Ratzko i Dawid Karaś, w: „Studia Philosophica Wratislaviensia", IV 1 (2009), ss.135–152.

Polski. Tę koncepcję porzucono natychmiast, gdy tylko Armia Czerwona została wycofana z Polski, dzięki czemu nasz kraj mógł z powodzeniem ubiegać się o członkostwo w NATO. Jednakże niemal natychmiast po wejściu Polski do Unii Europejskiej pewne siły polityczne wysunęły ideę, którą można nazwać „izraelizacją" Polski. Koncepcja ta implikowała niejasną ideę, że Polska będzie odgrywała w Europie rolę podobną do tej, jaką Izrael odgrywa na Bliskim Wschodzie, tj. rolę zabezpieczenia interesów Ameryki w Europie, zwłaszcza przed imperializmem rosyjskim. Ideę tę uzasadniano za pomocą niewiele jaśniejszych odniesień do minionych zasług Polski w obronie chrześcijańskiej Europy przed zalewem tureckim (w tym przypadku przypominano zwycięstwo Jana III Sobieskiego pod Wiedniem z 12 września 1683 roku nad tureckimi siłami) oraz przed zalewem komunistycznym (w tym przypadku wskazywano zaś na polskie „cudowne" zwycięstwo nad radzieckimi oddziałami podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1921 roku).

Fakt, że polskie ugrupowania prawicowo-konserwatywne faktycznie dążyły do takiej konfrontacyjnej strategii wobec Rosji i Europy znalazł publiczne potwierdzenie w wypowiedzi Radosława Sikorskiego, od roku 2007 ministra spraw zagranicznych w rządzie Platformy Obywatelskiej. Po ogłoszeniu przez prezydenta USA Baraka Obamę w dniu 17 września 2009 roku[18] rezygnacji z instalacji tzw. tarczy rakietowej w Polsce i Czechach stwierdził, że decyzja ta oznacza kres „pewnych złudzeń i nierealistycznych" oczekiwań, żywionych przez pewne kręgi polityczne Polsce. Miały one nadzieję, że „Polska stanie się swego rodzaju Izraelem w kategoriach strategicznych", tj. sojusznikiem Stanów Zjednoczonych tak bliskim, że bez względu na to, jak złe byłyby relacje Polski z jej sąsiadami, potężne Stany Zjednoczone zawsze staną w jej obronie w wypadku jakichkolwiek problemów[19]. Wypada wszelako dodać, że Sikorski jako minister rządku Prawa i Sprawiedliwości zaanagażowany był w realizację projektu „izraelizacji Polski".

---

[18] Por. Adam Chmielewski, *Warsaw and Washington: after illusion*, w: „openDemocracy", 17 września 1009, www.opendemocracy.net/article/poland-end-of-illusion.

[19] *US Abandonment of Missile Shield Ends Illusion in Poland*, w: http://english.cri.cn/6966/2009/09/21/1601s517087.htm, 21 września 2009.

Gdy idzie o proamerykańską postawę Polski, zapoczątkował ją w kontrowersyjny sposób poprzedni polski rząd, podejmując w grudniu 2002 roku symboliczną decyzję o zakupie 48 amerykańskich samolotów F-16 i odrzuceniu dwóch konkurencyjnych ofert państw europejskich. Charakter tej decyzji mocno zaniepokoił Niemcy, mimo że nie aspirowały one do otrzymania kontraktu. Był to w istocie zarazem początek zmiany postawy Polski wobec Niemiec i Unii Europejskiej. W marcu 2003 roku Leszek Miller, ówczesny polski premier, podpisał niesławny „list ośmiu", wyrażając poparcie dla amerykańskiej interwencji w Iraku bez powiadomienia swojego partnera Gerharda Schrödera, chociaż poprzedniego wieczora podejmował niemieckiego kanclerza jako gościa we własnym domu. To zirytowało Niemcy i Francję jeszcze bardziej. Jacques Chirac zareagował wówczas pamiętnym oświadczeniem, że Polacy stracili znakomitą okazję, by siedzieć cicho. To także doprowadziło do pierwszego niepowodzenia na francusko-niemiecko-polskim Szczycie Weimarskim w maju 2003 we Wrocławiu, podczas którego głowy państw nie potrafiły wypracować wspólnego stanowiska wobec amerykańskiej inwazji na Irak. Następnie Polska, rządzona przez socjaldemokratyczny rząd, podjęła systematyczną krytykę Traktatu Konstytucyjnego dla Europy m.in. za brak odniesień do katolickiego Boga, a zwłaszcza za zlikwidowanie prawa weta dla Polski, zapisanego w Traktacie Nicejskim. ówczesny postkomunistyczny rząd polski, pod nieustającą presją skrajnych i umiarkowanych partii prawicowych, przechodził sam siebie w demonstrowaniu antyeuropejskiego stanowiska bezpośrednio po zakończeniu kopenhaskich negocjacji akcesyjnych 13 grudnia 2002 roku. Odkąd jeden z liderów opozycyjnej wówczas formacji liberalnej w teatralny i skrajnie niemądry sposób rzucił hasło: „Nicea albo śmierć!", obrona systemu nicejskiego, z przyznanym w nim Polsce prawem weta, stała się oficjalną polską polityką wobec Unii Europejskiej oraz jej konstytucji.

Tzw. postkomunistyczne elity charakteryzowała pełna sprzeczności postawa, znajdująca wyraz, z jednej strony, w jej wysiłkach na rzecz integracji europejskiej, z drugiej zaś, w jej dążeniu do zyskania dla siebie aprobaty w oczach administracji amerykańskiej. Obciążone nieprawowitym, „komunistycznym" pochodzeniem, były one bowiem szczególnie zainteresowane zyska-

niem międzynarodowego uznania i legitymizacji, jaka mogła się z tym wiązać. Szczególnie prezydent Aleksander Kwaśniewski miał silny motyw do prowadzenia takiej wewnętrznie sprzecznej polityki, albowiem administracja amerykańska formułowała mgliste obietnice mianowania go sekretarzem Organizacji Narodów Zjednoczonych lub NATO, tym sposobem wymuszając na nim posłuszeństwo wobec ich polityki. Towarzyszyła temu fikcyjna i faktycznie nierealistyczna obietnica, zgodnie z którą w przypadku, gdy Niemcy i Francja odrzucą amerykańską politykę na Bliskim Wschodzie, Polska uzyska status specjalnego łącznika między Ameryką i Europą. Fakt, że niektórzy w Polsce dali tej fikcji wiarę, wystawił nasz kraj na pośmiewisko, a Polska zyskała sobie opinię nie tyle konia, co osła trojańskiego Ameryki w Europie.

Władze polskie po 2005 roku, dumne ze swoich antykomunistycznych korzeni, bezkrytycznie trwały w swej proamerykańskiej orientacji, mimo że, po pierwsze, amerykańska administracja w obliczu fiaska w Iraku zrozumiała, iż nie osiągnie wiele bez wsparcia Europy, po drugie zaś, mimo tego, że Angela Merkel, która pokonała w wyborach Gerharda Schrödera, przywróciła stosunki niemiecko-amerykańskie mniej więcej do stanu sprzed ich zaostrzenia. Żarliwy polski amerykanizm stał się także powodem zmiany stosunków w chwiejnej rządzącej koalicji, kiedy premier Jarosław Kaczyński wraz Radosławem Sikorskim, swym ówczesnym ministrem obrony, zadeklarował wysłanie tysiąca polskich żołnierzy do Afganistanu, nie konsultując swojej decyzji z partnerami koalicyjnymi. Decyzja została ogłoszona podczas trzyminutowej rozmowy z prezydentem Stanów Zjednoczonych Georgem W. Bushem w sierpniu 2006 roku. Nikt z władz Polski nie dał po sobie znać upokorzenia faktem, iż prezydent Bush znalazł tylko trzy minuty dla gorliwego sojusznika, podczas gdy kilka dni wcześniej poświęcił 25 minut ówczesnemu francuskiemu kandydatowi na prezydenta, Nicolasowi Sarkozy'emu. Ironia i paradoks tego zjawiska tkwiła w tym, że polska bezkrytyczna proamerykańska, a zarazem histeryczna antyeuropejska postawa, stawała się kłopotliwa dla Stanów Zjednoczonych do tego stopnia, że w schyłkowej fazie administracji George'a W. Busha to właśnie Amerykanie zaczęli w pewnym momencie napominać Polskę, iż *powinna* integrować się z Europą.

Polityka upatrywania wrogów jednocześnie w Rosji i Niemczech, jak i daremne poszukiwania sprzymierzeńców w Stanach Zjednoczonych, doprowadziły już raz Polskę do katastrofy. Ten sam błąd, pomimo amerykańskiego upomnienia i na przekór lekcji historii, został powtórzony, choć tym razem jako tragiczna farsa.

Przypadek dla psychologii polityki

Analiza tego szczególnego okresu w polskiej polityce zagranicznej nie byłaby zupełna bez uwzględnienia czynników psychologicznych i biograficznych. Taką potrzebę odczuwa wielu obserwatorów polskiej polityki. Andrew Nagorski napisał: „Dla ludzi z Zachodu, którzy pamiętają Polskę z 1989 roku, kiedy Solidarność triumfowała i nie tylko obaliła komunistyczny rząd w Warszawie, ale zapoczątkowała także reakcję łańcuchową w całym regionie, dzisiejsza Polska jest miejscem konsternacji. Pomimo ogromnych osiągnięć ekonomicznych, które przemieniły kraj z ziemi chronicznego niedostatku w zabiegane społeczeństwo konsumpcyjne, pomimo polskiego członkostwa w NATO i Unii Europejskiej, mimo uwolnienia się od strachu i formowania się wolnego społeczeństwa, wielu Polaków trwa w zgorzkniałym nastroju. Jest to nastrój spowodowany wyłonieniem się chwiejnej koalicji rządowej złożonej z prawicowych populistów, którzy nieustannie się ze sobą kłócą. To, co kiedyś było obozem solidarnościowym, jest teraz podzielone na pół tuzina odłamów, zaś atmosferę wypełniają wzajemne oskarżenia o rzekomą tajną współpracę w dawnym systemie i o korupcję w nowej epoce. Mówiąc w skrócie, romantyzm rewolucji uległ w znacznej mierze zapomnieniu”[20].

Pełny obraz obecnej kwestii polsko-niemieckiej nie jest możliwy bez odwołania się do psychologii polityki, a w istocie do psychopatologii. Większość problemów w dzisiejszych stosunkach polsko-niemieckich wynika z faktu, że czołowi polscy politycy, którzy nigdy nie cieszyli się wielkim uznaniem na krajowej scenie, nie mówiąc już o międzynarodowej, czują się powszechnie ignorowani i poniżani. To popycha ich do żenujących czynów, których sama natura sprawia, iż nie tylko nie ma się ochoty poświęcać im pozytywnej uwagi, lecz ze wstydem odwraca się

[20] Andrew Nagorski, *Poland's Imperfect Revolution*, „Foreign Policy”, lipiec/sierpień 2006.

od nich wzrok. Taka reakcja z kolei pobudza ich do jeszcze bardziej irracjonalnych czynów oraz powoduje, że w rezultacie spirala absurdu i radykalizmu nakręca się jeszcze bardziej.

Można więc postawić tezę, że zwrot w polsko-niemieckich relacjach z roku 2005 miał związek z czymś, co można by nazwać „polskim kompleksem". Jest to specyficzne i wewnętrznie sprzeczne dążenie do uznania w oczach innych, przy równoczesnym poczuciu pogardy wobec nich i demonstrowaniu wobec nich lekceważenia i protekcjonalności. Znajduje on wyraz w pokrywaniu poczucia niższości megalomanią; głęboko zakorzenionej niepewności — ostentacyjną demonstracją nieistniejącej siły; uczucia urazy — samozadowoleniem; paranoi — pewnością siebie, dobrowolnej służalczości wobec jednych — arogancją i pychą wobec innych, itd.

Z pewnością taki zlepek uczuć oraz resentymentów można do pewnego stopnia znaleźć w każdym człowieku. Przejawia się on zapewne intensywniej u osób wystawionych na konsekwencje gwałtownych przemian społecznych oraz na bolączki towarzyszące szybkiej transformacji, zaburzającej dobrze znany porządek; nawet jeżeli porządek ten był dokuczliwy, to przynajmniej gwarantował stabilność i trwałość. Tym jednak, co okazało się szczególnie groźne to fakt, że w Polsce, jak wcześniej w innych krajach, w tym w nazistowskich Niemczech, zadziałał mechanizm psychiczny uchwycony przez La Rochefoucaulda w jednym z jego aforyzmów: „Naśladujemy dobre przez współzawodnictwo, a złe przez złośliwość naszej natury, którą wstyd trzymał na uwięzi, a którą przykład wyzwala"[21]. Okazało się bowiem, że nieposkromiony poczuciem przyzwoitości przykład, dany przez jedną, psychopatyczną osobę otoczoną przez wąską grupą pochlebców, jest w stanie gwałtownie się rozprzestrzenić i wyzwolić szerokie pokłady silnych negatywnych uczuć, uprawomocnić ich bezwstydne ujawnianie, przeobrazić je w normę, a nawet nadać im rangę naczelnej zasady politycznej.

Na tym polega przypadek polskich polityków, którzy czynili i nadal czynią wszystko, aby rozbudzić i wykorzystać wszystkie te społeczne odczucia w swych staraniach o głosy wyborców. Niektórzy z nich czynią to w sposób cyniczny, inni są śmiertelnie poważni w tym, co robią. Na pewien czas przewagę w Polsce

[21] La Rochefoucauld, *Maksymy i rozważania moralne*, przekł. Tadeusz Żeleński (Boy), Książka i Wiedza, Warszawa 1996, s. 58.

uzyskali właśnie ci drudzy. Głodni uznania bardziej niż materialnych bogactw, zwłaszcza że nigdy nie cieszyli się dużym poważaniem w kraju i za granicą, mieli skłonność do interpretowania każdego zachowania jako demonstracji lekceważenia wobec siebie, a zarazem państwa, które — jak sądzili — prawomocnie reprezentowali. Tego rodzaju politycy zawsze czerpią specyficzną, perwersyjną satysfakcję z tego, że są przedmiotem szyderstwa, dyskredytacji i dezawuowania; to dzięki temu właśnie mogą się następnie głośno na to uskarżać. Pozbawieni cienia dystansu wobec siebie, obsesyjnie szukają oznak zniewagi ze strony każdego. Sytuację pogarszały ponadto ich nadmierne aspiracje do odgrywania ważnej, a nawet głównej roli w Unii Europejskiej i świecie. W efekcie ich postępowania wizerunek Polski, chorego i biednego człowieka Europy, stopniowo przeobrażał się w obraz europejskiego dziecka specjalnej troski.

Przykłady polskiej wrogości wobec Niemiec nosiły znamiona działań obliczonych na efekt medialny, który częstokroć okazywał się skuteczny. Nie miały one jednak wiele wspólnego z autentyczną postawą większości Polaków wobec Niemców, a już najmniej z polskim interesem narodowym. Niemcy są i pozostaną głównym partnerem ekonomicznym Polski. Z 2 milionów młodych Polaków, którzy wyemigrowali z kraju po 2004 roku, uciekając przed bezrobociem i brakiem mieszkań, prawie 600 tysięcy znalazło pracę i mieszkanie w Niemczech. Okazało się jednak, że gorszące widowisko, odgrywane przez skrajnie nacjonalistyczne i populistyczne polskie władze, rychło się zakończyło. Wystarczyło bowiem, żeby Polacy, zniesmaczeni własną polityczną reprezentacją, motywowani w sporej mierze poczuciem estetyki i przyzwoitości, wyrazili swoją opinię.

2.
Poszerzenie pola walki

Tumory umysłowe

Narrację jednego z filmów Woody Allena ożywia spór polityczny w nowojorskiej rodzinie[1]. Większość jej członków wyznaje poglądy zdecydowanie liberalno-demokratyczne, z wyjątkiem syna (Lukas Haas), który — jako jedyny — głosi skrajne poglądy republikańskie. Pod koniec filmu, kiedy wszystko zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu, okazuje się, że syn-republikanin cierpi na guza blokującego dopływ tlenu do mózgu. Gdy guz, szczęściem niezłośliwy, usunięto, młodzieniec wraca do zdrowia nie tylko fizycznego, ale i politycznego: po operacji bowiem opowiada się po stronie liberalno-demokratycznej jak cała reszta rodziny.

W Polsce jest odwrotnie: obowiązujący kanon polityczno-publicystyczny głosi, że opowiadanie się za ideami modernizacyjnymi, emancypacyjnymi i egalitarnymi, określanymi łącznie mylącą już nazwą „lewicowych"[2], jest nie tylko stratą energii intelektualnej i społecznej, lecz także świadectwem tumoru umy-

[1] Chodzi o film Woody Allena z 1996 roku pt. *Wszyscy mówią: kocham cię*.

[2] Na temat nieaktualności tradycyjnego podziału ideowo-politycznego na „lewicę" i „prawicę" argumentowałem w książce *Społeczeństwo otwarte czy wspólnota* (Arboretum, Wrocław 2001); mimo przekonania o zasadniczej nieadekwatności

słowego, ponieważ idee te uległy historycznej kompromitacji i że jak krwiożerczy wampir przebity osinowym kołkiem już się nie odrodzą. Sądzą tak przywódcy wszystkich wiodących ugrupowań politycznych na polskiej scenie politycznej, Jarosław i Lech Kaczyńscy, Donald Tusk, Jan Maria Rokita i prawie cała reszta tej strony świata. Co więcej, o przychylność do takich przekonań można podejrzewać także Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera, o głównych publicystach z Witoldem Gadomskim na czele nie wspominając. Zwolenników tych idei w Polsce od jakiegoś czasu traktuje się jak trędowatych, ponieważ niemal całe spektrum polityczne bezwiednie zaakceptowało słuszność retoryki opartej na argumentach ze zdrowia psychicznego, której jedynym celem jest niedopuszczenie do odrodzenia lewicy oraz monopolizacja przestrzeni dyskursu politycznego przez prawicę i konserwatywny liberalizm. Warunkiem wstępnym odrodzenia lewicy byłoby więc strząśnięcie z siebie tej retoryki. Naocznie oczywistą, trwałą skłonność do autokompromitacji, cechującą wszystkie polskie partie narodowe, prawicowe, konserwatywne i liberalne, należałoby zaś uważać za mocny grunt do odrodzenia się myśli emancypacyjnej i modernizacyjnej w nowej postaci.

Krótka historia emancypacji

Jak dotąd jednak presja ideologiczna pozostawia bardzo niewiele miejsca na poglądy odmienne od tego kanonu. W obecnej polskiej rzeczywistości politycznej nie wypada bowiem głosić poglądów, które byłyby z powyższym kanonem sprzeczne, tym bardziej sprzeczne z nim radykalnie. Z tych powodów nikt w Polsce nie ośmiela się sądzić, iż popieranie konserwatywno-religijnej prawicy, zwłaszcza w wersji oferowanej przez takie postacie, jak bracia Jarosław i Lech Kaczyńscy, Tadeusz Rydzyk, Marek Jurek i Jan Maria Rokitę, jest karalnym występkiem przeciwko narodowi i świadectwem choroby umysłowej. Mimo to warto i należy sformułować kilka zastrzeżeń wobec tej dominującej ideologii.

Fakt, iż myśl zwana lewicową w ogóle miała historyczną sposobność zaistnienia, ma źródło w wielokrotnej, a często zbrodniczej kompromitacji rządów konserwatywnych, religijnych czy nacjonalistycznych, zwanych zazwyczaj prawicowymi. Jeśli więc

tych terminów, posługują się tym przeciwstawieniem jako dogodnym, choć coraz bardziej problematycznym skrótem myślowym.

prawica co jakiś czas się odradza, by niemal natychmiast skompromitować się tak spektakularnie, jak to się stało po raz kolejny w Polsce w latach 2005–2007, należałoby to interpretować jako podstawę do optymistycznego wniosku, że odradzać się będzie także, w nowych postaciach, myśl egalitarna i modernizacyjna.

Zastrzeżenie drugie ma związek z pewną tezą historyczno-teoretyczną: siłą napędową ruchów i teorii emancypacji społecznej był rozwój kapitalizmu oraz jego polityczno-teoretycznych uzasadnień, zarówno liberalnych, jak i teologiczno-religijnych. Ruchy emancypacyjne rodziły się w proteście nie tyle przeciwko kapitalizmowi oraz jego liberalnym polityczno-teoretycznym uzasadnieniom, co przeciwko krzywdom materialnym i duchowym, wyrządzanym masom robotniczym i chłopskim przez zachłanny kapitalizm. Wybiwszy się na podmiotowość, masy zbuntowały się zarówno przeciwko praktykom kapitalistycznym, jak i usprawiedliwiającym je ideologiom. Kiedy pod groźbą rewolucji dojrzały kapitalizm uznał, że bardziej opłaca się ludzi kupować aniżeli ich degradować, klasa robotnicza o rewolucji chętnie zapomniała i tam, gdzie mogła, pozwoliła się potulnie zapakować w opakowanie zawierające pokupny towar zwany klasą średnią, albo, znacznie częściej, w jego wyobrażenie.

Dążeniem większości ludzi, nie tylko w Polsce, wcale nie jest walka ani tym bardziej rewolucja polityczna, lecz bycie zapakowanym w to przyjemne opakowanie. Dlatego nie ma w naszym kraju tego, co nazywa się „autentyczną, rewolucyjną lewicą", ponieważ to, co w Polsce obecnie za lewicę, w tym postkomunistyczną, uchodzi, wyraża w istocie tęsknoty do materialnego i duchowego bezpieczeństwa, nie zaś do ryzykownej rewolucji.

Trzecie zastrzeżenie ma związek z „racjonalnym jądrem" myśli emancypacyjnej, które, wbrew wszelkim tezom o jej kompromitacji, zachowało aktualność. Choć słuszna jest krytyka różnych aspektów myśli Marksa, nikt poważny nie kwestionuje, iż jego naczelną motywacją nie było totalitarne zniewolenie ludów na całej kuli ziemskiej, lecz coś przeciwnego: autonomia i wolność każdej jednostki. Czołowy intelektualista polskiej lewicy liberalnej Andrzej Walicki napisał, że „wolność była dla Marksa nie tyle przeciwieństwem zewnętrznego przymusu, ile zdolnością do życia zgodnego z istotą człowieczeństwa, czyli przeciwieństwem dehumanizacji"[3]. Marks widział ją w alienacji gene-

[3] Andrzej Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności, Dzieje komunistycznej*

rowanej przez pracę zorganizowaną według reguł zaborczego kapitalizmu. Jego cele moralne i polityczne nazywano różnie; można je także określić modnym obecnie mianem upodmiotowienia, ponieważ ostatecznie to o podmiotowość, czyli autonomiczną samosprawczość każdego człowieka szło Marksowi. Powodem, dla którego bezwzględnie krytykował konserwatystów, klerykałów, nacjonalistów, a także liberałów i socjalistów utopijnych, było to, że w jego przekonaniu te projekty społeczno-polityczne ze swej istoty nie służyły egalitarnie, czyli uniwersalnie rozumianej wolności i podmiotowości człowieka. Pod wieloma względami się mylił, skutecznej recepty nie sformułował, lecz otworzył wiele krytycznych furtek intelektualnych, które nadal warto uchylać.

Wielość liberalizmów — wielość socjalizmów

W dyskusjach o liberalizmie z reguły podnosi się argument, że nie można mówić o jednej doktrynie czy formacji liberalnej: liberalizm bowiem ma wiele znaczeń i postaci, co nie ma negatywnych konsekwencji dla powszechnego dość przekonania, że liberalizm istnieje i ma się całkiem nieźle. Zarazem prawa do takiej samej rozmaitości odmawia się myśli socjalistyczno-lewicowej. Teza o bankructwie socjalizmu jest interpretowana w taki sposób, że myśl lewicowa nie ma prawa ewoluować: jeżeli zbankrutowała jakaś jedna jej postać, to, przez pokrewieństwo, za zbankrutowane należy uważać wszelkie jej odmiany. To nieprawda historyczna, lecz wygodna, ponieważ pozwala blokować dyskurs polityczny nad socjalizmem, o ile nie ma on charakteru potępienia. Jest to skuteczny zabieg retoryczny, stosowany z upodobaniem przez ugrupowania narodowo-klerykalne i liberalne. Myśl lewicowa jednak ewoluuje i przybiera różne postacie w różnych krajach; model socjalizmu skandynawskiego demonstruje, że można stworzyć społeczeństwo wolne, aktywne i prosperujące, ale i socjalnie bezpieczne.

Andrzej Walicki wielokrotnie pisał o polskim niezrozumieniu idei liberalnych, kojarzonych w naszym kraju wyłącznie z ideami Miltona Friedmanna i Friedricha Augusta von Hayeka. Walicki, uczeń Isaiaha Berlina i zwolennik teorii sprawiedliwości rozumianej jako bezstronności, obszernie i przekonująco argu-

utopii, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996, s. 27.

mentował na rzecz liberalizmu pluralistycznego i poddawał wnikliwej krytyce jego dogmatyczne odmiany[4]. Walicki przez lata występował przeciwko pojmowaniu kategorii wolności jako czegoś, co realizuje się w całej pełni wyłącznie w sferze wolnego rynku. Występował także przeciwko tezie, iż największym zagrożeniem dla ludzkiej wolności jest państwo. Jego badania nad historią liberalizmu przekonująco wykazały, iż punktem wyjścia tradycji liberalnej nie była wyłącznie walka przeciwko wszechwładnemu państwu o swobody w obszarze ekonomicznego gospodarowania, lecz nade wszystko walka o wolność religijną i wolność sumienia oraz związaną tymi swobodami wolność słowa i dobrowolność stowarzyszeń. Wykazywał, że kolejnym etapem rozwoju emancypacyjnych zadań liberalizmu była walka z kolektywistycznym tradycjonalizmem, przebierającym postać przymusowej przynależności do rozmaitych, organicystycznie rozumianych i budowanych grup, które swoim członkom wyznaczały ściśle określone role społeczne, plany życiowe i rytuały obyczajowe. Pokazywał także, że państwo stanowiło narzędzie wyzwalania jednostek spod niekontrolowanej władzy zamkniętych wspólnot lokalnych, stanowych, klanowych, zawodowych i wyznaniowych. Ujawniał również silną rolę nurtów społeczno-egalitarnych w ramach liberalizmu, które przyczyniały się do wdrażania rozwiązań społecznych o charakterze redystrybucyjnym, sprzyjającym stabilizowaniu systemu społeczno-politycznego, nie prowadząc zarazem do zaburzeń jego rozwoju i nadając mu większą racjonalność, a tym samym odgrywając silniejszą katalaktyczną (inkluzywną) rolę niż sam wolny rynek w interpretacjach neoliberalnych.

Jeżeli więc dla liberałów w rodzaju Friedricha von Hayeka nie istnieje żaden związek idei wolności z ideą równości, to dla lewicy związek idei wolności z ideą równości był i pozostaje oczywisty. Wyraża go np. przekonanie fundujące program brytyjskiej Partii Pracy z połowy minionego stulecia, głoszącego, że wolność, o którą walczy lewica, to coś więcej niż tylko wolność od arbitralnej władzy despotycznego rządu, czyli wolność negatywna, do której redukuje się wolność pojmowana liberalnie. Jest to bowiem także wolność pozytywna: wolność od ekonomicznego poddaństwa, od nędzy oraz innych społecznych krzywd

[4] Por. np. Andrzej Walicki, *O inteligencji, liberalizmach i o Rosji*, Universitas, Kraków 2007.

i upokorzeń. Brytyjscy laburzyści uznawali, że człowiek głodny i upokorzony nie jest wolny, ponieważ dopóki nie zaspokoi swoich potrzeb materialnych i potrzeby uznania społecznego, nie będzie myślał o niczym innym, jak tylko o tym, aby je zaspokoić. Człowiek, który nie śmie zaprotestować przeciwko temu, co uznaje za niesprawiedliwość ze strony władzy czy pracodawcy, bo boi się o własną godność i przyszłość, wcale nie jest wolny. Redefinicja wolności jako wolności dla wszystkich oraz powiązanie jej z uniwersalnie rozumianymi prawami człowieka, w tym prawem do godności i wolności od hańbiącego niedostatku, przyniosła sukcesy nie tylko ówczesnej Partii Pracy, ale także Wielkiej Brytanii.

Liberalizm i socjalistyczna korekta

Stereotyp głosi, że myśl socjalistyczna jest antyliberalna. To prawda z gatunku częściowych. Socjalizm w tradycyjnej wersji zakładał postulat zapewniania człowiekowi tego, czego mu potrzeba, ale bez specjalnego wysiłku z jego strony; tym bowiem miało się zająć Państwo. Nic dziwnego, że ów etatyzm prowadził do odwrotnych skutków: zamiast samosprawczości, przyuczał ludzi do bierności i bezwolności, a więc ich dehumanizacji. W przeciwieństwie do tego, racjonalne jądro socjalizmu we współczesnej wersji zakłada budzenie aktywności i inicjatywy w człowieku, jego podmiotowości, by samorzutnie chciał osiągać to, czego pragnie, zamiast na to bezradnie oczekiwać, oraz by sam z siebie pragnął pragnąć, nie czekając na wskazówki od Państwa, czego ma chcieć; Państwo zaś ma mu pomagać w uzyskiwaniu zdolności do osiągania jego własnych celów, nie zaś zapewniać ich osiągnięcie.

W tym sensie nowoczesny socjalizm zbliża się do liberalnego rozumienia istoty ludzkiej. Różnica polega na tym, że w praktyce liberalizm pragnie, aby Państwo nie wspomagało egalitarnie wszystkich jednostek w ich dochodzeniu do podmiotowości, lecz tylko niektóre, te najbardziej przedsiębiorcze, czyli kapitalistów, fałszywie argumentując, że wytworzone przez nich bogactwo przecieknie na sam dół hierarchii społecznej. Problem w tym, że oni z takiego wspomagania korzystają nie po to, aby realizować cele powszechnego dobrobytu, lecz po to, aby wzbogacić się jeszcze bardziej. Ponieważ społeczeństwa ludzkie zawsze żyją w sytuacji niedostatku dóbr, liberalny podział musi

prowadzić do nierówności społecznych. Tam, gdzie liberalizm prowadzi do nierówności skrajnych, zadających gwałt sprawiedliwości definiowanej za pomocą kategorii praw przysługujących każdej jednostce, wymaga on socjalistycznej korekty. Ponieważ jednak liberalizm nieustannie prowadzi do reprodukcji nierówności, dlatego wymaga nieustannej socjalistycznej kontroli i korekty. QED.

Wbrew stereotypowi należy więc podkreślić, że emancypacyjna myśl socjalistyczna występowała przeciwko liberalizmowi nie z powodu głoszenia przezeń idei wolności, lecz dlatego, że swoją ofertę emancypacyjną, zarówno w teorii, jak i w praktyce, ograniczał on do wąskiej grupy ludzi, traktując pozostałych jako narzędzie służące sukcesowi nielicznych. Jakkolwiek więc liberalizm głosi egalitarną wolność jednostki, to w praktyce zawsze okazuje się antyegalitarny i elitarny. Socjalizm wkraczał w te miejsca, w które nie chciał wkraczać liberalizm, mniej więcej tak samo, jak Andrzej Lepper z jego socjalizującą Samoobroną wkroczył tam, gdzie rzekomo lewicowa partia Sojusz Lewicy Demokratycznej i jej przywódcy, zwłaszcza Aleksander Kwaśniewski i Leszek Miller, brzydzili się wchodzić, i mniej więcej tak samo, jak partia Prawo i Sprawiedliwość pod wodzą braci Kaczyńskich wkroczyła tam, gdzie brzydziła się wkraczać Unia Wolności z Leszkiem Balcerowiczem i Bronisławem Geremkiem.

Powracanie do zdrowia

Powracając do kwestii zdrowia psychicznego i wzmiankowanego filmu Woody Allena: odrobinę analogiczne ozdrowienie przeszła naczelna ideolog prawicy, Jadwiga Staniszkis. Najpierw bezrozumnie poparła partię Prawo i Sprawiedliwość, przyczyniając się do jej wyborczego sukcesu, następnie zaś, w obliczu moralnego i politycznego bankructwa tej formacji, swoje poparcie wycofała, uznając retorykę Jarosława Kaczyńskiego za obraźliwą dla inteligencji wyborcy. Jednak nie podała powodów, dla których retoryki obu Kaczyńskich wcześniej nie uznawała za obrazę dla zdrowego rozsądku. Jest to niezrozumiałe, ponieważ nigdy nie posługiwali się oni inną retoryką.

Ani za poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości, ani za jego wycofanie Staniszkis odpowiedzialności dotychczas nie poniosła, choć może powinna. Aspirująca do wielkich umiejętności analitycznych winna była od początku wiedzieć, że żaden projekt

realizowany przez Kaczyńskich udać się nie może. Powinna być pociągnięta do odpowiedzialności także za to, że swoim autorytetem napędzała hordę młodych publicystów, którzy, z uporem lepszej sprawy, służalczo popierali władzę Kaczyńskich i kłamliwie deprecjonowali PRL i III Rzeczypospolitą, następnie zaś pozostawiła ich samym sobie. Mając na uwadze nabytą przez nich, charakterystyczną dla PiS-u mentalność prawicową, wykluczającą możność przyznania się do błędu, mogą oni teraz jedynie z nie mniejszym uporem uzasadniać sami dla siebie trwanie przy chybionym wyborze, ponieważ nie mogą sobie pozwolić na to, na co pozwoliła sobie ich patronka.

W tej ozdrowieńczej transformacji Staniszkis odkryła dla siebie także rzecz oczywistą dla każdego, kto traktuje konserwatyzm polityczny jako schorzenie psychiczne, mianowicie prawdziwie demokratyczne, agonistyczne rozumienie polityki. Twierdzi teraz mianowicie, iż mimo epoki postmodernizmu, w jakim żyjemy, tradycyjny, czy nawet archaiczny spór między lewicą i prawicą zachowuje swój sens i polityczną efektywność[5].

Nie ma pewności, czy z tego odkrycia wyciągnęła wszystkie wnioski. Są wśród nich te, iż agonistyczne rozumienie polityki wyklucza wzięte z Carla Schmitta, eksterminacyjne rozumienie walki politycznej, ponieważ implikuje, że w zmaganiach politycznych nikt nie ma całkowitej racji. Pozwala to w punkcie wyjścia wziąć w nawias pyszałkowatą pewność siebie prawicowego konserwatyzmu. Agonistyczne, demokratyczne rozumienie polityki zakłada, iż każdy, kto w zmaganiach politycznych uczestniczy, zasługuje na respekt i nie może być traktowany jako obiekt do eksterminacji, nawet jeżeli jest to ktoś taki, jak Andrzej Lepper i członkowie SLD. Agonistyczny, demokratyczny system polityczny jest zbudowany na założeniu, iż żaden z graczy politycznych nie dysponuje absolutną prawdą, racją ani całym dobrem, i z tej przyczyny winien być kontrolowany przez innych graczy oraz instytucje demokratycznego państwa. Jeżeli jakaś partia nie przestrzega zasad wzajemnej kontroli demokratycznego państwa lub je świadomie łamie, nie jest partią demokratyczną, nie może być tolerowana i zasługuje na wykluczenie z demokratycznej gry.

[5] *Fanatycy ożywiają ducha wolności*, „Dziennik", 14 lipca 2007.

Zarówno w swoim wcześniejszym wcieleniu, gdy nosiło nazwę Porozumienie Centrum[6], jak również od początku sprawowania władzy w 2005 roku, ugrupowanie Prawo i Sprawiedliwość wyznawało eksterminacyjne rozumienie polityki, o czym świadczy m.in. propozycja ustawy odmawiającej biernego prawa wyborczego ludziom skazanym, odgrażanie się delegalizacją Sojuszu Lewicy Demokratycznej, partii o „komunistycznym" rodowodzie, reorientacja działań Instytutu Pamięci Narodowej, wskutek czego przeobraziło się ono w powolny instrument walki politycznej, a także stworzenie nowej policji politycznej o nazwie Centralne Biuro Antykorupcyjne, które od momentu jego powołania było wykorzystywane do eliminacji opozycji dla tej formacji. Ponieważ niektóre kroki prawne, które chodziły po głowie nie tylko braci Kaczyńskich, ale też Jana Rokity oraz niektórych członków Platformy Obywatelskiej, byłyby jawnie antydemokratyczne, politycznej eksterminacji postanowiono dokonać za pomocą ustawy lustracyjnej, zgodnej z antylewicowym kanonem, uzasadnianym za pomocą eksterminacyjnej reinterpretacji historii Polski. Jedynym i w pełni zgodnym z zamierzeniami tych polityków skutkiem owej ustawy jest eksterminacja obywatelskiego zaangażowania wszystkich tych, którzy czynnie nie obalali realsocjalizmu. Kaczyńskim to w zupełności wystarczało, ponieważ w sposób wyprzedzający wykluczało z przestrzeni

[6] Wcześniejszą postać polityczną tej formacji ideologiczno-politycznej, na czele której również stali bracia Jarosław i Lech Kaczyńscy, David Ost określił mianem konserwatywnej i scharakteryzował w następujący sposób: „Po pierwsze, konserwatyści posługiwali się mściwym stylem, tak nietypowym dotąd dla 'Solidarności', obrzucając inwektywami wszystkich kojarzonych z byłą partią [PZPR] i twierdząc, że liberałowie, którzy wynegocjowali porozumienie Okrągłego Stołu, weszli tym samym w zmowę z dawnym reżimem. Po drugie — podsuwany przez nich obiekt ataków był zupełnie chybiony. Prześladowanie 'komunistów' nie polepszyłoby losu ludzi pracy. Nowe społeczeństwo, wolnorynkowe wprowadziło nową dynamikę stratyfikacji społecznej, której podstawą było kontrolowanie zasobów, a nie funkcje polityczne, poza tym dawni dysydenci (z Kaczyńskimi włącznie) (...) zajęli znaczące miejsce w nowej elicie. Konserwatyści proponowali wyłącznie 'zastępcze uspokojenie', które nie mogło przynieść 'prawdziwego uśmierzenia'. (...) W Polsce oznaczało to propagowanie mentalności polowania na czarownice, które każe doszukiwać się przyczyn trudności ekonomicznych w niedobrych jednostkach, nie zaś w niedobrych umowach czy nierównościach systemowych. Ludzie pracy byli mobilizowani nie po to, żeby poszukiwali ekonomicznych rozwiązań dla problemów gospodarczych, ale odwetu na wyimaginowanych kozłach ofiarnych. Innymi słowy, wyrazem ich sprzeciwu wobec liberalizmu gospodarczego miał być antyliberalizm w sferze polityki", David Ost, *Klęska „Solidarności"*, s. 227.

politycznej znaczną liczbę ich potencjalnych i faktycznych rywali, zostawiając im znacznie większy zakres swobody niż ten, jaki w innych okolicznościach byłby im przypadł.

LiD i lewica

Lewicowość w Polsce przypisywano dotychczas, mylnie, Sojuszowi Lewicy Demokratycznej. Sam Sojusz tej pomyłki z jakichś powodów do tej pory nie sprostował. Przez pewien czas lewicowość była przypisywana koalicji ugrupowań partyjnych, zmontowanej na okoliczność wyborów w 2007 roku pod nazwą Lewica i Demokraci. Formacja ta składała się z pięciu elementów: najsilniejszy w nim był SLD, znacznie słabsze to Partia Demokratyczna, SDPL i Unia Pracy. Były prezydent Aleksander Kwaśniewski stanowił piąty element. Fakt pojawienia się LiD-u w tym okresie można było uznać za krok we właściwym kierunku, chociażby dlatego, że jedność wcześniej dominującego SLD osiągano metodami prowadzącymi do monolityczności, co blokowało jego wewnętrzne życia polityczne i doprowadziło tę formację do upadku. Sam fakt, że LiD był złożony z kilku dość autonomicznych elementów, wykluczał monolityczność i był podstawą do większej nadziei na większą demokratyczną kontrolę wewnątrz tej formacji.

Jedną z wielu dość oczywistych konkluzji druzgocącej krytyki SLD było to, że nie była to partia lewicowa. Czy więc pluralistyczny LiD dawał nadzieję na realizację programu lewicowego? Większość analityków miała problemy z udzieleniem pozytywnej odpowiedzi na to pytanie.

Mieczysław Rakowski powitał włączenie się Kwaśniewskiego do LiD-u z nadzieją na pozyskanie głosów wyborczych dla tej formacji. Miał nawet nadzieję, że Kwaśniewski przysporzy LiDowi wystarczającą liczbę głosów, aby lewica mogła odebrać prawicy władzę nad Polską.

Nadzieje te nie były całkiem bezpodstawne, albowiem istotnie, na tle zacietrzewionych, patologicznych osobowości, które doszły w 2005 roku do władzy, były prezydent prezentował się, przynajmniej do czasu, wyjątkowo dobrze: jako wzór zrównoważenia i umiarkowania, rozumności i rozsądku politycznego. Mimo dolegliwości goleniowych i innych przypadków zdrowotnych, demonstrował godność i elegancję dyplomaty, dzięki której przyzwoicie reprezentowałby Polskę za granicą w przyszło-

ści, jak to uprzednio przeważnie czynił. W społeczeństwie polskim jest silna tęsknota za taką, choćby powierzchowną, salonową ogładą, kulturą osobistą i przyzwoitością, do jakiej przyzwyczaił Polaków Kwaśniewski przez 10 lat prezydentury. Polityczno-medialna estetyczność Kwaśniewskiego mogła przysporzyć głosów lewicy, ponieważ w Polakach, którzy sami nie są zbyt estetyczni, jest tęsknota do posiadania przedmiotu, który interpasywnie wypełniłby dezyderat estetyczności za nich. Kwaśniewski więc wydawał się atutem, z którego nie należało rezygnować. Ile jednak było lewicowości w Aleksandrze Kwaśniewskim? Wydaje się, że tyle samo, co poprzednio, czyli niewiele. Poza tym w kluczowym momencie zeszło zeń jakoś sporo powietrza.

W okrojonym i kurczącym się SLD natomiast lewicowości było nieco więcej niż wcześniej; należało to uznawać za świadectwo nauczki z dominującej poprzednio bezideowości, karierowiczostwa i pęczakizmu, które spotkały się ze słuszną karą wyborczą. Zauważalnie zwiększone wówczas w SLD zaangażowanie po stronie rozmaicie, zazwyczaj archaicznie rozumianej lewicowości, było także skutkiem represyjnej polityki historycznej Prawa i Sprawiedliwości, dążącego do kryminalizacji okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, oraz PiS-owskiej polityki lustracyjnej, która miała na celu odebranie godności i sensu ludzkim życiorysom, ukształtowanym w minionym systemie i szukającym w SLD swojej politycznej reprezentacji. Bardziej problematyczna była lewicowość Marka Borowskiego, który po wystąpieniu z Sojuszu Lewicy Demokratycznej i utworzeniu Socjaldemokracji Polskiej na zawsze będzie musiał się borykać ze swoją opinią liberała i rozłamowca. Najwięcej lewicowości było chyba w Unii Pracy, choć jest to partia tak słaba, że nie można się było spodziewać, by była źródłem znaczącego poparcia dla lewicowego bloku wyborczego.

Wystający korzeń

W Partii Demokratycznej było tyle samo lewicowości, co demokracji. Przykładem tego był Jan Lityński, który, choć dał się poznać jako osoba zasadniczo niewybieralna do jakichkolwiek gremiów politycznych, ze wstydem i zażenowaniem uzasadniał swoje uczestnictwo w LiD-zie, z widoczną pogardą odnosząc się do SLD, choć doskonale wiedział, że jeżeli kiedykolwiek zo-

stanie do czegokolwiek wybrany, to tylko dzięki resztkom siły SLD. Partia Demokratyczna dokonała znacznego wysiłku, polegającego głównie na zagryzaniu zębów, aby stowarzyszyć się z coraz mniej, ale na zawsze postkomunistycznym SLD; dlatego na drodze do jakiegokolwiek spójnego porozumienia programowego z nim stanął i zawsze będzie stał wystający z gleby historii korzeń genetyczny, nieodmiennie zatrudniany do celów eksterminacji politycznej.

Problem korzenia wielokrotnie i bardzo mocno ważył na polskiej polityce w jej kluczowych momentach: gdyby swego czasu politycy Unii Demokratycznej, Unii Wolności oraz Ryszard Bugaj zechcieli współpracować z SLD w rządzeniu krajem, gdyby w zgodzie z demokratycznymi zasadami nie ulegali szantażowi paranoicznych polityków z Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi, Janem Rokitą i Antonim Macierewiczem, i nie kierowali się przekonaniem Ewy Milewicz, że z samej historycznej natury SLD wynika, iż wolno mu mniej, to nie tylko zyskaliby dla siebie trwałe miejsce w polityce, nie tylko nie uległiby marginalizacji, nie tylko nie dopuściliby do spęczakowienia SLD, nie tylko doprowadziliby do marginalizacji radykałów konserwatywnej prawicy, ale także przyczyniliby się znacznie do rozwoju kraju.

Dzięki korzeniowi, który im wszystkim wystawał i przeszkadzał, pod każdym z wymienionych względów stało się dokładnie odwrotnie, ze szkodą dla wszystkich i dla kraju. Choć bowiem mieli wtedy gęby pełne wspólnego dobra i demokracji, tego wszystkiego wówczas nie uczynili. I nikt nie poniósł za to odpowiedzialności. Nie uczynili tego również w 2007 roku, kiedy nadarzała się po temu kolejna historyczna sposobność. Przywódca Platformy Obywatelskiej Donald Tusk wpadał w panikę pod wpływem kłamliwej, zajadłej retoryki, propagandy oraz hakowego szantażu Kaczyńskich, odżegnując się od koalicji z LiD-em, ponieważ przecież władał w nim Kwaśniewski, król Rywinlandu, oraz jego służba, SLD, swego czasu zwana przez jednego z Kaczyńskich „grupą przestępczą". Z powodu korzenia, retoryka Rywinlandu przekonywała Tuska znacznie bardziej niż fakt, że w okresie późniejszym sam PiS był oskarżany o przekształcenie się w grupę przestępczą. Było tak m.in. dlatego, że podczas czterogodzinnej kurtuazyjnej rozmowy w sierpniu 2007 roku prezydent Kaczyński pokazał premierowi

Tuskowi kompromitujące dokumenty na pięciu czołowych członków Platformy.

Z tych powodów likwidacja podstaw dyktatury w Polsce, zbudowanych przez braci Kaczyńskich, ministra Zbigniewa Ziobro i szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego Mariusza Kamińskiego, nie mogła być pełna. Tusk bał się nie tylko publicznych skutków bezwzględnego opluskiwania jego i Platformy przez Kaczyńskich i Jarosława Kurskiego oraz niepublicznych haków na jego dwór, ale także Jana Rokity, który wówczas tkwił jeszcze w Platformie, prawdopodobnie na wypadek, gdyby miało dojść do koalicji Platformy z PiS-em, i który wcale nie pragnął demontażu „IV RP", lecz jej twórczej kontynuacji i wzmożenia, aby on sam miał instrumenty służące szarpaniu za cugle. LiD nie powinien był więc deklarować koalicji z tchórzliwą PO, ponieważ wiadomo było, że przy najbliższej okazji potknie się ona o wystający korzeń, zaś Jarosław Kaczyński pospołu z Janem Rokitą będą tym korzeniem na wszelki wypadek bez przerwy wymachiwać. Z powodu tego korzenia Polska była i pozostanie krajem zaprzepaszczonych szans.

Poszerzenie pola walki

Konstrukcja LiD-u była przypadkowa, niespójna i nieprzekonująca, w niczym nie odpowiadała więc mglistemu pomysłowi Roberta Kwiatkowskiego, aby lewica w Polsce wymyśliła się na nowo. Na dodatek LiD, choć ledwie powstał, to już przejawiał niepokojące cechy ekskluzywistyczne, unikając podejmowania kwestii stanowiących zadanie lewicy, na niektóre zaś był najwyraźniej alergiczny. Była to jednak jedyna formacja, z którą można było wiązać nadzieje na poskromienie czyścicielskich zapędów PiS-u i tchórzliwej nieobliczalności Platformy, postępującej według nieodpowiedzialnych idei i fochów Jana Rokity, który, do chwili swojej politycznej śmierci, był jednym z największych szkodników politycznych w Polsce.

LiD był także formacją niepełną i niedojrzałą. Aby spełnić nadzieje na realizację nowoczesnego programu lewicowego, LiD winien był postąpić wedle taktyki *wrogiego przejęcia* i *poszerzenia pola walki*. Wrogie przejęcie powinno było polegać na zawłaszczeniu części postulatów PiS-u, poszerzenie pola walki zaś na podjęciu kwestii programowych, których inne partie nie były

w stanie podjąć i na radykalizacji zaangażowania. Jak słusznie radził Jerzy Urban, taktyka ta winna była być zaplanowana na długi marsz do władzy. Nade wszystko LiD winien był otworzyć ramy swej kulawej formuły, aby dopełnić się o inne oraz o nowe twarze, pojawiające się w polskim teatrze politycznym.

Wrogie przejęcie

Ważną częścią programu LiD-u winna była się stać realizacja niektórych postulatów programowych Prawa i Sprawiedliwości wbrew jemu samemu. Tę część nazwałbym polityką uznania: polegać powinna na uznaniu praw i potrzeb zarówno materialnych, jak i godnościowych tych grup społecznych, które uległy marginalizacji w III RP, oraz tych, które zostały sponiewierane przez „IV RP". LiD winien był więc dokonać wrogiego przejęcia haseł polityki historycznej, drugiej Bawarii oraz bezpieczeństwa militarnego i energetycznego Polski. Polityka historyczna w wydaniu LiD-u winna była dążyć do przywrócenia godności ludziom zaangażowanym w budowę PRL i III RP, co można osiągnąć przez likwidację ustawowego szantażu lustracyjnego i zamknięcie IPN. Realizacja postulatów socjalnych, które PiS zapowiadał i których nie zrealizował, winna zaś zawierać m.in. hasło: „pomożemy wam zbudować trzy miliony mieszkań i napełnić wasze lodówki".

Druga Bawaria

Postulat drugiej Bawarii należało podnieść dlatego, że Bawaria to najnowocześniejszy i najdostatniejszy kraj niemiecki, który jest dla Polski wzorcem do naśladowania o wiele bardziej prawdopodobnym niż druga Japonia, oraz dlatego, że choć jest to najbardziej katolicki w Europie (wbrew oficjalnym zapewnieniom Kościoła, Polska takim krajem nie jest, o czym jego dostojnicy doskonale wiedzą), w sferze publicznej Bawarii starannie przestrzega się rozdziału państwa i kościołów. Bawaria zawdzięcza to słynnej sprawie „krzyża bawarskiego"; w jej rezultacie skutecznie nakazano zdjęcie krzyży w klasach szkół publicznych. Sprawa ta stanowiła jeden z elementów odpolitycznienia katolickiej wiary, co miało dobry skutek zarówno dla bawarskiej przestrzeni politycznej, jak i dla Kościoła.

Korzystając z tego wzoru LiD winien był obiecać konsekwentną politykę neutralności światopoglądowej państwa, by zniwelować wpływ Kościoła katolickiego na państwo, który jest szkodliwy dla państwa, a jeszcze bardziej dla Kościoła. LiD powinien był zacząć od góry i zapowiedzieć usunięcie krzyża z sali obrad Sejmu, powieszonego potajemnie pod osłoną nocy przez skompromitowanych polityków AWS, z uszkodzeniem futryny zresztą. Warto przypomnieć, że przez cały okres swego marszałkowskiego urzędowania tego krzyża nie zdecydował się zdjąć gospodarz Sejmu jednej z poprzedniej kadencji, Marek Borowski. LiD powinien był zapowiedzieć likwidację komisji majątkowej, trudniącej się rozdawnictwem najatrakcyjniejszych gruntów dla Kościoła oraz zmusić Tadeusza Rydzyka, właściciela fasadowo religijnej stacji radiowej, do przestrzegania prawa, tj. do dostarczania szczegółowych sprawozdań finansowych do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Zwrot ku Europie

Gdy w połowie rządów SLD doszło do parlamentarnej oceny polityki zagranicznej prowadzonej przez SLD pod kierunkiem Włodzimierza Cimoszewicza, która obejmowała także decyzję o wysłaniu wojsk polskich na wojnę w Iraku, wszystkie ówczesne siły polityczne wyraziły aprobatę dla tego kroku; uczynili to nawet bracia Kaczyńscy. Było to ostateczne potwierdzenie, że ówczesny SLD obrał katastrofalny kierunek w polityce zagranicznej; PiS tego kierunku nie tylko nie zakwestionował, lecz poddał nieudolnej kontynuacji. Wraz z upadkiem hegemonii USA ten kierunek okazał się całkowicie chybiony. Dlatego najwięcej sprzątania wymaga polska polityka zagraniczna; trzeba tam pozamiatać nie tylko po braciach Kaczyńskich i minister Annie Fotydze, ale i po Włodzimierzu Cimoszewiczu i Aleksandrze Kwaśniewskim. Warto pamiętać, że delegacja PiS-owskiego rządu w trzyminutowej rozmowie z prezydentem USA, ustami ówczesnego ministra PiS-u, Radosława Sikorskiego, który jako jedyny przyzwoicie władał językiem angielskim, służalczo zadeklarowała gotowość wysłania wojsk polskich do Afganistanu, choć wcześniejsze zaangażowanie wojsk polskich w Iraku było przedmiotem szyderstwa ówczesnego gubernatora Iraku L. Pau-

la Bremera III[7] i Kongresu USA. Ekspedycja afgańska, jak się okazuje, ma równie chybiony charakter.

Głównym punktem programu nowej polskiej lewicy winien był być zdecydowany, klarowny sygnał o trwale proeuropejskim charakterze polskiej polityki zagranicznej. Elementem tego sygnału winna była być zapowiedź o natychmiastowym wycofaniu wojsk polskich z Iraku i Afganistanu, wypowiedzenie umowy na tę część Jastrzębi, które wówczas jeszcze nie doleciały do Polski oraz wycofanie się z realizowanego, jak zdaje się, kontraktu na budowę amerykańskich helikopterów w Polsce oraz wozów bojowych „Rosomak". LiD powinien był też deklarować, że pieniądze zaoszczędzone na absurdalnej militaryzacji Polski, karykaturalnie eksponowanej przez Kaczyńskich, jakby to była jakaś bananowa republika, wyda na służbę zdrowia, zwielokrotnione becikowe, edukację i naukę.

Rura bałtycka czy jamalska?

Należało także zadeklarować radykalny zwrot w polityce wobec Niemiec i Rosji. Podstawą tego kroku winna była być LiD-owska polityka energetyczna, stanowiąca trzon polityki PiS-u i mająca na celu uniemożliwienie Rosjanom oraz Niemcom budowę gazociągu bałtyckiego. Jest pewne, że dopóki w Polsce będą miały znaczący wpływ ugrupowania narodowo-prawicowe, Niemcy oraz Rosjanie będą dążyć do realizacji kosztownej budowy gazociągu przez Bałtyk, a politycy pokroju Kaczyńskich i Sikorskiego będą nazywali tę umowę repliką paktu Ribbentrop-Mołotow, ośmieszając siebie i Polskę oraz przynosząc nieoszacowane szkody Polsce i Europie.

LiD mógłby wytrącić ten argument PiS-owi, nie tyle uniemożliwiając budowę tego gazociągu, co na próżno chciał osiągnąć PiS, lecz czyniąc tę budowę nonsensowną. Ten pisowski postulat można było zrealizować bardzo prosto: LiD powinien był zadeklarować, że zaoferuje Rosjanom i Niemcom, by, najle-

[7] Gdy idzie o stanowisko polskich władz wojskowych wobec uwag krytycznych na temat „amatorszczyzny" oddziałów polskich w Iraku, sformułowanych przez gubernatora L. Paula Bremera III, por. wypowiedzi rzecznika prasowego Ministerstwa Obrony Piotra Paszkowskiego „Position of the Ministry of National Defence in the matter concerning the critical remarks of Paul Bremmer regarding the mission of Polish soldiers in Iraq", http://www.wp.mil.pl/en/artykul/14332006-01-13.

piej do spółki z Aleksandrem Gudzowatym i J&S, poprowadzili drugą nitkę rurociągu jamalskiego przez Polskę.

Dla przypomnienia: jej budowę, choć już zaplanowaną, uniemożliwił AWS-owski rząd Jerzego Buzka, głównie pod pretekstem kabla światłowodowego, poprowadzonego wzdłuż pierwszej nitki, podobno niezgodnie z umową. Trudno pomyśleć o bardziej antypolskim i antyeuropejskim kroku niż ówczesny polski sprzeciw wobec drugiej nitki gazociągu jamajskiego, przebiegającego przez Polskę. Gdyby doszło do jego budowy, Polacy i Niemcy byliby zadowoleni z tańszego gazu, Rosjanie byliby zadowoleni z łatwości jego sprzedaży i taniości drugiego rurociągu, Polska ponadto inkasowałaby opłaty tranzytowe, a Europa jako całość byłaby bardziej niezależnym i bardziej konkurencyjnym wobec USA, Chin i Indii organizmem ekonomicznym niż obecnie.

Trzeba także przypomnieć, że ważką rolę w ówczesnej antygazpromowskiej i antyrosyjskiej kampanii propagandowej odegrała polska prasa, która za namową i w interesie zachodnich koncernów telekomunikacyjnych Debis, Pirelli i Alcatel, rozpętała wrzawę, że światłowód ma charakter szpiegowski i antypolski[8]. Naprawdę chodziło o to, aby Gazprom i Bartimpex nie zarobili paru dodatkowych milionów dolarów. Rosjanie wówczas zrozumieli, że Polska, nawet pod rządami SLD, staje się trwale niezdolna do współpracy gospodarczej i z drugiej nitki Jamału zrezygnowali, a teraz budują znacznie bardziej kosztowny rurociąg po dnie Bałtyku. SLD zaś wtedy potulnie milczał, dowodząc, że bardziej liczy się z opinią „Gazety Wyborczej" niż z interesem Polski i Europy, ponieważ bał się posądzenia o cień prorosyjskości, czym mu nachalnie przed oczami wymachiwała prawica, która to robiła bez względu na to, co SLD robił, także wtedy, gdy nic kompletnie nie robił.

Piękna para

Za dowód na dochodzenie do rozumu przez Jadwigę Staniszkis można uznać jej stwierdzenie, że „politycznym konkurentem PiS może być [Marek] Dyduch, a nie [Sławomir] Sierakowski". Z przeproszeniem Sławomira Sierakowskiego, do tej opinii wypadało przychylić się najbardziej. Aby LiD mógł pra-

[8] Por. np. Andrzej Kublik, *Oskarżenia za Gas-Trading i światłowód*, „Gazeta Wyborcza", 19 czerwca 2002.

womocnie uchodzić za partię lewicową, powinien był dopuścić do swego grona bardzo nieprawdopodobną, ale za to bardzo piękną parę: Marka Dyducha wraz z jego Porozumieniem Lewicy, oraz Manuelę Gretkowską z jej Partią Kobiet.

Autentyczne poszerzenie pola walki przez polską lewicę mogło dokonać się tylko przez ukształtowanie szerokiego frontu walki z tymi formacjami, które dążą do zamykania przestrzeni publicznej dla różnych form wolności i kształtowania podmiotowości indywidualnej. Mdły i niewyraźny LiD tego nie oferował. Sierakowski, świetny analityk i publicysta, konstruowany przez swoich prawicowych kolegów dziennikarzy jako ucieleśnienie nowoczesnej lewicowości, podejmuje ważkie kwestie emancypacyjne, lecz czyni to w sposób teoretyczno-publicystyczny i powierzchownie przeintelektualizowany, który nie przełoży się na głosy wyborcze. W publicznym podejmowaniu tych kwestii lepiej sprawuje się Kinga Dunin i Magda Środa.

Włączenie przez LiD tych dwóch formacji, na czele których stały znane, choć z zupełnie różnych powodów, osoby, byłoby najprostszym i najbardziej dostępnym sposobem nadania LiDowi cech lewicowości. Gretkowska i Dyduch byliby w stanie zapewnić efekt poszerzenia pola walki znacznie skuteczniej niż inne figury na szachownicy politycznej. Dlatego, że nie są to pionki.

Polscy pracobiorcy, znani obecnie jako „świat pracy", wcześniej zaś jako „polska klasa robotnicza", od dłuższego czasu nie mają żadnej reprezentacji politycznej[9]. Nie mają co liczyć na otłuszczoną „Solidarność", składającą się obecnie z opasłych i leniwych kotów związkowych, poświęcających czas świętowaniu kombatanckich rocznic, zarządzaniu półlegalnymi SKOKami oraz nieruchomościami, na których zostali uwłaszczeni przez solidarnościowe rządy. Marek Dyduch z kolei w krótkim czasie stał się jedynym symbolem dążeń do upodmiotowienia zdez-

[9] W początkowej fazie transformacji kraju polscy robotnicy dysponowali silną reprezentacją polityczną. Problem polegał na tym, że reprezentacja ta uznała za swój neoliberalny program przemian rynkowych, w sposób świadomy działając wbrew interesom klasy robotniczej. „Pod koniec 1989 roku okazało się, że związek [„Solidarność"] nie umie zająć stanowiska wobec ważnej ustawy o indeksacji płac, ponieważ wszyscy jego eksperci 'przeszli właśnie do Ministerstwa Pracy'. Około 95 procent ekspertów 'Solidarności' z Regionu Mazowsze przeszło do końca roku do innej pracy, przeważnie na stanowiska rządowe" (Ost, *Klęska „Solidarności"*, s. 128).

organizowanej klasy pracowników najemnych. Już wtedy miał on duże doświadczenie polityczne, zdobyte w SLD jako jego sekretarz generalny. Boleśnie przeżył przygodę z milleryzmem i otrząsnął się z niego (przez pewien czas wydawało się, że nawet sam Leszek Miller otrząsnął się z milleryzmu). Dyduch stanął na czele ruchu autentycznie pracowniczego. W jego skład wchodziły PPS, Polska Partia Pracy, Racja Polskiej Lewicy i Ruch Odrodzenia Gospodarczego im. Edwarda Gierka. Były nadzieje, że do przystąpienia do Porozumienia Lewicy uda się Dyduchowi przekonać Związek Nauczycielstwa Polskiego, OPZZ oraz Krajową Partię Emerytów i Rencistów.

Manuela Gretkowska, jedna z najbłyskotliwszych intelektualnie kobiet w Polsce, śmiała i kontrowersyjna pisarka, wykazała się niesłychaną odwagą, zakładając partię stawiającą sobie za cel upodmiotowienie polskich kobiet, które, zapewne ku uciesze posłanki reprezentującej PiS Jolanty Szczypińskiej, są w Polsce przedmiotem bezprzykładnych represji społecznych i politycznych. Byłaby w stanie zadbać o rozwiązanie kwestii społecznych dotyczących kobiet, a także o sprawy kultury. A poza tym była wtedy i pozostaje nadal znacznie bardziej estetyczna niż Aleksander Kwaśniewski i nie pozwoliłaby mu się zagadać. I na pewno czytała książki Michela Houllebecqa, od którego pożyczyłem tytułu dla tego rozdziału.

3.
Dlaczego polscy liberałowie potrzebują lewicy?

Duchy przeszłości — duchy modernizacji

Jak każdy kraj o realno-socjalistycznej przeszłości, Polska boryka się z dwoma widmami. Jedno z nich to widmo przeszłości, drugie — widmo przyszłości. Modny od pewnego czasu w Polsce filozof słoweński, Slavoj Žižek pisał: „Jak uciec przed tymi dwoma widmami, to znaczy przez duchami historycznej przeszłości, oraz przed duchami rodzącymi się dzięki pośpiesznej kapitalistycznej modernizacji? Nie potrafię udzielić odpowiedzi na to pytanie, lecz posłużę się anegdotą na temat Polski, która w odniesieniu do tej sprawy jest pouczająca i która dowodzi, że my, w Słowenii możemy się wiele nauczyć od Polski. Mniej więcej rok temu usłyszałem pogłoskę, że Adam Michnik i Generał Wojciech Jaruzelski zostali przyjaciółmi. Pełen sceptycyzmu wobec tej plotki postanowiłem zapytać o to samego Michnika, spotkawszy go na jakimś przyjęciu w Nowym Jorku; on zaś, ku mojemu zdumieniu, potwierdził tę informację. By uniknąć jakichkolwiek nieporozumień chciałbym stwierdzić, że nie mam wiele sympatii dla argumentacji ludzi starających się uzasadnić wprowadzenie stanu wojennego przez Jaruzelskiego za po-

mocą jakichś 'patriotycznych' racji; jednakże wiadomość o przyjaźni obu tych ludzi bardzo mnie poruszyła: na tym właśnie polega owa *kultura*, na której wspiera się cywilizacja, przyjaźń taka jednak byłaby całkowicie nie do pomyślenia w Słowenii, gdzie nadal grzęźniemy w żałosnych, drobnych, osobistych animozjach"[1].

Choć Žižek jest Słoweńcem, to większość swego czasu spędza poza postkomunistyczną Słowenią, w Polsce zaś bywa rzadko. Z tej racji zapewne jego wyobrażenie o polskim ogólnonarodowym pojednaniu i wybaczeniu między byłymi ofiarami komunizmu, symbolizowanymi przez Michnika, a byłymi oprawcami, symbolizowanymi przez Generała Wojciecha Jaruzelskiego, jest przesadnie wyidealizowane. Jedyne pocieszenie, że w Słowenii podobno jest jeszcze gorzej.

W chwili obecnej kluczowym zagadnieniem polityki polskiej jest odpowiedź na pytanie, jak odeprzeć zagrożenia symbolizowane przez te dwa widma. Kwestię tę rozumiem jako pytanie o wzajemny stosunek liberalizmu i lewicy, o możliwość współdziałania między tymi formacjami we wspólnym celu: pokonania zmór przeszłości i skutecznego stawienia czoła wyzwaniom przyszłości.

Pytanie to może wydawać się całkowicie chybione, ponieważ w obecnej Polsce zarówno liberalizm, jak i lewicowość stały się raczej obraźliwymi epitetami aniżeli nazwami dla postaw godnych pochwały, choć za takie uchodziły jeszcze w całkiem niedalekiej przeszłości. Dodać także należy, że liberalizm jest obecnie nie tylko ideologicznie obciążony, ale i poważnie osłabiony, natomiast lewica przestała niemal istnieć. Mimo tych trudności, a w istocie wbrew nim, chciałbym, stawiając pytanie o wzajemny stosunek liberalizmu i lewicowości, wskazać płaszczyznę możliwej współpracy między tymi dwoma projektami społeczno-politycznymi. Kwestię stosunku liberalizmu do lewicy pragnę rozważyć między innymi za pomocą odniesień do kilku, w niektórych wypadkach prywatnych wypowiedzi Adama Michnika, czołowej postaci lewicy laickiej oraz liberalizmu demokratycznego w Polsce. Wypowiedzi te stanowią nie tylko symptomy pewnych wzajemnych uprzedzeń, które utrudniały współpracę

[1] Slavoj Žižek, *Przekleństwo fantazji*, przekł. Adam Chmielewski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2001, s. 13.

liberałów i lewicy, ale także wskazują, że taka współpraca jest możliwa.

Kryzys lewicy

Gdy Tony Blair przybył do Waszyngtonu na jedno ze słynnych seminariów, podczas których wykuwano sens tzw. trzeciej drogi, nie był pewien, w którą stronę ma się udać w ogromnym budynku, gdzie odbywało się spotkanie. Zapytał więc o drogę portiera: „W którym pokoju jest spotkanie na temat trzeciej drogi?". Na to portier odpowiedział: „Szanowny panie, tu nie ma żadnej trzeciej drogi. Tu jest tylko jedna droga i prowadzi na wprost".

Blair opowiadał tę anegdotę jako uzasadnienie dla swojej politycznej decyzji o obraniu drogi pośredniej między socjalizmem i neoliberalizmem. Oznaczała ona rezygnację z idei socjalistycznego państwa dobrobytu i akceptację liberalnego, choć oczywiście zwodniczego przekonania o szkodliwości ingerencji politycznych w sferę ekonomii. Anegdota ta jest symptomem myślenia, jakie zagościło współcześnie w formacjach lewicowych w wielu krajach. Mianowicie uznały one, iż w obecnym momencie historii poszukiwanie dróg alternatywnych wobec drogi liberalnej nie jest już możliwe. Mimo znacznych różnic między Tony Blairem i Margaret Thatcher, ideologia „trzeciej drogi", a także sposób jej prezentacji, nie różniły się zbytnio od idei symbolizującej wcześniejszy thatcherowski neokonserwatyzm liberalny: sądzono, że dla niej także nie ma alternatywy. Ideę tę uznały za zniewalającą formacje lewicowe i socjaldemokratyczne zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i Niemczech. Tak też stało się w Polsce.

Rozpad

Jeden ze stereotypów na temat obu stron polskiej polityki głosił, że lewica ma charakter monolityczny, prawica zaś jest skłócona[2]. Monolityczność lewicy oznaczała wszelako nie tylko despotyczny sposób kierowania tą partą przez jej przywódców, którzy wobec szeregów partyjnych prezentowali się jako ktoś, kto zawsze wie lepiej, jak postępować; oznaczała także narzuconą monolityczność ideologiczną. Tą ideologią była właśnie

[2] Na ten temat por. Adam Chmielewski, *Dwie koncepcje jedności. Interwencje filozoficzno-polityczne*, Oficyna Branta, Bydgoszcz–Wrocław 2006.

„trzecia droga". Nieudolna próba naśladowania ideologii trzeciej drogi wyparła resztki treści lewicowej i składała się niemal wyłącznie z liberalnego pragmatyzmu, wskutek czego SLD przeobraził się w *business club* dla inwestorów i przedsiębiorców. Wyrugowano z niej nie tylko tradycyjne, archaiczne już klasowo-robotnicze treści i postulaty, lecz także próby krytyki błędnej decyzji o przyłączeniu się do koalicji chętnych do wojny w Iraku i Afganistanie, choć wielu trafnie przewidywało, że obie te wojny doprowadzą do katastrofy, zaś sposób polskiego zaangażowania w nią wystawi Polskę na śmieszność.

Mit monolityczności, wskutek jego uporczywego powtarzania, stał się prawdą i przyniósł porażkę lewicy dlatego, że obie strony polskiej sceny politycznej weń uwierzyły i wyciągnęły z niego wnioski. Prawica, uświadomiwszy sobie, że jej przyrodzona kłótliwość faktycznie jest dla niej szkodliwa, z trudem, lecz mimo wszystko uczyła się swoje animozje skrywać, a nawet powściągać i równoważyć, dążąc do konsolidacji podobnej do tej, która uprzednio przynosiła lewicy spektakularne zwycięstwa. Lewica natomiast, zwłaszcza jej kierownictwo różnych szczebli, działało w oparciu o wiarę w niezawodną monolityczność swej partii, ponieważ dotychczas monolityczność faktycznie dawała lewicy przewagę nad innymi partiami.

Po rozpęknięciu monolitu, spod gruzów postkomunistycznej lewicy wyłoniła się pewna liczba formacji o charakterze lewicowym, które pozostawały ze sobą w bliższych lub luźniejszych związkach, choć także w sporach programowych i personalnych. Ugrupowania te skoncentrowały uwagę nie na problematyce ekonomiczno-gospodarczej, lecz politycznej i obyczajowo-światopoglądowej. Największym z nowych ugrupowań jest Socjaldemokracja Polska, a powstały także inne formacje o charakterze lewicowym.

Porażka nowej lewicy w wyborach powszechnych w 2007 roku jednoznacznie wskazuje, że świeżo po rozproszeniu nieskonsolidowane ugrupowania lewicowe nie miały w Polsce szans na sukces polityczny. Pierwsze próby konsolidacyjne, które odbyły się przy respekcie dla odrębnej tożsamości programowej i strukturalnej ugrupowań, przyniosły jednak obiecujące wyniki polityczne w późniejszych wyborach lokalnych. Możliwe, że dalsza konsolidacja, na podobnych zasadach, przyniesie oczekiwaną zmianę. Jednakże w rachubach i oczekiwaniach na tę

zmianę należy wziąć pod uwagę dwie okoliczności: teoretyczną i ogólną, oraz praktyczną, partykularną, czysto polską.

Okoliczność teoretyczna wiąże się z różnicą, jaka dzieli każde ugrupowanie liberalno-lewicowe od ugrupowań prawicowych. Jedną z podstawowych wartości definiujących intelektualną postawę liberalno-lewicową bowiem jest tolerancja. Z tych powodów dla każdej formacji, która pragnie uchodzić za liberalną i lewicową, zakres tolerancji może być ograniczony jedynie zasadą, według której nie ma tolerancji dla nietolerancyjnych. Natomiast fundamentalizm, zwłaszcza typowy dla ugrupowań skrajnie prawicowych, wyraża się w zasadzie, że nie ma tolerancji dla tolerancyjnych. Z zasady obowiązującej na gruncie dobrze nam znanego polskiego fundamentalizmu, zgodnie z którą nie ma tolerancji dla tolerancji jednoznacznie wynika, że dla wyznawców takiej postawy nie ma żadnej tolerancji. Ta teoretyczna różnica wyznacza front zmagań politycznych między liberalizmem i lewicą z jednej strony, z drugiej zaś z prawicą. Jednakże, z racji wskazanej wyżej różnicy w poziomie doktrynalnej pryncypialności i politycznej eksterminacyjnej nieustępliwości, partie liberalne i lewicowe, zwłaszcza słabe, są w rywalizacji z prawicą w gorszej pozycji.

Pomieszanie języków

Benjamin Barber, czołowy myśliciel lewicy amerykańskiej, miał powiedzieć, że republikanie w USA, choć reprezentują interesy tylko 15% ludności Ameryki, przemawiają językiem, który trafia do 85% wyborców. Natomiast demokraci, reprezentujący interesy 85% ludności w Stanach Zjednoczonych, przemawiają „językiem lesbijek i pedałów". To spostrzeżenie w pewnym stopniu odnosi się także do sytuacji kształtującej się w Polsce po upadku monolitycznej lewicy postkomunistycznej.

Chyba nigdzie na świecie nie udało się skonsolidować różnych idei i zadań społecznych w spójny program, który by połączył różne ugrupowania na lewo od centrum. Idee alterglobalistyczne, feministyczne, ekologiczne, antyrasistowskie, idee wdrażania i pielęgnowania światopoglądowej neutralności państwa, walka o równy status dla ludzi o odmiennych orientacjach seksualnych, wszystko to naturalne składniki myślenia lewicowego we współczesnym świecie, lecz są one zazwyczaj reprezentowane przez trudne do zjednoczenia, zróżnicowane ugrupowa-

nia społeczne i polityczne. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że partia polityczna, która w Polsce wypisałaby te wszystkie idee na swoich sztandarach, nie mogłaby liczyć na sukces wyborczy. Byłoby za to czymś bardzo dziwnym, gdyby którakolwiek z istniejących partii zechciała głośno walczyć o prawa mniejszości homoseksualnych, albowiem jest to recepta na prawicowe szyderstwo, które łatwo zyskuje poklask w homofobicznej świadomości społecznej. W paternalistycznym społeczeństwie trudno liczyć na popularność wynikającą z głoszenia idei feministycznych, poza tym w Polsce nawet kobiety nie chcą być feministkami. Dlatego również pod tym względem przed przyszłą polską lewicą, jeżeli taka powstanie, stoją ogromne trudności: kto z polskich polityków chciałby uchodzić za reprezentanta bezrobotnych, pedałów, lesbijek, feministek, alterglobalistów czy obrońców natury, którą wszak mamy czynić sobie poddaną?

Trudno zwłaszcza w Polsce liczyć na popularność idei ekologicznych i alterglobalistycznych, ponieważ w świadomości publicznej naszemu krajowi potrzeba więcej globalizacji i więcej energochłonnych miejsc pracy, które, nie mając za co i nie umiejąc ich stworzyć sami, winniśmy przejąć od obcych, najlepiej od Niemców. Jest to jednak możliwe pod warunkiem, że uda się utrzymać płace polskich robotników na „konkurencyjnym", to znaczy niskim poziomie.

Problem polega na tym, że polscy młodzi i zdolni robotnicy nie chcą marnować swojej młodości pracując za konkurencyjne, czyli znikome wynagrodzenie; natomiast kapitał zagraniczny nie chce zaoferować im wyższych płac, ponieważ znikłaby wówczas racja jego obecności w Polsce. Obecnie problem skomplikował się jeszcze bardziej, ponieważ młodzi ludzie nie chcą czekać, aż liberalny reżym ekonomiczny zdecyduje się podnieść płace w kraju: dzięki Unii Europejskiej znaleźli już lepiej płatne zatrudnienie za granicą. Ci zaś, którzy zostali, nie mają entuzjazmu do tego, by miejsca pracy tworzone w Polsce przez zagraniczny kapitał, z wydatnym wsparciem rządu i samorządów lokalnych, przejmowali importowani pracownicy z Chin i Korei, zwłaszcza Północnej. Skutek rozkroku między dążeniem do modernizacji realizowanej możliwie najtańszym kosztem, a uzasadnionymi oczekiwaniami społecznymi, może być taki, że być może niebawem dojdzie do sytuacji, w której podkupieni przez polski rząd zagraniczni inwestorzy z Korei Południowej, sku-

szeni taniością polskiej siły roboczej, będą w pustej hali fabrycznej firmy LG patrzeć z wyrzutem na tych, którzy ich zwabili do podwrocławskich Bielan, ponieważ, wbrew obietnicom, nie udało im się zapędzić Polaków do roboty za tysiąc złotych[3].

Liberalne samoograniczenie

Słysząc o moim, przyznaję, że dość klasztornym zaangażowaniu w próby odnowienia formacji lewicowej, Adam Michnik zareagował: „I co? Pewnie będziecie stawiać problem aborcji jako główną kwestię polityczną? Niech was ręka boska broni! Nie można w Polsce robić polityki przeciwko Kościołowi!".

To stwierdzenie Michnika nie powinno zaskakiwać, ponieważ jest w zgodzie z jego konsekwentnymi próbami, aby doprowadzić do trwałego sojuszu liberalnej lewicy laickiej z katolickim ołtarzem. Słysząc je jednak z przykrością stwierdziłem, że w człowieku uchodzącym za czołowego przedstawiciela demokracji liberalnej i lewicy laickiej w Polsce lewica walcząca o prawa kobiet nie ma co szukać sojusznika. Uznałem również, że to wielka szkoda, iż nadal uważa on, że w Polsce nie wolno robić polityki przeciwko Kościołowi, ale można ją robić przeciwko prawom kobiet.

Jednakże niedługo potem doszło do dwóch istotnych wydarzeń: Manuela Gretkowska, nie oglądając się na aprobatę Adama Michnika, założyła Partię Kobiet, dla której kwestia aborcji była jednym z ważkich problemów politycznych. „Gazeta Wyborcza" wsparła zresztą starania Gretkowskiej, słusznie, sporym szumem medialnym. Wydarzeniem drugim było podjęcie działań ze strony Kościoła i radykalnej prawicy, mających na celu zaostrzenie prawa antyaborcyjnego. Mimo starań Michnika o sojusz między lewicą laicką a katolickim Kościołem, oni także nie oglądali się na jego zgodę. Ponieważ Kościół tak właśnie wyobraża sobie sojusz z kimkolwiek, a zwłaszcza z prokościelną laicką lewicą.

Przytoczoną wyżej, prywatną wypowiedź Adama Michnika można potraktować jako jeden z licznych symptomów świadomego samoograniczenia się liberalizmu w realizacji społecznych zadań emancypacyjnych. To także przykład tego, w jaki sposób mariaż doktryny i *Realpolitik* prowadzi do kompromisów

[3] Por. np. jeden z licznych niedawnych sygnałów w tej sprawie: *Robotnicy żądają podwyżek. Firmy podniosą ceny*, „Gazeta Wyborcza", 14 maja 2007.

podcinających siłę polityczną idei. Co więcej, dobrowolne uznanie ideologicznej dominacji takiej wersji liberalizmu przez nową „zliberalizowaną" lewicę w Polsce doprowadziło do zablokowania przestrzeni publicznej dla pewnych zadań emancypacyjnych, których nie chciał podjąć liberalizm, ponieważ sam ich nie podejmując, nie pozwalał również podejmować ich tym, którzy chcieli pozostawać z liberalizmem w sojuszu.

Nie jest to rzecz nowa. Symptom ten towarzyszy liberalizmowi od zawsze. Jako pierwszy zapewne dał mu wyraz liberalny konserwatysta Edmund Burke, który głosił, że na rządzie nie spoczywa obowiązek zapewniania „biednym tych niezbędnych rzeczy, które wolą Opatrzności Bożej zostały im tymczasowo odmówione. My, ludzie, powinniśmy sobie uświadomić, że nasze nadzieje na złagodzenie boskiego gniewu i zwalczenie wszystkich klęsk, które nas dotykają, musimy pokładać w przestrzeganiu praw handlu, które są prawami natury, a w konsekwencji prawami Bożymi"[4]. To jeden z wielu przykładów degeneracyjnej ewolucji liberalizmu, która znalazła wielu naśladowców i która wynikała z samoograniczeń, jakie liberalizm narzucał sobie samemu, zazwyczaj w imię *Realpolitik* i dla zachowania politycznego *status quo*. Niektórzy liberałowie polscy pojmowali potencjał emancypacyjny liberalizmu w sposób bardzo zawężony, ograniczając się nade wszystko do żądania uwolnienia gospodarki od państwa. Nie sądzili, iż bycie liberałem wymaga prowadzenia polityki neutralności państwa w kwestiach światopoglądowych i uważali to za sprawę drugorzędną. Postawa ta dała o sobie znać w podpisaniu konkordatu z Watykanem, krytycznie ocenianego przez środowiska laicko-liberalne, czy w odniesieniu do sprawy religii w szkołach państwowych, wprowadzonej w niekonstytucyjny sposób przez pierwszy niekomunistyczny rząd w Polsce, wieszania krzyży w klasach szkolnych czy w izbie parlamentu.

Liberalna hipokryzja

Bertrand Russell ironicznie wypowiadał się o XIX-wiecznych francuskich wolnomyślicielach, którzy sami chętnie korzystali z wszelkich swobód liberalnych, ale żon dla siebie szukali wśród katoliczek, traktując ich religijną wiarę jako gwarancję, że nie

[4] Por. Robert Eccleshall, *Political Ideologies*, Routledge, London 1994, s. 68.

zostaną rogaczami[5]. Postawa polskich liberałów jest podobna. Jeden z nich, Janusz Lewandowski, mówił np.: „Chociaż my, polscy liberałowie, sporadycznie zadzieraliśmy z tradycją, szanowaliśmy stabilizujące wartości chrześcijańskie". „My — liberałowie — tak naprawdę to lubimy [tj. okruchy kultury zachodniej, w tym erotyzm], ale uważamy, że u schyłku komunizmu było to jednak narzędzie szatana". Co do religii w szkołach państwowych Lewandowski stwierdzał: „Ja akurat nie byłem zwolennikiem religii w państwowej szkole. Paradoks polega na tym, że religia nie jest lekcją obowiązkową, ale uczęszcza się na nią z przymusu obyczajowego. Mimo to nie uważam, żeby religia w szkole była głównym dylematem polskiego liberalizmu. Dla mnie główny problem polegał na tym, że odrodzenie wolnego rynku wymagało interwencji państwa"[6].

Wszyscy wiemy: pozyskanie przychylności Kościoła katolickiego dla liberalnej transformacji kraju było niezbędne. Ale nie było też trudne, ponieważ w walce przeciwko komunizmowi posoborowy Kościół przyjął wiele idei liberalizmu. Zaakceptował ideę praw człowieka, bezwzględnie łamanych przez totalitaryzm komunistyczny; ideę wolności wyznania, gwałconą przez poprzedni ustrój; idee wolności słowa i publikacji, które Kościołowi utrudniały spełnianie swojej misji w poprzednim okresie, a nawet ideę tolerancji religijnej, mającej ogromne znaczenie w wielokulturowym ponowoczesnym świecie, której brak w warunkach realnego socjalizmu uznawał za przejaw prześladowania. Było jednak oczywiste, że Kościół zaakceptował te liberalne idee, ponieważ postrzegał je jako instrumenty w walce przeciwko komunizmowi. Z chwilą jego obalenia porzucił je jako już niepotrzebne i dokonał głębokiej redefinicji swojej pozycji wobec upowszechniających się wartości liberalnych w wymiarze politycznym i społecznym.

Redefinicja ta zaczęła się od ataku na prawa człowieka, co doprowadziło do drastycznego ograniczenia wolności wyboru kobiet i mężczyzn do planowania rodziny. Za pośrednictwem podporządkowanych mu partii politycznych, Kościół doprowadził do złamania liberalnej idei państwa neutralnego, niekonstytu-

---

[5] Bertrand Russell, *Portrety z pamięci. Wartość wolnej myśli*, przekł. A. Chmielewski Wrocław 1995, s. 89.

[6] *Wolność, nie równość*, rozmowa z Januszem Lewandowskim, „Gazeta Wyborcza", 15–16 stycznia 2000.

cyjnie wymuszając wprowadzenie lekcji religii w szkołach państwowych. Wywierając moralną presję przymusił władze szkolne do wieszania krzyży w salach szkół publicznych. Przedstawiciele Kościoła kwestionują prawo odmiennych wyznań do równej swobody praktykowania swych obrzędów, posługując się deprecjonującą kategorią „sekt" i podważając tym samym wolność sumienia i swobodę wyznawania religii, o które nie tak dawno się upominał. Potępia środki masowego przekazu za propagowanie szkodliwych stylów życia, niesłusznych idei politycznych i moralnych, pornografii i bluźnierstw, co jest wyrazem niezgody na liberalną ideę wolności słowa, o jaką sam zabiegał, gdy jego własne prawa do swobody wypowiedzi były ograniczane. Rozbudowuje własną sieć medialną, wymuszając na liberalno-demokratycznym państwie wsparcie polityczne, administracyjne i finansowe, osiągane rękoma służalczych polityków[7].

Pułapka fundamentalizmu

Hegel określił średniowieczne chrześcijaństwo katolickie mianem świadomości nieszczęśliwej. Wskazał bowiem, że im uporczywiej dąży ono do osiągnięcia swego ideału, tym bardziej to sobie uniemożliwia. Zauważył, że szukając ideału w cielesnej ascezie, chrześcijanie padali ofiarą skupienia całej swojej uwagi właśnie na tym, od czego chcieli uciec, tj. na własnej cielesności.

Kościół w Polsce i jego fundamentalistyczni poplecznicy polityczni popadają w analogiczną pułapkę, czyhającą na każdy fundamentalizm. Przykładem tego jest działalność Marka Jurka, byłego marszałka Sejmu, którego antyaborcyjny nieustępliwy maksymalizm uniemożliwił mu przybliżenie się do jego ideału, tj. całkowitego zakazu aborcji, czy aktywność ministerstwa edukacji tzw. IV RP, które dążąc do wyplenienia homoseksualizmu i seksualizmu ze szkół, więcej zrobiło dla popularyzacji seksu i homoseksualizmu w szkołach niż wszystkie stowarzyszenia gejowsko-lesbijskie razem wzięte.

Obecna postawa Kościoła katolickiego w Polsce jest w istocie wymierzona przeciwko światopoglądowi liberalnemu, ponieważ jest on obecnie jedynym oponentem, jaki pozostał i jaki faktycznie zagraża sile i wpływom Kościoła w narodzie, który

[7] Więcej na ten temat por. Adam Chmielewski, *Społeczeństwo otwarte czy wspólnota?*, Arboretum, Wrocław 2001.

deklaratywnie uchodzi za katolicki, lecz w spontaniczny sposób coraz bardziej odchodzi w życiu od Chrystusowych nakazów moralnych. Natarczywość Kościoła w obecnym życiu politycznym Polski jest nie tyle skutkiem jego faktycznej siły, co raczej osłabienia żarliwości religijnej wiernych. Wzmocnienie, jakie Kościół uzyskuje za pośrednictwem wsparcia politycznego i finansowego od konstytucyjnie neutralnego państwa, rzadko bywa wzmocnieniem duchowym, jest bowiem zazwyczaj wzmocnieniem wyłącznie materialnym, na które zubożeni wierni reagują z nasiloną niechęcią. To polityczne i materialne wsparcie prowadzi raczej do tego, iż tak wzmacniany Kościół systematycznie przekształca w imponującą, lecz coraz bardziej pustą budowlę. Ważniejsze jest jednak to, że Kościół zabiegał o sojusz swojego ołtarza z tronem nie po to, aby podporządkować się tronowi, lecz żeby tron podporządkować swemu ołtarzowi. W tych okolicznościach nakaz liberałów, by nie prowadzić polityki przeciwko Kościołowi, stracił na uzasadnieniu. Co więcej, jest on krokiem w kierunku autodestrukcji zarówno liberalizmu, jak i Kościoła.

Liberalny ekskluzywizm

W początkach transformacji krajów środkowo-europejskich pewien liberalny parlamentarzysta węgierski (był to zapewne Janoš Kiš), w sposób charakterystyczny dla liberałów znanych z polskiego życia politycznego, powiedział mi, że w jego przekonaniu liberalizm powinien być ekskluzywnym klubem. Zastrzegł zarazem, że według niego wstęp do tego klubu powinien być udzielany za bardzo wysoką opłatą.

Chociaż te słowa padły w połowie lat 90-tych, to bez trudu można z nich odczytać powody, które w początkach XX stuleciu doprowadziły do porażki liberalizmu w wielu miejscach świata. Jego porażka wzięła się stąd, że różne formacje liberalne popadły w samozadowolenie ze swoich częściowych sukcesów, pogrążyły się w elitarnym ekskluzywizmie, dogodnie zapominając o położeniu wielu grup społecznych.

Nie znaczy to, że sami liberałowie nie dostrzegali co jakiś czas konieczności skorygowania tej samoograniczającej się i ekskluzywnej postawy. Taki charakter miał, częściowo, liberalizm angielski Johna Stuarta Milla, a także brytyjski liberalizm powojenny, reprezentowany m.in. przez Elliota Doddsa, L. T. Ho-

bhouse'a i Johna A. Hobsona. Jeden z jego przedstawicieli, Sir William Beveridge, zwolennik Keynesowskiej „mieszanej" ekonomii, uważał, że wolność, o którą walczy liberalizm, „oznacza więcej, niż wolność od arbitralnej władzy Rządu. Oznacza ona wolność od ekonomicznego poddaństwa wobec Biedy i Nędzy oraz innych społecznych krzywd; oznacza ona wolność od arbitralnej władzy w jakiejkolwiek postaci. Człowiek głodny nie jest wolny, ponieważ dopóki nie zostanie nakarmiony, nie będzie myślał o niczym innym, jak tylko o tym, aby zaspokoić swe najpilniejsze potrzeby; nie jest już człowiekiem, lecz zwierzęciem. Człowiek, który nie śmie zaprotestować przeciwko temu, co uznaje za niesprawiedliwość ze strony pracodawcy czy kierownika, ponieważ boi się popaść w chroniczne bezrobocie — nie jest człowiekiem wolnym"[8].

Mimo tych, niestety nielicznych wyjątków, siły liberalne, gdy tylko zdobyły uprzywilejowane pozycje społeczne, zazwyczaj natychmiast okopywały się na nich, broniąc do nich dostępu tym, którzy również oczekiwali na wyzwolenie. Z powodu tego samoograniczenia liberalizm trwonił swoje emancypacyjne i polityczne siły oraz społeczne poparcie. Wskutek liberalnej rezygnacji ze swego potencjału emancypacyjnego, pojawiły się doktryny i ruchy polityczne, które podjęły zadanie przeniesienia tego potencjału, jakiego liberalizm nie chciał wykorzystać, na obszary społeczne zaniedbane przez liberałów, zarazem odbierając im władzę. Tak stało się w początkach XX stuleciu. Tak też stało się w przechodzącej liberalną transformację Polsce.

Liberalne samozadowolenie

W początkach aktywności ruchu „Samoobrona", gdy pod przewodnictwem Andrzeja Leppera blokowała ona kraj, Adam Michnik mówił na wykładach o tym, jakiej demokracji potrzebuje Polska. Zapytałem go, czy nie sądzi, iż zagrożeniem dla demokracji w Polsce nie są już polityczni spadkobiercy Wincentego Witosa, krytykowani ówcześnie za to, że z chłopską pazernością zawłaszczali stanowiska państwowe, lecz raczej spadkobiercy Jakuba Szeli. Michnik najpierw zażartował, że Waldemar Pawlak przypomina Wincentego Witosa w tej samej mierze, w jakiej Andrzej Lepper przypomina Jakuba Szelę. Potem dodał, poważniej,

[8] Robert Eccleshall, *Political Ideologies*, s. 54–55.

że nie ma w Polsce powodu do niepokoju, albowiem w większości ustabilizowanych demokracji populizm jest powszechnym zjawiskiem: ma przecież Francja swojego Jean-Marie Le Pena, mają Włochy Gianfranco Finiego, Niemcy Gerharda Freya, Belgia zaś swój Vlaams Blok.

Obie te odpowiedzi uznałem wtedy za dowód przesadnej liberalnej pewności siebie. Nadal tak uważam.

Było to w okresie, gdy w całej Europie środkowej nieodpowiedzialny populizm dopiero zaczynał swoje dzieło powolnego, lecz systematycznego wypierania z polityki formacji umiarkowanych i liberalnych. Niebawem do Władimira Żyrynowskiego w Rosji i polskiego Andrzeja Leppera dołączył Istvan Csurka na Węgrzech, Jan Slota i Vladimir Meciar w Słowacji, Miroslaw Sladek w Czechach i Jörg Haider w Austrii.

Szczególnie symptomatyczne były wypowiedzi polskich liberałów w obliczu zwycięstwa Haidera w Austrii. Ówczesny polski minister spraw zagranicznych, Bronisław Geremek stwierdził, że Haider to „ani lewica, ani prawica; on jest całkowicie poza spektrum politycznym" i „głosi poglądy sprzeczne z dziedzictwem europejskim". Był to zaiste nowatorski wkład wybitnego historyka do historii nazizmu. Czempion wolności Jan Nowak-Jeziorański apelował ze swej strony, by Europejczycy masowo rezygnowali z wyjazdu na narty w Alpy Austriackie, dzięki czemu gospodarka tego kraju padnie na kolana, co „będzie miało zbawienny wpływ na społeczeństwo austriackie"[9].

Tyle mniej więcej pozostaje z liberalnej wiary w racjonalizm filozoficzny oraz z rozumności politycznej samych liberałów w obliczu zagrożenia, o liberalnym postulacie oddzielenia ekonomii od polityki przez litość nie wspominając.

Jakkolwiek Haider i inni populiści ponieśli rychło porażkę, to potem nie było lepiej, wręcz przeciwnie. Gwiazdę Gerharda Freya w Niemczech przyćmiły sukcesy początkowo wykluczonego PDS; belgijski Vlaams Blok, po nakazie rozwiązania, zreorganizował się i systematycznie zyskuje coraz większe poparcie polityczne; w Holandii pojawił się Pim Fortuyn, którego śmierć w zamachu 6 maja 2002 roku przysporzyła tylko popularności jego partii. Przyszłość nie rysuje się lepiej.

---

[9] Por. także Adam Chmielewski, *Walc wiedeński i walec europejski oraz inne interwencje filozoficzno-polityczne*, Atla2, Wrocław 2001.

Należy docenić rolę odegraną przez „Gazetę Wyborczą" w powstrzymaniu dalszego pochodu populistycznej Samoobrony przez ujawnienie korupcji i gwałcenia (praw) kobiet, jakie miało miejsce w tej partii. Jednakże przesadne liberalne samozadowolenie w stosunku do początkowych faz samoobronnego populizmu otworzyło w Polsce drogę do powstania skrajnie antyliberalnego systemu władzy, który skutecznie zepchnął liberalizm na margines życia publicznego i przypiął mu brzydką gębę, zaś pojęcie „liberalizmu", nie tak dawno komplement, skutecznie przeobraził w obelżywy epitet.

Obie ręce wolne

Po wyborczej klęsce lewicy i liberałów w 2005 roku Rafał Ziemkiewicz, jeden z ideologów prawicy i autor książki pt. *Michnikowszczyzna*, w reakcji na nieśmiałe twierdzenie jednego z liberałów, że polska polityka potrzebuje lewicy, odpowiedział w typowo „prawicowy", szyderczy, nie dopuszczający sprzeciwu sposób: „A po co...?" Po pierwszych latach sprawowania władzy przez ówczesny układ słowa te zyskały nieoczekiwany nowy sens: istotnie, lewica w Polsce nie jest potrzebna prawicy; dzięki temu ma ona obie wolne ręce, aby tym łatwiej zniszczyć formacje liberalne i całkowicie zagarnąć dla siebie przestrzeń publiczną.

Skrajna prawica była na najlepszej drodze do realizacji tego celu. Było to dla niej tym łatwiejsze, że jej doktrynalny fundamentalizm i polityczna nieustępliwość pozwalały jej za nic mieć liberalną opinię o niej samej. Negatywna opinia o prawicy, formułowana z liberalnego punktu widzenia, była i nadal jest dla niej jedynie dodatkowym potwierdzeniem słuszności jej antyliberalnej drogi i tylko napędza jej nieustępliwość. Dlatego może sobie pozwolić na postępowanie zgodne z aroganckim przekonaniem, że prawicy wolno znacznie więcej niż komukolwiek innemu. Ugrupowania te okazują się przy tym niejednokrotnie nie mniej zachłanne i nie mniej skorumpowane niż postkomunistyczna lewica. Z tą jednak różnicą, że postkomuniści wstydzili się nie tylko grzechu swego pochodzenia z nieprawego, komunistycznego łoża, lecz także własnych nadużyć.

Choć więc Leszek Miller obiecywał, że swoim dekretem może kazać gruszkom rosnąć na wierzbie, to był nie tyle wyraz jego wiary w siłę partii, ile jego osobistej arogancji, a jeszcze bardziej

jego medialnego tupeciarstwa. Choć wiódł SLD do objęcia tysięcy stanowisk w państwie, to przynajmniej o tym głośno nie mówił, jak to bezrozumnie robił Marian Krzaklewski. Choć Rywin przyszedł do Michnika żądając 17,5 mln dolarów za coś, czego — mimo wytężonych wysiłków specjalnej komisji parlamentarnej — nigdy nie zrozumiałem, to zaraz poszedł do więzienia, chociaż nikt nikomu tych pieniędzy nie dał. Natomiast za faktyczne roztrwonienie co najmniej 175 milionów publicznych złotych — tj. ok. 60 milionów dolarów — na katolicką telewizję Puls nikt nie poszedł do więzienia, ani nawet nie został oskarżony. Skorumpowani politycy SLD, sprawcy i ofiary pęczakizmu, grzecznie szli do więzienia, gdzie często siedzą do tej pory, i tym się różnią np. od byłego posła prawicowo-katolickiej AWS Marka Kolasińskiego, który w ostatnim dniu obowiązywania swego immunitetu poselskiego uciekł, jak złodziej, którym, jak się zdaje, faktycznie był, i schronił się w katolickim klasztorze na Słowacji. Szukał bezkarności za mundurkiem sutanny, która w Polsce, niestety, często służy jako nienaruszalny immunitet dla wielu nieuczciwych i rozwiązłych ludzi.

Dwa populizmy

Za słuszny można uznać potoczny stereotyp, według którego klasy posiadające i establishment polityczny mają szczególną skłonność ku liberalizmowi, natomiast siedliskiem populizmu są zazwyczaj ruchy lewicowe. Jest tak dlatego, że karmią się one buntem i gniewem wydziedziczonych mas przeciwko klasom je wyzyskującym. Populizm, tradycyjnie uznawany za nieodłączną cechę formacji i ideologii lewicowych, kojarzony również z anarchizmem, jest więc formą buntu wydziedziczonych, zachłannych mas, nie mających w swojej drapieżności względu na dobro wspólne, a nade wszystko, jak by powiedział Leon XIII, na świętą i prawomocną własność klas posiadających. Liberalizm współczesny prezentuje się zatem jako formacja odpowiedzialna; populizm zaś jako formacja (czy raczej de-formacja) nieodpowiedzialna. Liberalizm jest tolerancyjny; populizm, kojarzony z fundamentalizmem, jest nietolerancyjny. Populizm żywi się ekskluzywizmem, liberalizm jest inkluzywny.

Ivan Krastev wskazał pewną liczbę cech współczesnych ruchów populistycznych. Są to: autentyczny gniew; anarchizm; niechęć do elit; niejasność proponowanych rozwiązań polityczno-

gospodarczych; egalitaryzm ekonomiczny; kulturowy konserwatyzm; nacjonalizm; ksenofobia; eurosceptycyzm; antykapitalizm; retoryka antykorupcyjna[10]. Od razu widać, że nie można uznać polskich partii, które podają się za lewicowe, za populistyczne w tym sensie. Populizm bowiem oderwał się od swego korzenia w ruchach i ideologiach lewicowych, których był tradycyjnym siedliskiem, i przeniósł się bez reszty na te partie, które w Polsce, i gdzie indziej, podają się za prawicowe.

Choć Andrzej Lepper, uchodzący w Polsce za ucieleśnienie stereotypowego populisty, nie objął pełni władzy, to wraz ze swoją partią stał się jednym z filarów bloku politycznego, który wyczerpywał wszelkie znamiona populizmu w swej nowatorskiej, prawicowej odmianie. Ideologię tego bloku streszczały następujące slogany: „Jeńców żywcem brać nie będziemy! Obalimy stolik, przy którym grają politycy, biznesmeni, byli członkowie służb specjalnych i skorumpowani dziennikarze! Balcerowicz musi odejść! Odejść musi także Korporacja Geremka! Wyplenimy michnikowszczynę i samego Michnika! Zbudujemy 3 miliony mieszkań! Do końca życia pozostanę katolikiem; wszystkich pozostałych też do tego zmuszę, bo nie ma w Polsce alternatywy dla moralności katolickiej. Będziemy bronić interesu narodowego i bezpieczeństwa energetycznego kraju, zwłaszcza przed odwiecznym zagrożeniem niemieckim i rosyjskim!". Najistotniejszą jednak sprawą jest to, że anarchizm, nieodłączny element dawnego, lewicowego populizmu, w populizmie prawicowym został zastąpiony represyjną ideologią prawa i porządku oraz groteskowymi próbami militaryzacji przestrzeni publicznej.

Jakie wartości i pryncypia zdołał przeciwstawić tej populistycznej retoryce współczesny polski liberalizm? Jedyną poważną alternatywą jest coś, co określono już mianem populizmu wolnorynkowego. Odwołuje się on do wartości neoliberalnych, każdorazowo wspieranych za pomocą zniewalających, logicznych i nieodparcie racjonalnych argumentów. W skład tych wartości wchodzi idea niezbywalnych praw człowieka, nienaruszalność autonomii jednostki, idea praworządności, na straży której stać ma minimalne państwo oraz idea wolności gospodarczej, zwłaszcza od interwencji państwa. Jest to nowoczesna, dla celów ideologicznych poskromiona i przystrzyżona wersja neo-

[10] Ivan Krastev, *The New Europe: respectable populism, clockwork liberalism*, w: „openDemocracy", 21 marca 2006.

darwinizmu społecznego. Ideologia ta, co łatwo zauważyć, najsilniej przemawia do młodych, rzutkich pracowników korporacji zachodnich oraz do studentów pierwszych lat politologii, którzy są z reguły zwolennikami konglomeratu idei kojarzonych w Polsce z nazwiskiem Janusza Korwina-Mikkego, dopóki schorzenie to bezpowrotnie im nie przejdzie, gdy zaczną szukać pracy na liberalnym rynku pracy.

Jest ona znana w bardziej eleganckiej formie także z publicystyki Witolda Gadomskiego. Problem w tym, że nawet jeżeli ma on zazwyczaj nieodpartą, logiczną i racjonalną słuszność, to jego racje zazwyczaj nie przystają do skomplikowanej, nielogicznej rzeczywistości, jak również nie przemawiają do zwolenników Andrzeja Leppera ani do tych, których nie stać na codzienne kupno „Gazety Wyborczej". Kiedy powiedziałem to Adamowi Michnikowi, przyznał, że też czasami spiera się z Gadomskim. Lecz zaraz dodał: „Ale musi pan przyznać: jakiż to wyborny publicysta!". Przyznaję. Ale Kinga Dunin też niczego sobie[11].

Widać także, że żadnej płaszczyzny porozumienia między tymi dwoma populizmami być nie może, albowiem jest to wykluczone na mocy cech dyskursów, którymi się one posługują. Współczesne zderzenie obu tych form działania politycznego, za którymi kryją się dobrze zdiagnozowane idee polityczne, wydaje się nowoczesną postacią walki klas.

Mówiąc inaczej to, z czym mamy obecnie do czynienia w Polsce, to przykład lakanowsko/žižkowego „powrotu tego, co wyparte". Obecny fundamentalizm, populizm, irracjonalizm, religijnie organizowana i wyzyskiwana stadność społeczna, to rezultat wypierania z przestrzeni publicznej zjawisk uznawanych przez liberalizm za głęboko sprzeczne z wartościami liberalnymi. Nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca w dominującym dyskursie liberalnym, który podchodził do nich wyłącznie z perspektywy zaślepionej negacji, protekcjonalnej pobłażliwości lub bezsilnego potępienia, powróciły one w dwójnasób i ze zdwojoną siłą, w rewanżu marginalizując i represjonując sam liberalizm.

---

[11] Por np. Kinga Dunin, *Podatki są fajne*, „Gazeta Wyborcza", 24 lutego 2007; odpowiedź Witolda Gadomskiego, *Rynek jest ciepły*, „Gazeta Wyborcza" 3 marca 2007; oraz odpowiedź Kingi Dunin, *Niewidzialna noga rynku*, „Gazeta Wyborcza" 23 marca 2007.

Powrót tego, co wyparte, to także powrót tego, co polityczne. Jednakże liberalizm, który rozumie politykę jako proceduralną, ściśle uregulowaną działalność prawotwórczą, stracił w tej konfrontacji inicjatywę polityczną i robi z siebie żałosny spektakl, dążąc do okiełznania obudzonej i rozwścieczonej siły za pomocą bezsilnej sieci pajęczej praw. Liberałowie zapomnieli o słowach swego prekursora, Thomasa Hobbesa, że prawa, których nie wspiera siła, są jedynie pustymi słowami.

Szukanie alternatywy

Czy *jest* jakaś alternatywa? Na czym miałoby polegać skuteczne działanie polityczne, które nie jest ani dogmatycznym, ekskluzywnym oraz ograniczającym siebie oraz innych liberalizmem, a nieodpowiedzialnym fundamentalistycznym populizmem? Czy w dialektycznych zmaganiach prawicowego liberalizmu z prawicowym populizmem, które przeobrażają się w swoistą heglowską symbiozę, znajdzie się luka, w której mogłaby się odnowić nowoczesna myśl lewicowa i zawiązać sojusz z prawdziwie zdemokratyzowanym liberalizmem? Wydaje się, że taka możliwość istnieje i można jej szukać mniej więcej w tym samym miejscu, w której radykalna myśl lewicowa się pojawiła po raz pierwszy jako siła polityczna w XIX stuleciu.

Dla Johna Rawlsa, teoretyka nowoczesnego liberalizmu, szczególne znaczenie miała idea kompleksowości doktryny (*comprehensiveness of a doctrine*)[12]. Twierdził on zwłaszcza, że jego własna teoria sprawiedliwości jako bezstronności nie miała takiego całościowego charakteru i świadomie unikał przeobrażenia jej w taką całościową koncepcję; argumentował, że jego koncepcję należy traktować jako samodzielny [*free-standing*] moduł, zawierający określone rozwiązanie polityczne, nie zaś jako wszechogarniający pogląd, oferujący swoim wyznawcom odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania. Pod tym względem jego liberalizm polityczny różni się od stanowisk moralnych i religijnych, świadomie dążących do takiej całościowości. Nie zmienia to jednak faktu, że liberalizm był i jest traktowany jako całościowa wizja społeczeństwa sprawiedliwego, obejmująca sferę ekonomiczną, polityczną i światopoglądowo-obyczajową, oferu-

[12] John Rawls, *Political Liberalism*, Columbia University Press, New York, 1993, s. 13; 175; wyd. pol.: *Liberalizm polityczny*, przekł. Adam Romaniuk, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa, s. 45; 246–247.

jąca także program działania, który ma umożliwić wcielenie tej wizji w życie społeczne. Liberalizm jest jednak także doktryną urozmaiconą, a raczej konglomeratem doktryn powiązanych wspólnym odwołaniem do idei emancypacji. Rozmaitość wersji liberalizmu ma swoje źródło w tym, że emancypacyjny potencjał liberalizmu kształtował się i ujawniał w walce z różnymi formami zniewolenia i przemocy, głównie w wąsko pojętej sferze politycznej i ekonomicznej. Kształtował się jednak także w sferze moralnej, obyczajowej, religijnej i seksualnej. Wskutek selektywnego nacisku na poszczególne lub tylko niektóre z tych wartości, jakie można zaliczyć do zbioru wartości liberalnych, nie można mówić o jednym liberalizmie, lecz trafniej jest postrzegać liberalizm jako rozległą rodzinę koncepcji.

Związek kompleksowości i rozmaitości doktrynalnej liberalizmu wymaga wyjaśnienia. Rozmaitość wersji liberalizmu jest pochodną tego, że różne historycznie znane formy polityki liberalnej zadowalały się niepełną, a więc nie kompleksową i nie całościową realizacją wiązki dążeń emancypacyjnych, które są potencjalnie wpisane w liberalizm, lecz nie doczekały się pełnej realizacji. Częściowa realizacja liberalnych postulatów w przeszłości zmuszała inne grupy społeczne do podejmowania dążeń emancypacyjnych, które liberalizm obiecywał i formułował, lecz ich nie podejmował.

Uczyniły to na przykład kobiety, które nie stały się beneficjentami niewątpliwych, ale tylko częściowych sukcesów liberalizmu. Wyrazem niezgody na niepełną realizację obietnic emancypacyjnych był też ruch intelektualistów skupionych w literacko-artystycznej grupie Bloomsbury. Ośmieleni przez Lyttona Stracheya i jego skandalizującą książkę *Eminent Victorians*, podnieśli bunt przeciwko zakłamaniu epoki wiktoriańskiej, tyleż liberalnej w ekonomii, co konserwatywnej w moralności. Bloomsberries walczyli skutecznie nie tylko z zakłamaniem moralnym, ale i z brytyjskim represyjnym systemem prawnym. Dzięki nim na przykład prawo, na mocy którego osadzono w więzieniu Oscara Wilde'a za jego homoseksualizm, zostało zmienione. Niektórych członków i akolitów tej grupy, np. George'a Herberta Wellsa, spotykał swego czasu w Londynie jeden z nielicznych reprezentantów wątłej polskiej tradycji zdrowego rozsądku, Antoni Słonimski, późniejszy mentor Adama Michnika.

Kompleksowość światopoglądu lewicowego

Każdy, kto uczył się filozofii marksistowskiej przed 1989 rokiem, dowiadywał się, że marksizm miał trzy źródła, tj. socjalizm utopijny, materializm Ludwiga Feuerbacha oraz dialektykę wziętą od Georga Wilhelma Hegla, a także trzy części składowe, tj. materializm dialektyczny, materializm historyczny oraz teorię rewolucji proletariackiej. Z perspektywy współczesnej trafniejsze chyba są słowa Georgesa Sorela, który twierdził, że marksizm składa się również z trzech części, jednakże rozumiał je inaczej: część pierwsza to zbiór dogmatów, druga to kanon historycznej interpretacji, trzecia zaś to mit mający na celu wspieranie samoświadomości i siły klasy robotniczej [13].

Przesłanie Karola Marksa miało zasadniczo etyczno-emancypacyjny charakter i obejmowało sferę przede wszystkim ekonomiczną; w sposób ściśle podobny do niektórych wersji liberalizmu, emancypacja człowieka w tym obszarze miała skutkować wyzwoleniem człowieka w pozostałych, nadbudowanych nad tą podstawową sferach. Marksizm jako całościowa ideologia obejmował ideę celu dziejów, których motorem jest klasa robotnicza i jej awangarda, partia komunistyczna, z biegiem czasu zaś tylko aparat partyjny. Zawierał także opis mechanizmów historycznych, które miały prowadzić do tego celu, obejmujący m.in. aktywistyczną ideę walki klasowej. Wskazywał również technikę osiągania tego celu; była nią rewolucja proletariacka oraz przeciwne „wyalienowanym", to znaczy „uczłowieczone", a więc biurokratyczne, woluntarystyczne mechanizmy ręcznego sterowania całością społeczeństwa, w tym przede wszystkim sferą ekonomiczną.

Wśród grup społecznych, które nie stały się beneficjentami dawnych liberalnych dążeń społecznych i politycznych, znaleźli się także robotnicy. Jest banalną prawdą historyczną, że zarówno wczesne, jak i dojrzałe doktryny socjalistyczno-emancypacyjne zostały sformułowane po pierwszych sukcesach politycznych oraz ekonomicznych liberalizmu. W istocie były one skierowane przeciwko temu, co sami liberałowie postrzegali jako własny sukces. Było tak dlatego, że sukces ten był sukcesem samych liberałów oraz dlatego, że nie chcieli się nim z nikim podzielić. Na

[13] Georges Sorel, *La Decomposition du Marxisme*, Paris 1908; cyt. za: Eugene Kamenka, *The Ethical Foundations of Marxism*, Routledge and Kegan Paul, London 1962, s. 5.

przykład utopijny i wyszydzany przez Karola Marksa socjalista Pierre-Joseph Proudhon uderzył w najświętszą ze zdobyczy i wartości liberalizmu, własność, dość histerycznie stwierdzając, że „własność to kradzież". Ruch socjalistyczny i komunistyczny był więc niechcianym dzieckiem liberalizmu, który zagubił swój emancypacyjny potencjał.

Myśl lewicowa podjęła potencjał porzucony przez liberalizm i poddała go radykalizacji. Radykalizm programu lewicy polegał, po pierwsze, na postulowanym, znacznym rozszerzeniu zakresu wolności i dostępu do dóbr na grupy społeczne, które przez liberałów zostały zaniedbane i/lub wykluczone. Po drugie, polegał na zwiększeniu poziomu żądań emancypacyjnych. A raczej samo poszerzenie zakresu działań emancypacyjnych wiodło do egalitarnych postulatów redystrybucyjnych, co ówczesny establishment, podobnie jak dzisiejszy, uznawał za nieodpowiedzialny, populistyczny radykalizm. Postulowana przez lewicę maksymalizacja i ekstrapolacja dążeń emancypacyjnych była z kolei wprost proporcjonalna do stopnia samozaspokojenia i samozadowolenia liberałów, którzy po swoich początkowych sukcesach popadli w ekskluzywizm i elitaryzm, analogiczne do ekskluzywizmu i elitaryzmu, jakie dały o sobie znać w Europie środkowej po pierwszych sukcesach tutejszej odmiany liberalizmu. Marksizm zatem, podobnie jak liberalizm, również był doktryną całościową. Stwierdzał to m.in. Alasdair MacIntyre, który w swej lewicowej młodości uważał, jak jeden z bohaterów *Czarodziejskiej góry* Thomasa Manna, iż chrześcijaństwo wyczerpało swój potencjał emancypacyjny i że został on przejęty przez nową, zbawczą doktrynę marksizmu[14].

Jezuita Naphta, postać wzorowana przez Thomasa Manna na marksistowskim filozofie György Lukácsu, wypowiada w *Czarodziejskiej górze* następujące słowa: „Wszystkie ekonomiczne zasady [Ojców Kościoła], po wiekach zapomnienia zmartwychwstają w nowoczesnym ruchu komunistycznym. Zgodność jest tu całkowita; ten sam sens ma nawet domaganie się władzy przez międzynarodową pracę wbrew międzynarodowemu handlarstwu i spekulacji, przez proletariat świata, który dziś idee ludzkości i Państwa Bożego przeciwstawia burżuazyjno-kapitalistycznej zgniliźnie. W dyktaturze proletariatu, której politycz-

[14] Alasdair MacIntyre, *Marxism and Christianity*, Pelican Books, Penguin, London 1995.

nie i gospodarczo domagają się nasze czasy, bez której nie ma dla nich zbawienia, nie chodzi o usunięcie przeciwieństwa między duchem a władzą, lecz o przezwyciężenie go pod znakiem krzyża, o przezwyciężenie świata za pomocą panowania nad światem... Proletariat podjął dzieło Grzegorza [Wielkiego], ma jego entuzjazm dla praw boskich i tak samo jak on nie będzie mógł ręki cofnąć przed krwią. Zadaniem jego jest wzbudzenie grozy dla zbawienia świata i dla osiągnięcia tego, co było celem Zbawiciela; bezpaństwowego i bezklasowego synostwa bożego"[15].

Całościowa emancypacja w wersji lewicowej miała się dokonać przez uwolnienie społeczeństw od zniewolenia ze strony kapitału, który powstał właśnie dzięki częściowej realizacji liberalnych postulatów. Mając świadomość, że własność jest dla kapitału najświętsza, Marks nie widział możliwości nakłonienia drogą pokojową właścicieli środków produkcji do podzielenia się swoim „zagrabionym" majątkiem. Dlatego uznawał za konieczne przeprowadzenie rewolucji, której skutkiem miała być głęboka przemiana stosunków społeczno-ekonomicznych, w ślad za którą pójdzie zmiana stosunków w pozostałych sferach i możliwy stanie się cel intelektualnej działalności Marksa, a mianowicie „wszechstronny rozwój każdej jednostki".

Towarzyszyła temu wnikliwa diagnoza mechanizmów rozwoju społecznego. W *Manifeście komunistycznym* czytamy m.in.: „Potrzeba coraz szerszego zbytu dla swych produktów gna burżuazję po całej kuli ziemskiej. Wszędzie musi się ona zagnieździć, wszędzie zadomowić, wszędzie zadzierzgnąć stosunki. Poprzez eksploatację rynku światowego burżuazja nadała produkcji i konsumpcji wszystkich krajów charakter kosmopolityczny. Ku wielkiemu żalowi reakcjonistów usunęła spod nóg przemysłu grunt narodowy. Odwieczne narodowe gałęzie przemysłu uległy zniszczeniu i są dalej co dzień niszczone. Są wypierane przez nowe gałęzie przemysłu, których wprowadzenie staje się kwestią życia dla wszystkich cywilizowanych narodów, przez gałęzie, które przetwarzają już nie miejscowe, lecz sprowadzane z najodleglejszych stref surowce, i których fabrykaty są spożywane nie tylko w kraju, lecz także we wszystkich częściach świata. Miejsce dawnych potrzeb, zaspokajanych przez

[15] Thomas Mann, *Czarodziejska góra*, przekł. Józef Kramsztyk, Czytelnik, Warszawa 1982, t. II, s. 74.

wyroby krajowe, zajmują nowe, których zaspokojenie wymaga produktów najodleglejszych krajów i klimatów. Dawna lokalna i narodowa samowystarczalność i odosobnienie ustępują miejsca wszechstronnym stosunkom wzajemnym i wszechstronnej współzależności narodów. I to zarówno w produkcji materialnej, jak i w produkcji duchowej. Wytwory duchowe poszczególnych narodów stają się wspólnym dobrem. Jednostronność i ograniczoność narodowa staje się rzeczą coraz bardziej niemożliwą i z wielu literatur narodowych i regionalnych powstaje jedna literatura światowa"[16]. Czytamy tam również: „Świątobliwe dreszcze pobożnej egzaltacji, rycerskiego zapału, drobnomieszczańskiej rzewności [burżuazja] zatopiła w lodowatej wodzie egoistycznego wyrachowania. Godność osobistą sprowadziła do wartości wymiennej, a zamiast niezliczonych uwierzytelnionych dokumentami, dobrze nabytych wolności postawiła jedyną, pozbawioną sumienia Wolność Handlu. Słowem, wyzysk osłonięty złudzeniami religijnymi i politycznymi zastąpiła wyzyskiem jawnym, bezwstydnym, bezpośrednim, nagim"[17].

Powstała w ten sposób filozofia społeczna również nosiła charakter kompleksowej doktryny w sensie analogicznym do liberalizmu. Był więc także, jak liberalizm, doktryną emancypacyjną. Tyle, że znacznie ambitniejszą, bo egalitarną.

Paradoksy tradycyjnej lewicowości

Uznawszy aktualność wielu analiz krytycznych Marksa, trudno jednak uznać aktualność marksistowskich recept na schorzenia, jakie niosą ze sobą nowe zjawiska, sformułowane przez tegoż myśliciela. Praktyka polityczna, inspirowana myślą Marksa, okazała się bowiem generować paradoksy i nieprzezwyciężalne sprzeczności. Oto kilka paradoksów myśli i praktyki lewicowej:

Teza o zaniku państwa, jedno z czołowych twierdzeń ideologii marksistowskiej, przekształciła się w praktyce w skrajną etatyzację indywidualnego i zbiorowego życia społecznego.

Zniesiony w interesie klasy robotniczej kapitalistyczny sposób produkcji uległ zastąpieniu przez biurokratyczną formę administrowania. Administrowanie rzeczami, które miało zastąpić administrowanie ludźmi, oznaczało w istocie skrajne w swym

[16] Karol Marks, Fryderyk Engels, *Manifest komunistyczny*, w: Karol Marks, *Pisma wybrane*, PWN, Warszawa 1979, s. 356–358.

[17] *Ibid.*, s. 355–356.

despotyzmie odpodmiotowienie ludzi. Obalenie kapitalistycznej formy gospodarowania, dokonane w imię zniesienia wyzysku mas pracujących, prowadziło na płaszczyźnie teoretycznej do koncentracji na nieudanych poszukiwaniach alternatywnych form gospodarki „socjalistycznej". Brak mechanizmów rynkowych przyniósł w praktyce głębokie zubożenie ludności w tzw. krajach socjalistycznych.

Zwalczaniu nacjonalizmu, które prowadzono zgodnie z zawołaniem, że klasa robotnicza nie ma ojczyzny, towarzyszyło angażowanie się bloku państw realnego socjalizmu w różne formy walki narodowo-wyzwoleńczej. Polityka ta poniosła porażkę na dwóch frontach: zewnętrznym i wewnętrznym. Wiele wyzwolonych spod neokolonializmu narodów popadało w jarzmo innego neokolonializmu i przeciw niemu się buntowało, natomiast do największych wybuchów nacjonalizmu doszło tam, gdzie problem nacjonalizmu wydawał się opanowany w największym stopniu, tj. w ramach bloku państw socjalistycznych. Zjawisku temu towarzyszył wybuch ksenofobii i rasizmu oraz odnowienie siły represjonowanych uczuć religijnych i wzrost aktywności instytucji religijnych.

Odrzuceniu idei indywidualnych praw człowieka, jako burżuazyjnej ideologii, towarzyszyło wykorzystywanie tej idei celem wzniecania zaburzeń w państwach liberalno-demokratycznych.

Z obecnej perspektywy nie ma możliwości przyjęcia idei celu dziejowego, którego istnienie zbiorowy podmiot dziejów byłby w stanie niekontrowersyjnie uzgodnić i następnie dążyć do jego realizacji. Wiek XX bowiem to czas kolejnego odczarowania, a mianowicie odkrycia przygodności mechanizmów i procesów historycznych, a więc nieprzewidywalności historii.

Rozczarowany socjalista

Swego czasu byłem świadkiem, jak Adam Michnik, w rozmowie z przedstawicielem biznesu polskiego, gorąco zaprzeczał, iżby był czołowym kapitalistą polskim. Na ten wyjątkowo nieadekwatny komplement Michnik z dużym skrępowaniem odpowiedział: „Bo tak naprawdę to ja jestem socjalistą, który nie może wybaczyć socjalizmowi, że nie funkcjonuje"[18].

[18] Na temat meandrycznego stanowiska Michnika wobec socjalizmu por. nie

Myśl ta, wyrażona żartobliwie, zawiera istotną prawdę. Można ją interpretować jako wyraz przekonania, że całościowy projekt społeczny marksizmu nie zaoferował wskazań do skutecznej praktyki społecznej ani ekonomicznej, wręcz przeciwnie: emancypacyjna doktryna doprowadziła do opresyjnej praktyki. Antyliberalna droga emancypacyjna doprowadziła więc do katastrofy. Wina za tę katastrofę spada na błędy w rozpoznaniu natury ludzkiej. Błąd najważniejszy polegał na zbyt optymistycznym przekonaniu, iż można zapanować nad zaborczością natury ludzkiej, tj. na niezrozumieniu tego, że efektywna organizacja pracy produkcyjnej, której rezultatem będzie produkcja dóbr wystarczających do zaspokojenia ludzkich potrzeb, wymaga nie wyrzeczenia się instynktu posiadania, lecz umiejętnego zaprzężenia go do wysiłku. Optymistycznie zakładał także, że możliwy i bardziej efektywny będzie odmienny sposób organizowania społecznie wytwarzanych dystrybucji dóbr, aniżeli czynił to w jego czasach potępiany za marnotrawstwo rynek.

Intelektualne pomyłki Marksa, a nade wszystko tragiczne błędy jego politycznych naśladowców w sferze ekonomicznej i politycznej sprawiły, że idea ta została bezpowrotnie zarzucona. To jeden z powodów, dla którego w dekadę po upadku realnego socjalizmu Tony Blair i Gerhard Schröder uznali zgodnie, że w tym obszarze nie ma żadnej innej drogi, jest tylko jedna, że prowadzi ona na wprost i że nie ma od niej odstępstwa. Jednakże przynajmniej niektóre z problemów, o które potknęła się praktyka inspirowana myślą Marksa, wcale nie znikły wraz z upadkiem tradycyjnych formacji lewicowych. Stanowią one aktualne wyzwanie zarówno dla nowoczesnego liberalizmu, jak i nowoczesnej lewicy: ksenofobia, rasizm, nacjonalizm, niesprawiedliwość i nierówność społeczna, wynikające z permanentnie odnawiających się niedoskonałości mechanizmów rynkowych, gwałt na prawach człowieka, polityczny ekskluzywizm itd. Są to wyzwania, z którymi zmierzyć się musi zarówno liberalizm, jak i formacje lewicowe, o ile zdołają się odrodzić. Najlepiej, aby uczyniły to wspólnie.

Rozczarowani liberalizmem

Czy jest luka, w której lewica mogłaby się odrodzić? Wy-

mniej meandryczną książkę Iry Katznelsona, *Krzywe koło liberalizmu*, zwłaszcza rozdział pt. *La lutte continue*, ss. 47–108.

daje się, że luki tej należy poszukiwać w porażce, jakiej na własne życzenie doznał liberalizm. W budowaniu nowoczesnej lewicowości nie można zlekceważyć liberalizmu i jego potencjału emancypacyjnego we wszystkich sferach społecznego zainteresowania: a więc gdy chodzi zarówno o liberalizm ekonomiczny, polityczny, jak i obyczajowy. Rozdział państwa i kościoła, neutralność państwa, prawo do samostanowienia kobiet, wyrównywanie szans, to cele pierwotnie sformułowane przez liberalizm.

Wszystkie te obszary, w których tradycyjna lewica dążyła do emancypacji, należy odebrać liberałom, tym zwłaszcza, którzy dzięki swojemu początkowemu sukcesowi popadli w dogmat i skostnienie. Te podstawowe idee liberalne należy odebrać liberałom, lecz po to jedynie, aby zaprząc je, zwłaszcza liberalizm ekonomiczny, w służbę nowocześnie rozumianych wartości demokratycznych i egalitarnych. Nowoczesna lewica, która wyzbyła się już archaicznej klasowości, powinna zastąpić ją troską o dobro wspólne wszystkich ludzi zamieszkujących nowoczesne państwo. Powinna także rozumieć, że wskutek zatarcia różnicy między polityką wewnętrzną i zagraniczną, troska ta nie może się odbywać w izolacji od spraw międzynarodowych, choć, jak się wydaje, uniwersalistyczny kosmopolityzm liberalizmu winien zostać zastąpiony przez konstruktywistyczny regionalizm.

Parafrazując ostatnią z przytoczonych wyżej anegdot, zwolennik współczesnej lewicy powinien powiedzieć, że tak naprawdę to jest on liberałem, który nie może liberalizmowi wybaczyć, że nie funkcjonuje. To znaczy, że nie może mu wybaczyć tego, iż nie spełnił składanych przezeń obietnic emancypacyjnych i że padł ofiarą własnych wyznawców, którzy narzucili sobie ograniczenia w realizacji postulatów wolności. Człowiek współczesnej lewicy więc jest liberałem. Ale znacznie bardziej niż on.

Zmowa w wymiarze globalnym

Powyższa konkluzja jednak nie wyczerpuje wyjściowego problemu wzajemnych relacji między współczesną socjaldemokracją i liberalizmem. Ostatnimi czasy bowiem niektórzy filozofowie i niektóre gwiazdy rocka wstrząsają naszymi zachodnimi sumieniami, uprzytamniając szokujące fakty: dziecko urodzone w Szwecji ma przed sobą około 80 lat życia, natomiast dziecko, które rodzi się w Sierra Leone nie dożyje 40-tki. Roczny dochód

na osobę w Stanach Zjednoczonych wynosi ok. 34 tys. dolarów, w Sierra Leone wynosi on ok. 490 dolarów[19]. Pod koniec minionego tysiąclecia liczbę osób żyjących poniżej granicy ubóstwa, ustalonej przez Bank Światowy na poziomie dochodu wynoszącego mniej niż 2 dolary dziennie, szacowano na ok. 1,2 mld. Tylko w 2007 roku, który wcale nie różnił się pod tym względem od lat poprzednich, ponad 10 mln dzieci zmarło z głodu, braku czystej wody pitnej i dostępu do opieki medycznej. Przepaść pomiędzy bogatą Północą i biednym Południem powiększa się proporcjonalnie do rozwoju globalizacji.

Zglobalizowany świat jest więc pełen nierówności i niesprawiedliwości, które każdy zdolny do współczucia człowiek winien uznać za bulwersujące. Globalizacja wymaga, ażeby świat zachodni zmierzył się z tym problemem, który w sporej mierze jest skutkiem jego własnych działań. Niedostrzeganie tych faktów jest haniebne. Tak właśnie postrzegać je winna zwłaszcza lepsza, socjaldemokratyczna część zachodniego świata, albowiem tylko od zachodniej socjaldemokracji można oczekiwać, że hańbę tę pomoże wymazać.

Lewica, przynajmniej w teorii, zawsze była internacjonalistyczna. Robotnicy wszystkich krajów, nie mając ojczyzny, mieli się jednoczyć bez względu na swą przynależność narodową. Socjalizm w jednym kraju wydawał się rzeczą niemożliwą. Jak jednak wiadomo, dawna lewica również pod tym względem poniosła porażkę. Wszelako to, czego nie potrafiła osiągnąć dawna lewica, dokonuje się obecnie dzięki globalizacji, która coraz skuteczniej zaciera granice między państwami narodowymi; wraz z nimi znika różnica pomiędzy polityką wewnętrzną i zagraniczną. W ten sposób część internacjonalistycznego celu tradycyjnej lewicy, którego kiedyś sama nie umiała osiągnąć, został zrealizowany przez siły globalnego kapitalizmu.

Wydaje się więc, że w obliczu rozpasanego rozwoju naszej nieposkromionej globalizacji nadszedł czas na globalizację naszej egalitarnej etyki. Wydaje się także, że zachodnia lewica, która ma obecnie charakter socjaldemokracji, usiłując się pozbierać po klęsce zadanej jej przez zwycięskie siły międzynarodowego kapitalizmu, nie może zamykać oczu na wyzwania, jakie stawia przed nią globalizacja; innymi słowy, musi poddać glo-

[19] Por. Martha C. Nussbaum, *Beyond the Social Contract: Toward Global Justice*, The Tanner Lectures on Human Values, 2003.

balizacji własną socjaldemokratyczną perspektywę ideologiczną. Albowiem, by powtórzyć, fundamentalne znaczenie socjaldemokratycznego egalitaryzmu implikuje uniwersalizm: nie-uniwersalny egalitaryzm ma tyle sensu, co drewniane żelazo. Mówiąc inaczej, nadszedł wreszcie czas, by nowa liberalna lewica wywiązała się ze swego dawnego internacjonalizmu. Jest to zadanie tym pilniejsze, o ile lewica pragnie zaoferować program równie całościowy, jakim dysponują liberałowie (wyjąwszy liberałów narodowych), którzy uzasadniają i bronią globalizacji oraz ją napędzają.

Na czym polegałaby więc socjaldemokratyczna odpowiedź na to wyzwanie? Czy nowoczesna liberalna socjaldemokracja również może być internacjonalistyczna? W tym miejscu jednak socjaldemokratyczny egalitaryzm, uniwersalizm i internacjonalizm napotykają na poważną przeszkodę.

Peter Singer przejmująco wykazał, że nasza codzienna niewrażliwość na cierpienia ludzi w krajach rozwijających się przypomina moralną obojętność na los dziecka tonącego w okolicznej sadzawce, gdy zamiast je ratować, postanawiamy kontynuować naszą drogę do dobrze płatnej pracy.

Co więc należałoby zrobić? Odpowiedź jest oczywista: pieniądze są w kieszeniach bogaczy. Na podstawie obliczeń dokonanych przed kryzysem, do którego doszło w 2008 roku, Singer wykazał[20], że gdyby opodatkować 10% ludzi o najwyższym dochodzie w samych tylko Stanach Zjednoczonych w proporcjach wyliczonych przez Thomasa Piketty'ego i Emmanuela Saeza, to roczna suma takiego podatku wyniosłaby 404 mld dolarów[21]. Kwota ta jest ponad dwa razy większa od sum niezbęd-

[20] Peter Singer, *What Should a Billionaire Give — and What Should You?*, „The New York Times Magazine", 17 grudnia 2006; wydanie polskie, skrócone, *Miliarderzy, podzielcie się!*, przekł. Sergiusz Kowalski, „Gazeta Wyborcza", 30 grudnia 2006–1 stycznia 2007, s. 13–14.

[21] Kalkulacja Singera została zawężona do tzw. góry Piketty'ego i Saeza, tj. do 10 procent najbogatszych Amerykanów. Szczyt tej góry, obejmujący 0,01 procent najbogatszych Amerykanów, obejmuje 14,4 tys. osób, które zarabiają średnio po ok. 12,8 mln USD, nie mniej niż 5 mln, łącznie 184 mld. Singer proponuje obłożenie ich podatkiem wysokości 33%; dałoby to rocznie 61 mld, przy czym każda z tych osób zaś zachowałaby średni dochód ok. 3,3 mln USD; górne 0,1 procenta ludzkości amerykańskiej pod względem dochodu, nie obejmujące powyższej kategorii zarabiających, to blisko 130 tys. ludzi z dochodem ok. 2 mln USD, nie mniej niż 1,1 mln. Obłożenie ich podatkiem w wysokości 25% dałoby 65 mld, przy zachowaniu minimalnego w tej grupie dochodu w wysokości ok.

nych do uzyskania odczuwalnej poprawy poziomu życia biedoty na całym świecie, postulowanej przez tzw. Milenijne Cele Rozwoju, zaaprobowane w 2000 roku przez ONZ. Cele Milenijne zostały sformułowane przez zespół pracujący pod kierownictwem Jeffreya Sachsa, byłego neoliberała, który swego czasu nadzorował w imieniu Amerykanów neoliberalne reformy egzekwowane na polskim społeczeństwie przez Leszka Balcerowicza. Obecnie Sachs działa na rzecz rozwiązania problemu głodu i ubóstwa na świecie[22].

Bez wątpienia redystrybucja środków zagrabionych najbogatszym w celu ich dystrybucji wśród najbiedniejszych wzbudziłaby entuzjazm wszystkich przychylnie nastawionych do tego pomysłu socjaldemokratów, gdyby nie jeden fakt: środki te miałyby być dzielone nie w obrębie państw, w których zostały pozyskane, lecz miałyby trafiać do zupełnie nam obcych, nieznanych ludzi, zamieszkujących odległe kraje, których nazw własnych wielu ludzi na Zachodzie, w tym także socjaldemokratów, nie pofatygowało się nawet nauczyć.

Tu dochodzimy do punktu, w którym droga liberalizmu i socjaldemokracji wydawałyby się rozchodzić. Liberałowie twierdzą bowiem, iż wzrost poziom dobrobytu, osiągnięty dzięki nieskrępowanemu rozwojowi gospodarczemu, podniesie wszystkie łodzie płynące po całym oceanie ludzkiego społeczeństwa. Tymczasem etyczne i polityczne imperatywy współczesnych egalitarnych uniwersalistów domagają się, aby wszystkie te łodzie, które zdołały unieść się na najwyższej fali wzrostu gospodarczego, przynajmniej trochę — i w zróżnicowanym stopniu — podtopić. Problem, z jakim zachodni socjaldemokraci nie są w stanie sobie poradzić, polega na tym, że większość łodzi płynących na najwyższej fali wzrostu żegluje po morzach gospodarki Za-

850 tys. USD; górne 0,5 procenta to blisko 580 tysięcy ludzi o średnim dochodzie ok. 620 tys. USD, nie mniej niż 407 tys. Po zapłaceniu podatku w wysokości 20% zachowaliby minimalny dochód w wysokości 325 tys. USD, co dałoby 72 mld. Na górny 1 procent najlepiej zarabiającej ludności w USA, tj. 720 tys. ludzi o średnim dochodzie 327 tys. USD, nie mniejszym niż 276 tys., Singer proponuje nałożyć podatek 15%, co dałoby 35 mld. Pozostała ludność o dochodzie sytuującym ją w gronie 10% najlepiej zarabiających z wyłączeniem powyższych kategorii, tj. 13 milionów osób, których dochody wynoszą średnio 132 tys. USD (minimalnie 92 tys.), mogłaby być opodatkowana 10% podatkiem, co dałoby 171 mld; łączny przychód wyniósłby 404 mld dolarów.

[22] Por. Jeffrey Sachs, *Koniec z nędzą. Zadanie dla naszego pokolenia*, przekł. Zofia Wiankowska-Ładyka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006.

chodu, a to głównie dzięki bezwzględnemu wyzyskowi ludzi, w tym ponad 50 mln dzieci, pracujących w krajach rozwijających się na rzecz zachodnich korporacji.

Z tego powodu sądzę, że realizacja postulowanych przez zachodnią socjaldemokrację nakazów moralnych egalitaryzmu napotyka na barierę nie do pokonania. Trudno bowiem wyobrazić sobie przywódcę socjaldemokracji w bogatych krajach Zachodu, który zdobyłby się na tyle odwagi, by powiedzieć swoim mniej uprzywilejowanym wyborcom: „Nie chcemy więcej pieniędzy dla nas samych! Przynajmniej część naszego dochodu chcemy przekazać na bardziej godne i bezpieczne życie tych ludzi, którzy od setek lat padają ofiarą brutalnego wyzysku i są pogrążeni w beznadziejnej nędzy dzięki poczynaniom naszego rodzimego biznesu, kierowanego przez naszych rodaków!". Kto, oprócz filozofów-marzycieli, byłby gotów powiedzieć — i zrobić — coś takiego?

Co więcej, socjaldemokraci z zasady patrzą przychylnym okiem na programy ekologiczne reprezentowane przez ruch zielonych. W tej kwestii ścierają się zazwyczaj z liberałami, którzy postulaty ruchu ekologicznego postrzegają jako hamulec dla wzrostu gospodarczego. Neoliberałowie wszelako, odkrywszy, iż politycznej popularności programu zielonych nie można po prostu zignorować, postanowili przyłączyć się do ich realizacji w specyficzny dla siebie sposób: stali się bowiem gorącymi zwolennikami transferu naszego zachodniego trującego przemysłu z rozwiniętych krajów swego pochodzenia do krajów rozwijających się.

Czy socjaldemokraci protestują przeciwko takim transferom? Musiałem chyba nieuważnie czytać gazety, ponieważ takich protestów nie zauważyłem. Z pewnością bowiem liberałowie i socjaldemokraci znacznie mniej martwią się konsekwencjami eksportu wytwarzanych przez nas trucizn do krajów rozwijających się, za to znacznie bardziej martwi ich to, że mieszkańcy tych krajów coraz bardziej stanowczo i z coraz większym powodzeniem żądają dla siebie na przykład prawa do mobilności, które na Zachodzie stało się czymś powszechnie dostępnym kilkadziesiąt lat temu. Chińczycy więc cieszą się dziś swoimi volkswagenami w stopniu, który wprawiłby w zdumienie pomysłodawcę „samochodu dla ludu"; Hindusi z kolei być może już niedługo będą cieszyć się swoim Nano — pierwotnie planowano produk-

cję 250 tysięcy sztuk rocznie tego pojazdu. Mimo głębokiego przywiązania do ideologii praw człowieka, ani socjaldemokraci ani liberałowie nie popadają w entuzjazm na myśl o tym, że już w niedługiej przyszłości, dzięki Tata Industries, znacznie więcej ludzi na świecie będzie mogło się cieszyć tym, co skądinąd uznają oni zgodnie za niezbywalne prawo każdego, żyjącego na Zachodzie człowieka.

Zamiast więc entuzjazmu z upowszechniania się w skali globalnej na przykład prawa do ludzkiej mobilności, ważkiej dla indywidualnej i zbiorowej samorealizacji, a niekiedy nawet dla zachowania własnego życia, obserwujemy bardzo ciekawy podział pracy politycznej: socjaldemokraci formułują obawy w związku z globalnym zanieczyszczeniem środowiska, które jeszcze bardziej zwiększy zagrożenie dla bezpieczeństwa całego globu; liberałowie zaś niepokoją się skutkami, jakie przyniesie globalna motoryzacja dla poziomu cen ropy naftowej na świecie. Mimo więc teoretycznych i politycznych rozbieżności, socjaldemokraci i liberałowie półgębkiem, ale za to zgodnie starają się odmówić biednym na całym świecie tego, czego oni autentycznie pragną.

To jednak nie wszystko: ludzie w krajach rozwijających się mogą chcieć nie tylko dostępu do czystej wody, sprawnie funkcjonującej kanalizacji, żywności, lekarstw i prawa do poruszania się w swoich Nano — które wyglądają żałośnie i są tańsze niż sprzęt stereofoniczny w średniej klasy SUV-wie — ale zapewne już niebawem zażądają również asfaltowych dróg dla swoich śmiesznych samochodzików, porządnych mieszkań dla swoich rodzin, elektryczności w każdym domu, a może nawet ulicznego oświetlenia w swoich miastach. Nie wydaje się, aby ktokolwiek na Zachodzie był gotów poważnie rozważać gospodarcze i ekologiczne konsekwencje prawdziwie powszechnego egalitaryzmu ekonomicznego.

W tym punkcie deklaratywnie uniwersalny liberalizm obłudnie przeobraża się w liberalizm nacjonalistyczny, co osobliwie zbiega się z nie mniej obłudną transformacją uniwersalistycznych postulatów socjaldemokracji w partykularyzm. Gdy bowiem przychodzi do problemów globalnych, to mimo ideologicznie uniwersalnej aury roztaczanej przez oba te nurty, okazuje się, że zarówno socjaldemokracja, jak i liberalizm milcząco zakładają, iż nowoczesny liberalizm może zostać zaprzęgnięty do pracy na rzecz społecznych celów jedynie w wybranych kra-

jach: tj. tam, gdzie działają sami liberałowie i socjaldemokraci. Konfrontacja liberalizmu i socjaldemokracji z problemami globalnymi wskazuje więc, iż kompromis pomiędzy tymi stanowiskami politycznymi okazuje się relatywnie łatwy do osiągnięcia. Problem polega na tym, że ten kompromis jest moralnie obrzydliwy.

Nie ma jednak powodu do zmartwienia; na moralnego kaca też znajdzie się sposób. Jeśli bowiem rzeczywiście czujemy do siebie obrzydzenie z powodu naszego lekceważenia moralnych zasad, które nakazują nam wspomagać potrzebujących i pokrzywdzonych na całym świecie, to wyrzuty naszego zachodniego, liberalnego i socjaldemokratycznego sumienia możemy łagodzić dając okazjonalnie jałmużnę dzieciakom, które szyją nasze adidasy i składają nasze laptopy, pracując w niewolniczych warunkach za płacę w wysokości 17 centów na godzinę.

Ale nawet gdy zdarzy się nam zapomnieć wysłać czek, zawsze możemy ukoić nasze sumienia w interpasywny sposób, przypominając sobie, że Bill Gates, Warren Buffet i George Soros rozdali znaczną część swoich fortun na globalne akcje charytatywne[23]. Okazawszy dobroczynność za nas i w naszym imieniu, swą szczodrobliwością zdjęli z naszych sumień obowiązek czynienia dobra przez nas samych. I pozostawili nam wolną rękę w naszych dalszych prywatnych zmaganiach o polepszenie własnego, egoistycznego bytu.

[23] Na temat „liberalnego komunizmu" Billa Gatesa i George'a Sorosa por. Slavoj Žižiek, *Nobody Has to Be Vile*, „London Review of Books", 20 kwietnia 2006.

4.
Kryzys

Rynki zawsze były po części fikcją, dzisiaj jednak są nią w stopniu większym niż kiedykolwiek wcześniej. Nowe technologie dokonują czegoś więcej niż przekazywanie informacji. One zmieniają zachowanie za pomocą upowszechniania nastrojów. Nie tylko każdy otrzymuje informacje szybciej niż uprzednio, nastrój przez nie kreowany jest znacznie bardziej zaraźliwy. Internet potwierdza to, co było wiadome od dawna — świat jest rządzony siłą sugestii. (...) Rynki finansowe poruszają się dzięki infekcji i histerii. Nowe technologie komunikacyjne nasilają sugestywność. Mesmer i Charcot są lepszymi przewodnikami po nowej ekonomii niż Hayek czy Keynes[1].

Najwyższe stadium kapitalizmu

Najnowszy kryzys globalnej gospodarki rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych, w kraju, w którym ukształtowały się siły napędzające rozwój współczesnej globalnej ekonomii przez minione dwie dekady. W próbach wyjaśnienia tego, co właściwie się stało, jak do tego doszło, a nade wszystko, jak pohamować zasięg i dotkliwość skutków kryzysu, najczęściej pojawia się nazwisko Johna Maynarda Keynesa. W niniejszej próbie oceny za-

[1] John Gray, *Straw Dogs. Thoughts on Humans and Other Animals*, Farrar, Straus and Giroux, New York 2003, s. 170–171.

chodzących wydarzeń chciałbym się odwołać jednak nie do Mesmera i Charcota, ani do Karola Marksa i Keynesa, lecz do Josepha Schumpetera i jego myśli ekonomicznej i politycznej. Joseph Schumpeter to jeden z najwybitniejszych, a zarazem najbardziej chyba niedocenianych ekonomistów XX wieku.

Do najczęściej przytaczanych słów Schumpetera należy zapewne zdanie, w którym wyraził swoje trzy najważniejsze ambicje życiowe. Pragnął bowiem zostać najlepszym kochankiem w Wiedniu, najlepszym znawcą koni w Europie oraz najlepszym ekonomistą na świecie. Komentując te swoje ambicje dodawał, że z końmi to nie całkiem mu wyszło...

Uwagę tę można rozumieć jako żart egocentrycznego profesora, lecz jest w nim całkiem sporo prawdy, przynajmniej gdy idzie o trafność Schumpeterowskiego rozumienia mechanizmów gospodarki kapitalistycznej. Jakkolwiek jego sposób rozumienia kapitalizmu oraz przepowiednie jego upadku zostały przyćmione przez idee Keynesa, to warto podkreślić, że cieszyły się one wielką popularnością zwłaszcza w dwóch krajach: w Japonii i Niemczech. Liczni interpretatorzy jego pism wskazywali, że to właśnie Schumpeterowskie pojmowanie kapitalizmu było odpowiedzialne za wielkie sukcesy obu tych gospodarek, zrujnowanych przez II wojnę światową.

W przeciwieństwie do Karola Marksa, który definiował kapitalizm jako system wytwarzania wartości oparty na pracy, Schumpeter uznawał, że kapitalizm polega na wprowadzaniu na rynek innowacyjnych produktów, które w przypadku odniesionego sukcesu zmieniają dotychczasowy sposób gospodarowania i całego życia społecznego, niszcząc jego uprzednie struktury. Proces ten określał mianem kreatywnej destrukcji i twierdził, że system kapitalistyczny rozwija się w ten właśnie kataklizmatyczny sposób. „Funkcja przedsiębiorcy polega na reformowaniu lub rewolucjonizowaniu produkcji poprzez wykorzystywanie nowych pomysłów czy — ogólnie mówiąc — o nie rozpoznanej dotąd technicznej możliwości produkcji nowego towaru lub wytwarzanie znanego towaru za pomocą nowych metod, poprzez udostępnianie nowych źródeł podaży surowców lub nowych rynków zbytu dla wytwarzanej produkcji, poprzez zmiany organizacyjne w przemyśle, itd."[2]

[2] Joseph A. Schumpeter, *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, przekł. Michał Rusiński, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995, s. 162.

Przykładem takich udanych twórczych, a zarazem pozytywnie destrukcyjnych innowacji było wprowadzenie kolei jako nowego środka transportu, wytwarzanie energii elektrycznej i system jej masowej konsumpcji, masowa produkcja samochodów, wprowadzenie domowej lodówki, a także wynalazki o pomniejszej roli ekonomicznej, lecz mające wielkie znaczenie cywilizacyjne, do których zaliczał wprowadzenie na rynek... szczoteczki do zębów[3].

Funkcja przedsiębiorcy nie polega według Schumpetera na dokonywaniu odkryć naukowych czy wynalazków, to zadanie bowiem należy do uczonych i inżynierów, lecz na wprowadzaniu na rynek nowych produktów opartych na tych odkryciach i pomysłach. Innymi słowy, istotą działania przedsiębiorcy oraz mechanizmem rozwoju kapitalizmu jest umiejętne powiązanie dwóch czynników: innowacyjności i kredytu. Wbrew klasycznemu rozumieniu konkurencji kapitalistycznej, sprowadzanej zazwyczaj do pojęcia zwiększania sprzedaży towarów za pomocą wyścigu o konsumentów drogą obniżania ceny, Schumpeter podkreślał, że ten rodzaj konkurencji właściwie jest bez znaczenia. Istotą kapitalizmu jest bowiem konkurencja, jaka toczy się na rynku między nowymi towarami, nowymi technologiami, nowymi rodzajami organizacji itp., które są finansowane za pomocą kapitału pochodzącego z kredytu.

Schumpeter obszernie argumentował również, że tak opisany kapitalizm jest skazany na zagładę. Podejmując wątek proroctw Karola Marksa sformułował bowiem także tezę o nieuchronnej klęsce kapitalizmu i nie mniej nieuchronnym nadejściu socjalizmu. Inaczej jednak niż Marks i późniejsza lewica twierdził, iż kapitalizm upadnie nie wskutek wewnętrznej niezdolności do skutecznego stawienia czoła wyzwaniom w zaspokajaniu realnych i sztucznie wytwarzanych potrzeb ludzkich, lecz raczej wskutek własnych sukcesów odnoszonych w tym obszarze[4].

---

[3] O znaczeniu cywilizacyjnym tego bagatelnego zdawałoby się wynalazku niech świadczy ocena sformułowana przez Thomasa de Quinceya w początkach XIX stulecia, który uważał, że za jedną czwartą ludzkiego nieszczęścia jest odpowiedzialny ból zębów. Wynalazek służący dbałości o higienę jamy ustnej znacznie przyczynił się do zmiany ten sytuacji; por. John Gray, *Straw Dogs*, s. 155.

[4] Warto podkreślić, że w swoich pismach teoretycznych na temat współczesnego rozwoju kapitalizmu niektóre jego idee powtarzał wielokrotnie Georg Soros, uczeń Karla Poppera.

Z tej perspektywy wydaje się, że kryzys, do jakiego doszło w USA i który błyskawicznie rozszerzył się na cały świat, jest konieczną konsekwencją opisanej przez Schumpetera logiki rozwoju kapitalizmu. Rozwiązania, które w pierwszym odruchu zaproponowano jako remedia na kryzys finansowy, mają zasadniczo etatystyczny charakter, co również wydaje się potwierdzać proroctwo Schumpetera. Można więc powiedzieć, że obecny kryzys jest nieuchronną konsekwencją charakterystycznej dla kapitalizmu innowacyjności powiązanej z kredytowaniem: globalny kapitalizm dotychczas rozwijał się, a obecnie pada ofiarą charakterystycznej dla siebie innowacyjności finansowanej za pomocą kredytu. Problem polega na tym, że jest to forma innowacyjności wcześniej nieznanej i szczególnie zdegenerowanej.

Prawdą jest, że od momentu, gdy pieniądz został wymyślony przez Fenicjan, był uważany za towar. Mimo to pieniądz był traktowany zazwyczaj i nade wszystko jako narzędzie pozwalające przedsiębiorstwom, bankom i państwom organizować proces produkcji, wymiany i konsumpcji dóbr. Obecny kryzys jednak jest skutkiem tego, że neoliberalna doktryna doprowadziła do tego, iż pieniądz nie tylko pełni swoje tradycyjne funkcje regulacyjne wobec produkcji wymiany oraz konsumpcji, lecz dodatkowo przeobraził się w najważniejszy z towarów wytwarzanych przez prywatną gospodarkę kapitalistyczną. Innymi słowy, kapitalizm osiągnął swe najwyższe stadium: polega ono na posługiwaniu się pieniądzem nie do wytwarzania nowych innowacyjnych towarów, które miałby zaspokajać realne i nierealne potrzeby ludzkie, lecz przede wszystkim do wytwarzania samego pieniądza.

Do tego właśnie doszło przede wszystkim w ogarniętych obecnie kryzysem Stanach Zjednoczonych, które stanęły w obliczu kresu swojej hegemonicznej pozycji w świecie. Na zagrożenia dla hegemonii Stanów Zjednoczonych wskazywało wielu autorów. Warto podkreślić, że wielu z nich czyniło to długo przed tym, zanim obecny kryzys faktycznie nastąpił. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje diagnoza polityki i gospodarki USA, sformułowana przez Kevina Phillipsa[5].

[5] Kevin Phillips, *American Theocracy, The Perils and Politics of Radical Religion, Oil, and Borrowed Money in the 21st Century*, Viking, Penguin Group, London 2006.

Phillips, były członek administracji Richarda Nixona, już w roku 2006 argumentował, że hegemoniczna pozycja Ameryki, pojmowana dotychczas zazwyczaj jako świadectwo jej wewnętrznej siły, jako niepodważalny dowód zasadniczej słuszności metody, za pomocą której uzyskała ona swą dominującą pozycję, stanęła wobec śmiertelnego zagrożenia. Uważał, że ten sposób postrzegania Ameryki przez samą siebie jest odpowiedzialny za poczucie samozadowolenia, jakie zapanowało w samej Ameryce i które systematycznie przesłaniało głębokie problemy tkwiące w samej strukturze amerykańskiego systemu. Problemy te zaczęły się właśnie ujawniać.

Według Phillipsa zatem Stany Zjednoczone stoją w obliczu poważnych zagrożeń, w rezultacie których niebawem przestaną odgrywać dotychczasową czołową rolę stabilizatora porządku światowego. Uważał, że będzie to skutkiem trzech głównych przyczyn; należą do nich (1) zależność od ropy naftowej, której zasoby światowe coraz bardziej się kurczą; politykę prezydenta George'a W. Busha w tym zakresie Phillips uważa za całkowicie chybioną; (2) zagrożenie zjawiskami radykalnej, fundamentalistycznej religijności, odradzającej się w wielu miejscach świata, natomiast w rozwiniętym świecie zachodnim jej renesans daje się obserwować szczególnie w Ameryce; (3) narastające poleganie na długu jako sposobie finansowania gospodarki, zwłaszcza na kredytach zaciąganych w Chinach.

Ujmując nieco inaczej powody upadku hegemonii amerykańskiej należy więc wskazać nadmierny wpływ fundamentalistycznej religijności Amerykanów na system polityczny. Na ten czynnik ideologiczny bowiem spada znaczna część odpowiedzialności za popchnięcie tego kraju w kierunku chybionej krucjaty przeciwko zideologizowanemu konstruktowi, któremu nadano miano międzynarodowego terroryzmu. Ten sposób rozumienia problemu terroryzmu, który pozwala uchylać się od stawiania pytań o jego źródła, sprawił, że podjęta krucjata nie tylko nie przyniosła oczekiwanych rezultatów i nie tylko ich nie przyniesie, lecz już teraz dodatkowo generuje ogromne koszta ekonomiczne, przekraczające 3 bln dolarów, z którymi gospodarka Ameryki będzie musiała się borykać co najmniej przez kilka pokoleń.

Czynnik drugi, związany z powyższym, to polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych, oparta na archaicznym, „westfal-

skim" rozumieniu stosunków międzynarodowych, ugruntowanym w Hobbesowsko-Straussowskiej koncepcji państwa i polityki zagranicznej. Tak zdefiniowana polityka zagraniczna, w której wiodącą rolę odgrywa ideologicznie zinterpretowane pojęcie bezpieczeństwa narodowego, jest dyktowana głównie przez potrzebę pozyskiwania źródeł energii w jej tradycyjnej, coraz trudniejszej i kosztowniejszej do zdobycia postaci, tj. ropy naftowej. Przed kryzysem USA wydawały rocznie 700 mld dolarów na zakup ropy naftowej dla milionów samochodów poruszających się po amerykańskich drogach. Warto przy tym pamiętać, że spośród około 520 milionów pojazdów na świecie, aż 200 milionów, tj. około 39%, jest użytkowanych w samych USA, których ludność, wynosząca obecnie 300 milionów ludzi, stanowi 5% populacji świata.

Zarazem USA importują aż 60% potrzebnej im ropy naftowej. Phillips wskazuje jednak, że wysiłek zwiększenia wydobycia ropy z własnych, amerykańskich zasobów do 2025 roku może zmniejszyć ten import zaledwie o 2–3 procent. Zwraca również uwagę na gigantyczną korupcję polityczną, która polega na tym, że lobby naftowe i lobby producentów samochodów osobowych zyskują sobie przychylność za pomocą bardzo sowitych wpłat na partyjne fundusze wyborcze: w latach 1990–2002 przedstawiciele przemysłu naftowego wpłacili 159 milionów dolarów na kampanie wyborcze polityków obu partii, choć głównie republikanów. Przedstawiciele przemysłu samochodowego wpłacili zaś aż 256 milionów na kampanie i działalność obu partii, co jednak nie zmieniło trudnej sytuacji amerykańskich koncernów samochodowych, a można nawet powiedzieć, iż ją pogłębiło. Po niepowodzeniach w Iraku i po zmianach władzy w Wenezueli i Brazylii, militarne próby zyskania panowania nad głównymi zasobami ropy będą dla USA praktycznie niemożliwe

Czynnik trzeci to niepokojący zwrot w gospodarce amerykańskiej; ten jeszcze niedawno najbardziej wydajny i wysokotowarowy mechanizm ekonomiczny od pewnego czasu zaczął się przeobrażać z gospodarki wytwarzającej towary w gospodarkę wytwarzającą przede wszystkim „produkty" finansowe i bankowe. Odpowiedzialność za tę tendencję spada m.in. na głoszony przez Miltona Friedmana neoliberalny monetaryzm, który został wcielony w życie gospodarcze przez Donalda Regana, sekretarza skarbu w administracji Ronalda Reagana. Fede-

ralne władze USA, które dały bezkrytyczny posłuch ideom pochodzącym ze skrajnie neoliberalnej szkoły Miltona Friedmanna, zrezygnowały z kontroli nad tym narzędziem, jakim jest pieniądz, i powierzyło ją... samym bankowcom, którzy dzięki temu uzyskali całkowitą swobodę w wytwarzaniu „instrumentów finansowych", które miały przynosić zyski, lecz doprowadziły do upadku gospodarkę nie tylko amerykańską, ale także islandzką, zaś kolejne ofiary czekają na swoją kolej.

Najważniejszym skutkiem monetaryzmu liberalnego, będącego podstawą reaganomiki, było to, że pieniądz, tradycyjnie spełniający rolę instrumentu organizowania produkcji, rozdziału i konsumpcji towarów, sam w sobie stał się najważniejszym i głównym towarem. O „odrealnieniu" gospodarki USA świadczy to, że już w 2000 roku udział sektora finansowego w PKB Ameryki wyniósł 20%, podczas gdy udział sektora produkcyjnego w jego tradycyjnym sensie w amerykańskim PKB spadł do 14,5%.

Towarzyszy temu nieustanny spadek udziału Ameryki w globalnej produkcji materialnej. W 1955 Ameryka wytwarzała 58% wartości produktów przemysłowych na świecie. Około 1990 roku udział Ameryki w materialnej produkcji światowej wyniósł 33%, zaś w 2007 sięgał on już tylko 20%, co mimo wszystko nadal dawało Stanom Zjednoczonym pierwsze miejsce w światowej produkcji dóbr materialnych. Na podstawie szacunków dokonanych przed wybuchem kryzysu obliczano, że już w 2009 roku krajem produkującym najwięcej dóbr materialnych będą nie USA, lecz Chiny, które jeszcze w 1990 roku wytwarzały zaledwie 3% światowej produkcji przemysłowej[6].

Skutkiem transformacji amerykańskiego kapitalizmu, który dotychczas za pomocą pieniądza produkował realne towary, w kapitalizm produkujący za pomocą pieniądza przede wszystkim sam pieniądz, były mocno nadmuchane bańki mydlane spektakularnych sukcesów. Choć przyniosły one ogromne bogactwo bardzo nielicznym, to pociągnęły za sobą także bardzo liczne ofiary: gigantyczne straty banków udzielających „złych" kredytów mieszkaniowych, wcześniejsze bankructwo Enronu oraz kilku innych wielkich korporacji, swobodnie poczynających sobie z księgowością własnych dochodów i naciągających naiw-

[6] Andrzej Lubowski, *Coraz mniej Ameryki*, „Gazeta Wyborcza", 20 września 2008.

nych inwestorów giełdowych, coraz bardziej słabnący Ford, kiedyś jeden z filarów gospodarki amerykańskiej, to tylko niektóre z licznych przykładów tej tendencji. Te produkty gospodarki narodowej, pracującej na „pożyczonym pieniądzu i pożyczonym czasie", pozbawione materialnego ucieleśnienia, doprowadziły do utraty przez wielu Amerykanów ich oszczędności, zagroziły stabilności gospodarki jako całości, a ponadto postawiły pod znakiem zapytania globalną funkcjonalność amerykańskiej waluty.

Motywowany szlachetnym celem prezydent Bill Clinton stworzył możliwości prawne, które miały sprzyjać nabywaniu domów na własność przez większą niż dotychczas liczbę Amerykanów. Mogło to potencjalnie doprowadzić do realizacji zadań polityki socjalnej w USA na skalę w tym kraju wcześniej nieznaną. Mogło też stworzyć silny bodziec rozwojowy dla gospodarki amerykańskiej. Skutek był wręcz odwrotny, a właściwie zabójczy.

Wśród powodów, które do tego doprowadziły, należy wskazać zwyczajną ludzką zachłanność. Popyt na domy w USA miał w znacznej mierze charakter spekulacyjny, ponieważ obecnie puste, nie sprzedane domy powstawały nie tylko na zamówienie tych, którzy ich faktycznie potrzebowali; popyt ten był bowiem generowany przez także tych, którzy sądzili, iż zakupując kolejny dom, sprzedadzą go z zyskiem już niebawem, w ten sposób bez wysiłku pomnażając swe oszczędności. Warto dodać, że mechanizm przynajmniej w części podobny do amerykańskiego napędzał polski *boom* mieszkaniowy.

Efektem wdrożenia polityki społecznej Clintona mogło być ożywienie gospodarki USA, gdyby nie fakt, że kapitał amerykański, w poszukiwaniu większych zysków, zamiast produkować na terenie samych Stanów Zjednoczonych wszystko to, co jest potrzebne do zapełnienia nowych, świeżo zamieszkanych domów, tworząc tym samym miejsca pracy w kraju, postanowił produkować niezbędne towary tam, gdzie siła robocza jest tańsza niż w USA, a więc w Chinach, Singapurze, Malezji, w Meksyku itd. Nic więc dziwnego, że gdy obecnie pada pytanie, gdzie podziała się amerykańska klasa robotnicza, na cześć której ustanowiono kiedyś święto 1 maja, słychać odpowiedź: w Chinach. Dodać do tego należy, że w latach 80-tych 5% ludności amerykańskiej pracowało w rolnictwie, obecnie zaś tylko 2%, co

oznacza, jak wielką transformację przeszła struktura zatrudnienia w USA. Kumulatywny skutek masowego eksportu miejsc pracy poza granice USA oraz gigantycznego importu towarów przemysłowych zza granicy jest więc taki, że obecnie tylko sam rząd federalny USA musi każdego dnia pożyczać ok. 2 miliardów dziennie, tj. kolejne 700 miliardów rocznie, aby wypełniać swoje normalne, bieżące funkcje.

Ujawnione w ostatnim okresie zjawiska ilustrujące mechanizmu działania gospodarki i bankowości amerykańskiej nie mogą nie nasuwać także pytań o moralność kapitalizmu. W pełnej zgodzie z logiką kapitalizmu, wiodącym motywem w decyzjach amerykańskich konsumentów, spekulantów i bankowców nie były cele społeczne, lecz zysk. Nie byłoby w tym niczego szczególnie nowego ani nagannego, gdyby nie to, że ludzka zachłanność ujawniła się w tym procesie we wcześniej nieznanych formach i rozmiarach. Postawiło to kolejny wielki znak zapytania nad stanem państwa, które jeszcze niedawno rościło sobie wyłączne prawo do moralnej oceny różnych reżymów i społeczeństw.

Kwestia ta jest dobrą sposobnością, aby przypomnieć pewien epizod z życia Josepha Schumpetera. Choć uważał się on za najlepszego ekonomistę na świecie, to w praktycznym działaniu ekonomicznym poniósł spektakularną klęskę. Albowiem niedługo po tym, gdy w 1919 roku objął funkcję dyrektora wiedeńskiego banku Bidermana w ogarniętej kryzysem Austrii, bank zbankrutował. Okazało się, że upadek tego banku został spowodowany nieuczciwością pracowników podlegających Schumpeterowi, którzy wprowadzali w błąd swojego zwierzchnika. Interesująca jest jednak postawa Schumpetera wobec klęski banku, którym tak krótko kierował: uznał się on bowiem za odpowiedzialnego za utratę oszczędności do tego stopnia, że niemal do końca swojego życia spłacał ludzi, którzy stracili pieniądze wskutek bankructwa tego banku.

Obecny kapitalizm, w tym także amerykański kapitalizm polityczny, przybrał nowe oblicze. Gubernator jednego z najważniejszych stanów w USA, Illinois, Rod R. Blagojevich, ogłosił poufny przetarg korupcyjny na stanowisko senatorskie, zwolnione przez prezydenta-elekta Baraka Obamę. Bankierzy, którzy zrujnowali kierowane przez siebie instytucje oraz miliony ludzi, domagali się następnie ratunku, a otrzymawszy promesę 700

miliardów dolarów, zażądali zarezerwowania dziesięciu procent tej kwoty, tj. 70 miliardów, na wypłaty... dla siebie samych. Bernard Madoff, współtwórca systemu Nasdaq i właściciel jednego z najbardziej poważanych i godnych zaufania funduszy inwestycyjnych, oszukał swoich klientów na sumę ponad 50 miliardów dolarów, tracąc nie tylko ich majątek, ale także swoją godność i twarz, u schyłku życia okrywając hańbą siebie samego i własny kraj.

Każdy filozof wie, że od czasów wynalezienia pieniądza, jego fałszowanie było jedną z najsilniejszych pokus, ale także jednym z największych przestępstw politycznych. Najbarwniejszy taki przypadek wiąże się z imieniem Diogenesa, który w starożytnym mieście Synopa wraz z ojcem fałszował monety. Uniknąwszy śmierci za to przestępstwo, został skazany na wygnanie. Kiedy przybył do Aten, zamieszkał w beczce i postanowił, że jak wcześniej fałszował pieniądze, tak od tej chwili przez resztę życia będzie dążył do wykazywania fałszywości — tj. marności — wszystkich tych dóbr, o które większość ludzi stadnie zabiega.

Problem polega na tym, że to, co nosi obecnie elegancką nazwę „instrumentów finansowych" i co doprowadziło do ruiny wytwarzające je banki oraz ludzi, którzy im zaufali, było w istocie takim samym fałszowaniem pieniędzy, a więc psuciem monety i zaufania do niej, jakiego dopuścił się Diogenes. Różnica polega na tym, że Diogenes postanowił za to odpokutować. Współcześni fałszerze pieniądza bezwstydnie nie mają sobie nic do zarzucenia. Wskutek wspomnianej wyżej, zdegenerowanej innowacyjności obecnego kapitalizmu, zawód bankiera bezpowrotnie utracił to, co dotąd było jego największym i najważniejszym kapitałem: zaufanie.

Kryzys a sprawa polska

Z powyższych rozważań płyną co najmniej dwa morały dla Polski. Po pierwsze, Schumpeterowska koncepcja ekonomiczna skłania do bardzo pesymistycznej oceny polskiego kapitalizmu i perspektyw jego rozwoju. Jeżeli bowiem za Schumpeterem zdefiniujemy kapitalizm jako innowacje plus kredyt, to należy powiedzieć, że możliwości rozwoju kapitalizmu w Polsce nie wyglądają najlepiej. Wychodząc z epoki realnego socjalizmu, Polska nie tylko nie posiadała zasobów, które mogłyby stać się podstawą do tworzenia kredytu napędzającego gospodarkę, ale

także nie była miejscem sprzyjającym powstawaniu i wykorzystywaniu innowacyjnych idei, dających się przeobrażać w nowatorskie technologie, tj. w towary sprzedawalne w kraju i za granicą.

W ciągu minionych dwóch dekad polski kapitalizm rozwijał się więc głównie dzięki importowi gotowych wzorów produktów, a także dzięki importowi kapitału, który wkraczał do Polski zachęcony polityką prywatyzacji, w tym również, a może nade wszystko, prywatyzacji banków, oraz taniością siły roboczej. W okresie minionych pięciu lat gospodarka polska otrzymała także dodatkowy, ale za to najtrwalszy bodziec rozwojowy, który zawdzięcza transferom funduszy pochodzących z Unii Europejskiej. Ogólnie rzecz biorąc, Polska stała się obszarem skolonizowanym przez importowany kapitał, który przywiózł ze sobą swoje własne innowacje, zatrudniając do ich wytwarzania polską tanią siłę roboczą.

W obliczu niedostatku kapitału kolejne rządy polskie w systematyczny sposób podrywały również innowacyjne zdolności społeczeństwa polskiego, w tym zwłaszcza nauki. Przykładem polskiej porażki w tym zakresie jest niefortunna historia niebieskiego lasera, wymyślonego w Polsce, lecz przeobrażonego w atrakcyjny produkt przez producenta japońskiego. Inny z obezwładniających przykładów tej antyinnowacyjnej polityki polskich rządów jest następujący: Polska jest jedynym krajem w Europie i na świecie, które ze skromnych funduszy budżetowych, nominalnie przeznaczonych na naukę, zamiast wspierać innowacyjność, finansuje produkcję zbrojeniową, opartą zresztą na amerykańskich technologiach.

Objaśniona przez Schumpetera natura kapitalistycznej konkurencji w zastosowaniu do Polski musi więc prowadzić do wniosku, że importowany kapitał, produkujący w Polsce wymyślone gdzie indziej innowacyjne towary, nie będzie sprzyjał powstawaniu rodzimego kapitału, ani rodzimych innowacji, ani nie będzie zwiększał płac dla polskich pracowników, ponieważ w ten sposób stwarzałby konkurenta dla siebie samego oraz podważał racje ekonomiczne dla swego działania w naszym kraju.

Po drugie, Polska powinna gruntownie zrewidować swoją geopolitycznie krótkowzroczną politykę proamerykańską, którą na nowy poziom chybionej służalczości ponieśli prezydent Alek-

sander Kwaśniewski i premier Leszek Miller, decydując o udziale polskich żołnierzy w agresji na Irak oraz o nonsensownym zakupie kilkudziesięciu nieprzydatnych amerykańskich samolotów F-16. Ten zgubny kurs kontynuowały prawicowe rządy Rzeczypospolitej Polskiej, które w okolicznościach przynoszących wstyd dostojeństwu polskiej racji stanu zadeklarowały prezydentowi G. W. Bushowi gotowość wysłania dodatkowego kontyngentu polskich wojsk do Afganistanu, nie dając mu nawet szansy, żeby chociaż zdążył o to poprosić. Zdecydowały również o podpisaniu umowy dotyczącej usytuowania instalacji tzw. tarczy antyrakietowej na terenie naszego kraju. Nie jest tajemnicą, że USA systematycznie uprawiały politykę wasalizacji wszystkich swoich sojuszników. Jest także zrozumiałe, że w swoim geopolitycznym obłąkaniu polska prawica zrobi wszystko, aby dobrowolnie zaakceptować wasalną rolę Polski w relacjach z USA. Jednakże powody, dla których byli czołowi polscy politycy lewicowi tak ochoczo wpisali się w tę politykę, dyskwalifikują ich całkowicie.

Polska powinna zrozumieć, że jej przyszłością jest nie ścisły związek z USA, ponieważ jest on w istocie niemożliwy, lecz ścisłe więzi z Europą, które są tyleż niezbędne, co życiodajne i nieuchronne. Ponadto, choć Unia Europejska nie jest idealnym modelem rozstrzygania konfliktów i sporów, to już obecnie jest ona jednak znacznie bardziej niezawodnym modelem sprzyjania stabilności świata aniżeli model oferowany światu przez awanturnicze Stany Zjednoczone, których ludność korzysta z przywilejów ekonomicznych zdobytych kosztem ludów zamieszkujących zwasalizowane kraje, a także czerpie dodatkowe korzyści z nieograniczonej mobilności, możliwej dzięki przywilejom ekonomicznym i je wzmacniającej, co jednakże odbywa się za cenę utraty stabilizującego wpływu ich trwałych wspólnotowych tożsamości. Wskutek tego są oni bardziej podatni na wpływy nieodpowiedzialnych polityków i jeszcze bardziej nieodpowiedzialnych, bo wyłącznie prywatnych mediów.

Otwartość debat europejskich na ciągle nowe kwestie nadaje im znaczną żywotność. Ich intensywność powoduje, że problemy europejskie coraz trudniej zamiatać pod jakikolwiek dywan; dzięki temu Europa, nawet jeżeli ich natychmiast nie rozwiązuje, to staje wobec nich z narastającą odwagą intelektualną. Świadoma swoich deficytów energetycznych i coraz większego

uzależnienia od Rosji, Europa intensywnie i ze znaczną wyobraźnią szuka nowych, przyjaznych dla środowiska zasobów, podczas gdy Ameryka, utkwiona w kleszczach potężnego lobby przemysłu naftowego, samochodowego i bankowego, do czasu obecnego kryzysu krótkowzrocznie kontynuowała swoje wojownicze poszukiwania ropy naftowej i podtrzymywała swą archaiczną infrastrukturę, zamiast ją radykalnie modernizować.

Wyciągając wnioski z chybionej polityki wielokulturowości, na mocy której uznawano prawo grup emigranckich do pobytu w Europie przy lekceważeniu praw indywidualnych imigrantów, niektóre kraje europejskie odwracają tę politykę, stawiając przybyszom żądanie większego respektu dla europejskich praw i zwyczajów; niektóre kraje oferują bodźce finansowe dla rodzin, ułatwiając im podjęcie decyzji o posiadaniu dzieci. W obliczu ujawniającej się nieskuteczności polityki Stanów Zjednoczonych, dorastająca Europa dojrzewa do podjęcia poważnej decyzji o przyjęciu zasad wspólnej polityki zagranicznej i obronnej.

Jest jednak jeszcze jeden morał, który płynie z obecnego kryzysu, w jaki popadł neoliberalizm i Stany Zjednoczone. Presja obecnej chwili historycznej ujawnia nieefektywność i groźby wynikające z systemu światowego zdominowanego przez jednego hegemona, który na dodatek pogrąża się w bankructwie finansowym, politycznym i moralnym. Dlatego Polska powinna zrozumieć, że w jej żywotnym interesie jest, aby Europa stała się Państwem Europą. Suwerenna Europa nie doprowadzi do zderzenia dwóch zachodnich unilateralizmów ani nie będzie oznaczała rozpadu Zachodu: będzie bowiem oznaczać Zachód mocno stojący na obu nogach. Jeżeli tak się stanie, będzie to równoznaczne z dokonaniem ważkiego kroku w kierunku zastosowania europejskiej — nie zaś amerykańskiej — metody na płaszczyźnie międzynarodowej.

Polskie rządy prawicowe i prawicowo-liberalne jednak tkwią w swoim neoliberalnym dogmacie. Dogmat ten zadecydował m.in. o kształcie reformy emerytalnej, zgodnie z którą utworzone fundusze emerytalne z mocy ustawy są obowiązane inwestować część pobieranych od pracowników obligatoryjnych składek na giełdzie, co zamiast przynieść korzyść przyszłym emerytom, w jednej chwili kryzysu spowodowało gwałtowny spadek wartości tych funduszy oraz przyczyniło się do radykalnego obniżenia prognozowanych przyszłych wypłat emery-

talnych. Jedynym beneficjentem tej reformy są prywatne firmy zarządzające pieniędzmi, których nie zarobiły. Zarządcy ci również nie ponoszą żadnej odpowiedzialności przed tymi, którzy zostali zmuszeni do powierzenia im swoich pieniędzy. Podobne skutki może mieć parcie neoliberalnej prawicy na prywatyzację innych ubezpieczeń i usług społecznych.

Celem alternatywnej polskiej polityki winno być przeciwstawienie się tym tendencjom.

5.
Religia a granice bezradności państwa

Życie Richarda Shustermana obfitowało w taką wielość rozmaitych doświadczeń, że bez trudu można by nimi obdarować życiorys nie jednego, lecz wielu przeciętnych ludzi. Richard Shusterman to amerykański Żyd, który porzucił swój dom rodzinny w Filadelfii i uciekł do Europy, a następnie przeniósł się do Izraela, gdzie z kolei został przygarnięty przez polsko-żydowską rodzinę noszącą nazwisko Nisker (później zaś Nir), a faktycznie został przez nią adoptowany. Już jako obywatel Izraela poślubił Żydówkę; walczył także w armii izraelskiej. Po zakończeniu służby wojskowej przeniósł się do Oksfordu, gdzie przez kilka lat studiował estetykę. Po powrocie do Ameryki zaręczył się z Japonką, by następnie wiele lat podróżować i mieszkać w różnych zakątkach świata, przede wszystkim we Francji, Japonii i Niemczech. Bez wątpienia osobiste koleje życia Richarda Shustermana ucieleśniają pewien wzór kosmopolitycznej, postmodernistycznej tożsamości.

O ile mi wiadomo, tylko raz dotkliwie odczuł problematyczność swej złożonej tożsamości. Zamieszczony poniżej, obszerny cytat pochodzi z naszej wspólnej rozmowy, która odbyła się ponad dekadę temu: „[Podczas pobytu w Oksfordzie,] mając te dwie tożsamości narodowe [amerykańską i izraelską], byłem

w kłopocie, gdy ludzie zadawali mi pytanie: 'Skąd jesteś?' Na początku zwykle odpowiadałem 'z Ameryki', ponieważ uważałem tę odpowiedź za prostszą i bardziej naturalną, skoro mieliśmy rozmawiać po angielsku, ale także dlatego, że zawsze wpajano mi, iż bycie oficerem wywiadu oznacza również, że nigdy nie powinno się wyjawiać (a) że jest się oficerem wywiadu, (b) że w ogóle jest się z Izraela, byłem bowiem w bardzo specyficznej jednostce. Moje wojskowe wyszkolenie przypominało mi więc: 'zawsze mów, że jesteś Amerykaninem'. Także, ilekroć służąc w armii otrzymywałem specjalną przepustkę, by odwiedzić rodziców, pouczenie ze strony osób odpowiedzialnych za ochronę za każdym razem brzmiało: 'nie przyznawaj, że jesteś obywatelem Izraela; zawsze posługuj się swoim amerykańskim paszportem'. Było więc dla mnie naturalne odpowiadać: 'Jestem Amerykaninem'. Wtedy pojawiały się jednak dalsze pytania: „Gdzie studiowałeś?" — 'W Jerozolimie'; 'Gdzie zrobiłeś magisterium?' — 'W Jerozolimie'; 'Gdzie zrobiłeś licencjat?' — 'W Jerozolimie'. A następnie — 'Właśnie ukończyłeś studia?' — 'Nie, dopiero co wyszedłem z wojska'; 'Wietnam?' — 'Nie, Izrael'. Stało się to po prostu uciążliwe. Mówienie 'Jestem z Ameryki' przynosiło efekt wręcz przeciwny do zamierzonego i było konwersacyjnie nieekonomiczne w sytuacji, gdy kolejne odpowiedzi miały w gruncie rzeczy temu zaprzeczać. To był więc pierwszy raz, kiedy tego rodzaju dualistyczny czy kontekstualny problem się pojawił, ponieważ kiedy przebywałem w Izraelu, fakt, że pochodzę z Ameryki nigdy nie stanowił problemu. Ludzie zwykle mówili: 'Ach, jesteś Izraelczykiem pochodzącym z Ameryki. Jest wiele takich osób'. Gdy byłem w Ameryce, cała kwestia nigdy nie powstawała, ponieważ byłem Amerykaninem, który przyjechał z Izraela. Kłopot pojawił się jedynie na gruncie neutralnym, gdzie aby określić swoją tożsamość, musisz podać jakieś miejsce, z którego przybywasz. Tak właśnie problem ten powstał i tak mniej więcej określiłem się w Oksfordzie jako Izraelczyk"[1].

Jestem w pełni świadom ryzyka wiążącego się z nazywaniem Richarda Shustermana kosmopolitą: jest on wszak pocho-

[1] Angielska wersja tego wywiadu jest dostępna na stronie www.chmielewski.uni.wroc.pl; polska wersja dostępna jest w: *Intymne wyznania Richarda Shustermana o filozofii, życiu, sztuce, ciele i duszy oraz wielu innych sprawach wysłuchane przez Adama Chmielewskiego* [w:] Richard Shusteman, *O sztuce w życiu, Od poetyki hip-hopu do filozofii somatycznej*, przekł. Wojciech Małecki, Atla2, Wrocław 2007.

dzenia żydowskiego, podczas gdy ja urodziłem się w kraju, którego mieszkańcy znani są w całym świecie w większym stopniu z racji swego antysemityzmu niż dzięki czemukolwiek innemu. Jestem także świadom, że termin kosmopolityzm od zawsze był wykorzystywany jako potępienie wytaczane przeciwko Żydom i pozostawał zasadniczym składnikiem antysemickiej retoryki wszelkiej proweniencji. Jestem świadomy tego ryzyka i chcę je podjąć — z rozmysłem. Chciałbym bowiem wykorzystać tę sposobność, by podjąć pewien aspekt zagadnienia religii w świecie współczesnym, aspekt coraz bardziej palący. Dodatkowo motywuje mnie w tym względzie tekst Richarda Shustermana, w którym zdecydował się on na polemikę z treścią i wymową kazania wygłoszonego przez kardynała Josepha Ratzingera krótko przed jego wyborem na urząd papieża Kościoła katolickiego.

W kazaniu tym przyszły papież potępił, jak to czynił wielokrotnie wcześniej, „dyktaturę relatywizmu", który w jego rozumieniu przeczy istnieniu jedynej i niepodważalnej prawdy: w ten sposób relatywizm podważa fundamentalną prawdę oraz absolutny charakter *credo* Kościoła, które jest dane w sposób „pewny", wiedza o nim pochodzi bowiem z boskiego objawienia, danego nam przez naszego kochającego przyjaciela, Boga.

Orzeczenia kardynała Ratzingera nie były zaskoczeniem dla ludzi zaznajomionych z jego działalnością z okresu, gdy piastował funkcję prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Jego elekcja na tron papieski wywołała wiele nieprzychylnych komentarzy. Na przykład Andrew Sullivan z *Atlantic Monthly* napisał, że „...trudno przecenić radykalizm tej decyzji. Nie jest to prosta kontynuacja drogi obranej przez Jana Pawła II. Jest to totalny atak wymierzony w reformatorskie skrzydło Kościoła. (. . .) Przestrzeń pozostawiona odmiennym zapatrywaniom, niegdyś znikoma, obecnie przestała istnieć. Jednak atak na indywidualną wolność polityczną dopiero się zaczyna (...) [Ratzinger] podbił stawkę jeszcze bardziej w swojej nadzwyczaj śmiałej homilii wygłoszonej przy okazji rozpoczęcia konklawe, w której niemal wypowiedział wojnę nowoczesności, liberalizmowi (w znaczeniu nowoczesnej demokracji liberalnej wszelkiego rodzaju) oraz wolności myśli i sumienia"[2].

Podobnie Phillip Gessler, dziennikarz „Die Tageszeitung", niemieckiej gazety cieszącej się obecnie znaczną popularnością

[2] www.archive.newsmax.com, 20 kwietnia 2005.

w Polsce, komentował: „Czego możemy teraz oczekiwać od tego reakcyjnego duchownego? Jego ostatnie kazanie poprzedzające konklawe, potępiające 'dyktaturę relatywizmu' pokazuje, do czego to wszystko prowadzi: Ratzinger podejmie próbę przypieczętowania rozdziału pomiędzy świętym Kościołem Rzymskim a światem nowoczesnym — bez charyzmy i humanizmu cechujących Jana Pawła II. Nie są to dobre wieści dla kobiet, homoseksualistów czy chorych na AIDS, by wymienić ledwie kilka grup. Krótko po swej elekcji Ratzinger, który przyjął imię Benedykta XVI, oznajmił wiernym zebranym na Placu świętego Piotra: 'Jestem tylko zwykłym, pokornym robotnikiem w winnicy Pańskiej'. Zwyczajny to on nie jest, raczej trudno nazwać go także pokornym — a jeśli istnieje coś, czym intelektualista z pewnością nie jest, to jest to właśnie robotnik"[3].

Nawet jeśli pojawiały się pewne próby zmiany wizerunku Ratzingera jako kogoś, kto „wysyła boskie dywizje na wojnę przeciwko zachodniej demokracji", pozostały one raczej nieprzekonujące, zwłaszcza po tym, jak Benedykt XVI oświadczył, że ci spośród meksykańskich parlamentarzystów, którzy głosowali za legalizacją aborcji, dokonali tym samym ekskomuniki samych siebie ze wspólnoty katolickiej, albo gdy w 2004 roku odmówił udzielenia sakramentu komunii kandydatowi na fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych, Johnowi Kerry'emu ze względu na jego poparcie dla aborcji. Opinie, które formułowano bezpośrednio po elekcji Ratzingera na papieża można dodatkowo wesprzeć za pomocą odwołania do jego wcześniejszych tekstów, szczególnie do słynnej deklaracji *Dominus Iesus*, w której stwierdził, że jedynie Kościół katolicki dysponuje pełnym zakresem środków prowadzących do zbawienia, piętnując tym samym pozostałe wyznania jako gorsze w tym względzie.

Niekorzystny wizerunek kardynała Ratzingera/Benedykta XVI nieznacznie się poprawił dzięki jego udziałowi w debacie z Jürgenem Habermasem, która odbyła się w Bawarskiej Akademii Katolickiej. Została ona porównana do wcześniejszych spotkań między Lutrem a Zwinglim, czy też między Cassirerem a Heideggerem. Obaj intelektualiści rozprawiali o „Przedpolitycznych podstawach moralnych państwa liberalnego", czyli

[3] Phillip Gessler, *Oh my God! Ratzinger new Pope*, „Die Tageszeitung", 20 kwietnia 2005.

o zagadnieniu wprowadzonym w ostatnim czasie do debat politycznych i filozoficznych przez Ernsta-Wolfganga Böckenforde.

W debacie tej Habermas twierdził, że proces demokratyczny wytwarza własne obszary uprawomocnienia i nie ma potrzeby osadzać go na jakimkolwiek przedpolitycznym gruncie religijnym[4]. Bronił także własnej koncepcji „patriotyzmu konstytucyjnego", szczególnie bliskiej większości Niemców, dla których, w następstwie II wojny światowej, idea ta stała się zapewne jedyną kategorią zdolną ich jednoczyć i zachować swą dumę, której już nie mogą uzasadniać za pomocą odniesień do własnej historii narodowej czy swej etniczności. Jakkolwiek nie posunął się do tego, by przyjąć tomistyczny pogląd o podporządkowaniu prawa świeckiego prawu kościelnemu i prawu naturalnemu, a więc ostatecznie prawu boskiemu i choć nie wyrzekł się swojej wiary w moralną autonomię państwa liberalnego, to stwierdził, że religia nie stanowi już zagrożenia dla państwa liberalnego, lecz jest raczej źródłem remediów pozwalających uporać się z wyzwaniami generowanymi przez technologię oraz przez konsumpcjonistyczne wykorzenienie, które stopniowo ogarnia coraz szersze kręgi ludzi na całym świecie. Przekonywał także, iż powinnością państwa liberalnego jest „troska o wszystkie kulturowe źródła, z których wywodzi się normatywna świadomość i obywatelska solidarność". Religia jest zaś przewodnim wśród tych źródeł: „W świętych księgach i tradycjach religijnych intuicje grzechu i odkupienia, czy wyzwolenia z życia doświadczanego jako grzeszne, zostały wyrażone, szczegółowo i pieczołowicie objaśnione, a przez interpretację zachowane w żywotności przez tysiąclecia". I chociaż stwierdził, że więzi obywatelskich nie można opierać na więziach religijnych, to jednak jego zdaniem te ostatnie traktować należy z delikatnością oraz uznawać je za istotne dla indywidualnych zmagań z alienującymi siłami nowoczesności.

Jak Habermas zaskoczył audytorium swą wspaniałomyślnością w odniesieniu do religii, tak też Ratzinger dość niespodziewanie zawarł w swej mowie wyrazy uznania nie tylko dla boskiego światła racjonalności i jej roli „w kontrolowaniu patologii powstających na gruncie religii", lecz także dla nowocze-

[4] Por. np. Edward Skidelsky, *Habermas versus the Pope*, „The Prospect Magazine", 116, listopad 2005; poniżej opieram się na Skidelsky'ego wersji przebiegu debaty.

snego państwa wielokulturowego. Wbrew stanowisku Habermasa podkreślił, że powszechne głosowanie nie jest w stanie nadać konstytucji prawdziwej legitymacji, nietrudno bowiem o pomyłkę lub niemoralne działanie, które stają się udziałem większości społeczeństwa, i z tej właśnie przyczyny konieczne jest uznanie jakiegoś transcendentnego kryterium sprawiedliwości, opartego na prawie naturalnym. Potwierdzając, że sama koncepcja prawa naturalnego nie jest religijnej proweniencji, zasugerował zarazem, że należy przywrócić jej pierwotny kosmopolityczny kontekst. Stwierdził także, że dyskusję dotyczącą prawa naturalnego „należy dziś pojmować i prowadzić międzykulturowo. W przypadku chrześcijan wiązałoby się to z koncepcją kreacji i stworzyciela. W świecie hindusów mogłoby ono odpowiadać koncepcji dharmy, wewnętrznej prawości bytu, z kolei w tradycji chińskiej — idei wyroków niebieskich". Choć teoria prawa naturalnego zakłada koncepcję natury, która nie jest charakterystyczna wyłącznie dla chrześcijaństwa, to jednak ma teistyczny i metafizyczny charakter, a tym samym obdarza ludzkie działania nadprzyrodzonym fundamentem racjonalności i dlatego powinna pozostać naszym drogowskazem. Albowiem, nawet jeśli prawo naturalne zostało poddane interpretacjom w ramach niefortunnej perspektywy typowej dla teorii ewolucji, która sama sobie nadaje status naukowości, to aby temu zaradzić, Ratzinger sugeruje poddanie nauki krytycznej ocenie dokonanej ze stanowiska filozofii będącej w stanie objąć „pewien obraz całości, obraz szerszego wymiaru ludzkiej realności, który nauka może ujawnić jedynie częściowo".

Mimo nieprzekraczalnych rozbieżności dzielących głównego przedstawiciela zsekularyzowanego oświecenia i stróża katolickiej wiary, sam fakt odbycia tej debaty pokazał przede wszystkim, że kardynał przejawił chęć stawienia czoła argumentom wspierającym odmienny światopogląd. Sama dyskusja przyniosła jednak raczej rozczarowanie dla wszystkich, którzy mieli nadzieję usłyszeć z ust Habermasa rozstrzygający argument, który przemawiałby za neutralnością państwa. Jak zauważył Edward Skidelsky, debata ta była „dziwnym spektaklem filozofa i kardynała karkołomnie naginających się tak, aby dopasować się do siebie nawzajem"; można było jednak odnieść wrażenie, że większy udział w tym naginaniu miał Habermas.

Zrozumiałe jest więc, że Richard Shusterman, podobnie jak wiele innych osób, poczuł się zaniepokojony głównym przesłaniem mowy kardynała Ratzingera wygłoszonej przy okazji jego wyboru na urząd papieża w roku 2005. Shusterman podkreśla, że kardynał próbował rozniecić obawy przed groźbą relatywizmu, który nie tylko nie akceptuje, ale wręcz zajadle przeczy jedynej, uniwersalnej i niekwestionowalnej prawdzie tej postaci chrześcijaństwa, którą rzymski katolik uważa za własne dziedzictwo. Stwierdzając, że kardynał Ratzinger poszukiwał filozoficznego wsparcia w niewłaściwym miejscu, Richard Shusterman nakłania papieża, aby zechciał przychylniejszym okiem spojrzeć na ten rodzaj fallibilizmu, którego twórcą i orędownikiem był Charles Sanders Peirce.

W odpowiedzi na nieustępliwe stanowisko Ratzingera w kwestii prawdy oraz pewności objawionej wiary, które Shusterman interpretuje jako przypadek fundamentalizmu, kwestionuje on ideę „stałości dojrzałej wiary", sformułowaną przez kardynała. Zamiast tego podkreśla, iż fallibilizm, „ukazując, że ludzka wiedza jest niedoskonała i że tym samym zawsze może być doskonalona, [...] ma tę przewagę, iż dopuszcza jej niekończący się rozwój, nie ustanawiając zarazem żadnych ograniczeń ani dla dociekań naukowych ani dla płynącego z nich, etycznie i poznawczo uszlachetniającego zadowolenia. Nie popadając w pozbawiony zasad sceptycyzm czy relatywizm, fallibilizm autentycznie wierzy, że twórczej stabilności utrwalonej wiedzy wcale nie zagraża to, iż nie jest ona absolutnie nieomylna. Praktyczna wiara w wiedzę nie wymaga bowiem wiary w jej niezawodną trwałość. Łącząc tę roboczą wiarę z zaletami, jakie przynoszą jawność i rozwój, fallibilizm zyskuje także cnotę pokory, która wydaje się niezbędna w każdej tradycji religijnej. Wyznawca fallibilizmu, nawet gdy jest absolutnie niezachwiany w swej wierze w Boga, może zarazem przyznać, że jego rozumienie Boga jest omylne, niewystarczające i podlegające doskonaleniu, a w konsekwencji może dokładać tym większych starań, by pogłębiać swe rozumienie na drodze zbliżania ku Bogu, czy wręcz dążenia do mistycznej komunii"[5].

Inną kwestią, która ma kluczowe znaczenie dla dyskusji Shustermana z kardynałem, jest doktrynalny dualizm, który znalazł swe dobitne sformułowanie w wystąpieniu Ratzingera. Shuster-

[5] *Ibid.*, s. 381.

man chce „wskazać, że podejście fallibilisty o wiele lepiej służy upowszechnianiu rozwoju duchowego, pogłębianiu wiary religijnej i rozwijaniu wiedzy etycznej, że unika ono napięć pomiędzy rozwojem i wiarą oraz dynamizmem i stałością, wprowadzających do stanowiska kardynała głębokie wewnętrzne rozdarcie, a zarazem pozwala zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa duchowej stagnacji oraz represyjnej nietolerancji"[6].

Chciałbym przyznać rację Shustermanowi, iż postawa zezwalająca w fallibilistycznym duchu na szerszy margines swobody pogłębiania ludzkiego rozumienia wiary, a w istocie czegokolwiek, w konieczny sposób opiera się na rzetelnym rozpoznaniu indywidualnych możliwości rozumowania i że może ona w znacznie większej mierze stymulować siłę jednostkowej wiary niż sztywna instrukcja mówiąca o tym, w co i jak człowiek ma wierzyć. Z tych samych powodów również mocno wierzę, że ufna akceptacja różnorodności jednostek, wraz z ich rozmaitym potencjałem intelektualnym, w większym stopniu może sprzyjać społecznej jedności niż próby jej narzucenia bez uwzględnienia i poszanowania indywidualnej woli.

Mimo to chciałbym wykazać, że pouczenia kierowane przez Shustermana pod adresem kardynała Ratzingera są, po pierwsze, sprzeczne z ekskluzywistyczną naturą religii przez niego reprezentowaną, a w istocie wszystkich judaistycznych religii, do których chrześcijaństwo niewątpliwie należy; po drugie zaś, że są one nie do pogodzenia z naturą duszpasterskich i nauczycielskich zadań, jakie miał na uwadze przemawiający do wiernych kardynał i późniejszy papież, którego najpilniejszym obowiązkiem pozostaje dbałość o zachowanie jedności chrześcijaństwa. Tym samym, sympatyzując z fallibilizmem Shustermana, uważam zarazem, że próba pouczania głowy Kościoła katolickiego w sprawie skuteczności metod rozwijania dojrzałej wiary, jaką pragnie on wpoić krnąbrnym, wątpiącym i niepokornym, jest raczej chybiona.

Argument Shustermana opiera się na rozróżnieniu między wiarą i rozumieniem obiektu (oraz treści) ludzkiej wiary. Argument ten można wyrazić za pomocą spostrzeżenia, że choć możemy być niezachwiani w naszej wierze, to jednak prawdziwa natura przedmiotu naszej wiary może zarazem wymykać

[6] R. Shusterman, *Fallibilism and Faith*, „Common Knowledge", 13, 2–3, 2007, s. 380.

się naszemu rozumieniu. W ten sposób stanowisko fallibilizmu, w odniesieniu do naszego pojmowania Boga, można rzeczywiście postrzegać jako możliwe do pogodzenia z niezachwianą wiarą w Niego. Wydaje się również, że dystynkcję tę można w pełni pogodzić, z jednej strony, z doktryną chrześcijańską, która opiera się na przyjęciu tajemniczej, a zatem nieodgadnionej natury Boga, z drugiej zaś — z kategorycznym wymogiem wiary w Niego.

Mimo że rozróżnienie pomiędzy wiarą i rozumieniem jej przedmiotu jest niekwestionowalne, podobnie jak rozróżnienie pomiędzy tajemnicą przedmiotu wiary a pewnością wiary w ten przedmiot, jest rzeczą dobrze znaną, że z racji pozateologicznych i pozaepistemologicznych Kościół katolicki, uchwalając w XIX wieku dogmat o papieskiej nieomylności, nieodwołalnie pozbawił się możliwości wykorzystania tego rozróżnienia w praktyce.

Progresywizm w rozumieniu prawdziwej wiary, do której odnosi się Shusterman, był przedmiotem wielokrotnych potępień przez Kościół w przeszłości. By przytoczyć choćby jeden z wielu przykładów: w roku 1857 herezja wiedeńskiego księdza i teologa Anthona Günthera została potępiona, albowiem przekonywał on, że dogmaty wiary katolickiej winny podlegać reinterpretacji i dostosowaniu do rosnących standardów intelektualnych wykształconej wiedeńskiej burżuazji i inteligencji. Pisma Günthera zostały oficjalnie potępione w *breve* Piusa IX *Eximiam tuam*, skierowanym do arcybiskupa Kolonii, Johannesa von Geissela, a następnie raz jeszcze w *Syllabus Errorum* z roku 1864; jego zwolennicy, znani jako günterianie, zostali rozpędzeni i/lub wykluczeni z Kościoła. W rzeczywistości herezja günteriańska, choć była faktycznie znacznie mniej skrajna niż inne teologiczne nowinki inspirowane filozofią kantowską i heglowską, stała się jednym z wielu powodów, które przyczyniły się do uchwalenia dogmatu o nieomylności papieskiej podczas Pierwszego Soboru Watykańskiego.

Są jednak głębsze przyczyny stojące na drodze do przyjęcia postawy fallibilistycznej lub postępowej w łonie Kościoła katolickiego. Niewspółmierność tej postawy z większością religii, zwłaszcza judaistycznych, ma swoje źródło w ich ekskluzywistycznej naturze.

W naturze religii leży bowiem to, że daje ona swoim wiernym silne poczucie zbiorowej tożsamości, tożsamości z zasady

definiowanej w terminach ekskluzywistycznych, które wspierają złożoną ludzką psychikę bardziej skutecznie niż inkluzywność cechująca niektóre religie Wschodu, zwłaszcza buddyzm, do którego Shusterman także odwołuje się w swojej polemice.

Jak wykazała Martha Nussbaum, cechująca ludzi skłonność do wykluczania ma zapewne źródło w naturze naszej cielesnej konstytucji, która ulega stopniowej sublimacji i przybiera postać symboli i kategorii kulturowych lub religijnych. Nussbaum twierdzi, że: „ludzie [...] zazwyczaj potrzebują pewnej grupy innych istot ludzkich, przeciwko którym mogą się jednoczyć; kogoś, kto symbolizowałby to, co wstrętne i kto wskutek tego jeszcze doskonalej izolowałby wspólnotę od jej własnej zwierzęcości. A zatem każde społeczeństwo przypisuje wstrętne własności — brzydki zapach, oślizłość, lepkość, zepsucie, rozkład — pewnej grupie osób, które z tego powodu są uznawane za obrzydliwe, i od których się stroni i którzy dzięki temu oddzielają dominującą grupę od tego, czego boi się ona w sobie samej. W wielu społeczeństwach europejskich rolę tę odgrywali Żydzi. Uznawano ich za wstrętnych pod względem fizycznym, symbolicznie zaś uznawano ich za robactwo, które ma te same cechy. W tradycyjnej hinduskiej hierarchii kastowej, *dalici*, poprzednio nazywani 'niedotykalnymi', spełniali rolę pokrewną: wskutek ich kontaktu z odpadkami, ich samych uznawano za zanieczyszczonych i dlatego nie wolno ich było dotykać osobie czystej: samo ich istnienie we wspólnocie chroniło czystych od rozpadu i smrodu ich własnej zwierzęcości"[7].

Sądzę, że większość religii, zwłaszcza religii o judaistycznych korzeniach, nie może bez narażania trwałości swojej tożsamości wyrzec się idei wyłączności prawdy, którą wyznaje. Przekonanie to można wzmocnić za pomocą odwołania do uderzających konsekwencji, do jakich doprowadził niedawny publiczny wykład na temat świeckiego i religijnego prawa, wygłoszony przez Rowana Williamsa, arcybiskupa Canterbury. W swoim wystąpieniu powiedział on, że wprowadzenie pewnych elementów prawa szarijatu do brytyjskiego systemu prawnego jest „nieunik-

[7] Martha C. Nussbaum, *Body of Nation: Why Women Were Mutilated in Gujarat*, „Boston Review", September 2004; wyd pol.: *Ciało Narodu. Dlaczego w Gujaracie okaleczano kobiety?*, przekł. Karolina Skarbek i Grzegorz Maryniec, w: *Demokracja, Konflikt, Wykluczenie. Krytyczne perspektywy współczesnej teorii społecznej i filozofii politycznej*, red. Mariusz Turowski i Jakub Nalichowski, Instytut Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2008, s. 201.

nione"[8]. Zwracając się do blisko tysiąca słuchaczy zebranych w The Great Hall of the Royal Courts of Justice przekonywał, że przyznanie prawu koranicznemu oficjalnego statusu w Wielkiej Brytanii miałoby korzystny wpływ na spójność społeczną, ponieważ część muzułmanów nie stosuje się do obecnego brytyjskiego systemu prawnego. Williams zauważył także, że wprowadzenie pewnych elementów szarijatu do prawa publicznego oznaczałoby, że muzułmanie nie musieliby już więcej wybierać pomiędzy dwoma systemami prawa, w których przyszło im żyć obecnie; religijnym, który przywieźli ze sobą do Wielkiej Brytanii oraz brytyjskim, który zastali: „Jeśli tym, czego społecznie pragniemy, jest wzór relacji, w którym mnogość odmiennych i wzajemnie przenikających się powiązań działa dla wspólnego dobra i w którym grupy o poważnych i głębokich przekonaniach nie stają systematycznie w obliczu sztywnych wyborów pomiędzy lojalnością wobec kultury a lojalnością wobec państwa, [wprowadzenie pewnych elementów szarijatu] wydaje się nieuniknione".

W godnym uznania fallibilistycznym duchu porównał tę sytuację do przypadku szkół wyznaniowych, w których „wspólnotowe zobowiązania" zostały wystawione na bezpośredni kontakt z szerszą grupą społeczną, co prowokuje wzajemne pytania i wzajemny wpływ, prowadzące w konsekwencji do zmiany, która dokonała się bez łagodzenia „rozbieżności zachodzących pomiędzy istotnymi elementami tych wspólnotowych zobowiązań". Dodał także, że w istocie szarijat jest już obecnie praktykowany w Wielkiej Brytanii. „Nie jest wcale tak, jakbyśmy wprowadzali jakiś obcy i konkurencyjny system; już teraz mamy bowiem w tym kraju szereg sytuacji, w których wewnętrzne prawo wspólnot religijnych jest uznawane przez prawo ziemi. [...] Jest więc miejsce na to, by wypracować konstruktywny kompromis z pewnymi aspektami prawa muzułmańskiego, podobnie jak już teraz postępujemy w przypadku pewnych rodzajów aspektów innych praw religijnych".

Jest wiele możliwych sposobów, aby zrozumieć podejście obrane przez arcybiskupa Williamsa. Można odwołać się do przeszłości, gdy chrześcijańska Europa zapewniała Żydom uznanie zarówno kolektywne, jak i indywidualne, miało ono jednak charakter uznania konsekwentnie negatywnego. Czynnik religijny

[8] „The Guardian", 7 lutego 2008.

odgrywał wówczas dominującą rolę w postawie chrześcijan wobec Żydów. Choć prawdą jest, że w roku 1247 papież Innocenty IV oczyścił żydów z oskarżeń o rytualne mordy chrześcijańskich dzieci[9], to jednak bardzo niewielu innych papieży, aż do Jana Pawła II, przejawiało chęć pójścia tym śladem; natomiast podczas tych ośmiu minionych stuleci papiestwo skutecznie wychowało społeczeństwa europejskie w duchu antysemityzmu. Ten konsekwentny antysemityzm doprowadził ostatecznie do prześladowania i eksterminacji Żydów w Europie, zwłaszcza na terenie Polski, gdzie przed II wojną światową było ich więcej niż gdziekolwiek indziej w Europie (10% całej populacji). Uciekli tu bowiem przed okrutnymi pogromami głównie z sąsiadującej Rosji, kraju, z którego wywodzą się haniebne i oszczercze *Protokoły Mędrców Syjonu*, sprokurowane przez carską Ochranę.

Warto w tym kontekście wspomnieć, że sumienia polskich katolików zostały ostatnio dotkliwie wzburzone przez książkę Tomasza Grossa *Strach*[10], w której opisuje on w drastycznych szczegółach mordy dokonane na Żydach przez Polaków po II wojnie światowej. Do mordów tych doszło tuż po tym, jak nieliczni Żydzi, którzy przetrwali niemieckie obozy zagłady (z liczby 3 milionów Żydów mieszkających w Polsce przed II wojną światową przetrwało około 80 tysięcy), zdecydowali się powrócić do swoich domostw w różnych miejscach Polski. Ku swemu przerażeniu jednak wcale nie zostali przyjęci z poczuciem ulgi i radości, że udało im się przetrwać, ale z wrogością, która doprowadziła do pogromów i mordów co najmniej 2000 osób. Choć trudno uwierzyć w tę bolesną prawdę, to w konsekwencji polscy ocaleli żydzi uciekali z Polski do… Niemiec, ponieważ to właśnie w rozbitych powojennych Niemczech czuli się znacznie bardziej bezpiecznie niż w swej polskiej ojczyźnie. Gross podaje szczegółowe, także psychologiczne i ekonomiczne, wyjaśnienie tego makabrycznego fenomenu, wskazując jednoznacznie na czynnik religijny jako ten, który odegrał kluczową rolę w usprawiedliwieniu zabijania ocalałych z Holocau-

[9] David L. Kertzer w książce *Popes against the Jews* udokumentował doktrynalny oraz instytucjonalny antysemityzm papieży, obecny zwłaszcza w wieku XIX. Warto zwrócić uwagę, że w polskim przekładzie wymowa tytułu jego książki, który powinien brzmieć: *Papieże przeciwko Żydom*, została złagodzona i brzmi: *Papieże a Żydzi. O roli Watykanu w rozwoju współczesnego antysemityzmu*, przekł. Agnieszka Nowakowska, WAB, Warszawa 2005.

[10] Znak, Kraków 2008.

stu w oczach Polaków. Jednakże, jak świadczy o tym reakcja polskiego Episkopatu, wyrażona podczas debaty po opublikowaniu tej książki, większość katolików w Polsce, dzięki odwołaniu się w zgoła niefallibilnym duchu do nieomylności swego wyznania, wciąż ma problem z odnalezieniem w sobie jakiejkolwiek winy.

Inaczej mówiąc, Żydzi przez całe stulecia pełnili rolę owych „innych", przez odniesienie do których chrześcijańska Europa określała i chroniła swoją tożsamość. Stopniowo ci „inni" przeobrażali się jednak w „obcych", których należało się pozbyć. Obecnie rola europejskich „innych", ale coraz częściej także rola „obcych", przypada muzułmanom. Z tego punktu widzenia apel arcybiskupa Kościoła anglikańskiego pozostaje w wyraźnej opozycji do stanowiska Kościoła katolickiego, nadal myślącego w kategoriach dawnych europejskich „innych" lub „obcych". Pogląd arcybiskupa Williamsa stoi na przykład w uderzającym przeciwieństwie ze stwierdzeniem katolickiego filozofa politycznego Carla Schmitta, iż nawet jeśli Chrystus nakazał swym zwolennikom, by miłowali swoich wrogów (w sensie *inimicos*), to jednak żadnemu chrześcijaninowi nigdy nawet nie przeszło przez myśl, by poddawać chrześcijańską Europę Turkom czy Saracenom w imię miłości do nich; ci bowiem, zgodnie z zasadami religii, na zawsze pozostali wrogami — w sensie *hostis*[11], czyli wrogami publicznymi. By wyrazić to jeszcze inaczej, wystąpienie arcybiskupa można postrzegać jako szczere przyznanie się do błędów i grzechów, jakich w przeszłości dopuściło się chrześcijaństwo oraz jako nawoływanie do ustanowienia takich prawnych środków zaradczych, które uniemożliwiłyby ich powtórne popełnienie. Arcybiskupa można także postrzegać jako kogoś, który domaga się od postreligijnej Europy uznania swych minionych win i zaprzestania traktowania muzułmanów w sposób, w jaki traktowała Żydów. W obawie przed tym, że Europejczycy mogą znów popełnić ten sam błąd, który w przeszłości popełnili względem Żydów, pragnie on, jak się wydaje, dołączyć do zwolenników wielokulturowości, wzywających do kolektywnego uznania muzułmanów w Europie. Oświadczenia pochodzące od zwierzchnika Kościoła anglikańskiego można

[11] Carl Schmitt, *The Concept of the Political*, Rutgers University Press, New Brunswick, New Jersey, 1976, s. 28–29.

więc postrzegać jako nowatorską próbę zajęcia w obrębie religii stanowiska całkiem bliskiego fallibilizmowi Shustermana.

Wezwanie arcybiskupa Kościoła anglikańskiego można także rozumieć na tle powojennych następstw europejskiego antysemityzmu. Po tym bowiem, jak dla ocalałych Żydów niemożliwe okazało się życie pośród prochów ich bliskich w Europie, wspierani przez wielu światłych Europejczyków (syjonizm był bądź co bądź bardzo pozytywnie postrzegany przez wielu Europejczyków) wyjechali, by żyć w Palestynie. Można przypuszczać, że znalazła się wśród nich polsko-żydowska rodzina Niskerów. Ostatecznie więc to nie kto inny, lecz muzułmanie z Bliskiego Wschodu zapłacili i nadal płacą cenę za skutki europejskiego antysemityzmu. Co najmniej 1,5 miliona muzułmanów żyje obecnie w obozach dla uchodźców w Libanie, Jordanii i Syrii, cierpiąc upokorzenie i nędzę, nie mogąc zrobić nic z wyjątkiem spiskowania przeciwko Ameryce. Bo to przecież Ameryka, nie Europa, pokrywa koszta ochrony państwa Izrael, ustanowionego na terytoriach, z których wygnani zostali palestyńscy muzułmanie. Europa nie wydaje się szczególne chętna do zrozumienia swej minionej roli, którą odegrała w stworzeniu bliskowschodniego kotła. W zamian za to próbuje kompensować cierpienia, jakich muzułmanie doznają w następstwie ustanowienia państwa Izrael w roku 1948, co czyni za pomocą niezbyt szczodrych subsydiów dla muzułmańskich władz Palestyny, oraz za pomocą przyjmowania muzułmańskich emigrantów w Europie. Możemy dodać do tego również minione i obecne skutki francuskiej działalności w Algierii.

Jednak we wrzawie, jaka się podniosła po kazaniu arcybiskupa Williamsa, postreligijna Europa otwarcie zademonstrowała, że nie zamierza posuwać się tak daleko w uznaniu dzisiejszych europejskich „obcych", jak oczekiwałby tego od nas arcybiskup. Pojawiło się wiele głosów wzywających go do ustąpienia z urzędu i sugerujących, by przeniósł się na uniwersytet, gdzie mógłby nieskrępowanie drążyć takie tematy, zamiast przewodzić oficjalnemu Kościołowi Anglii. Jego uwagi spotkały się także z gorliwą obroną istniejącego systemu prawnego przez premiera Gordona Browna, który powiedział, że brytyjskie prawo pozostanie oparte na brytyjskich wartościach, zaś prawo szarijatu nie może stanowić żadnego usprawiedliwienia dla czynów niezgodnych z prawem narodowym. „Nasze ogólne

stanowisko nie tylko nie dopuszcza prawa szarijatu jako usprawiedliwienia przypadków pogwałcenia prawa angielskiego, ale także nie zezwala na uwzględnianie reguł prawnych szarijatu przy rozwiązywaniu sporów cywilno-prawnych w sądownictwie cywilnym".

W bardziej poważnej próbie zrozumienia i interpretacji tej raczej niezwykłej postawy głowy Kościoła, Frank Furedi podkreślił, że „to, co jest naprawdę znaczące w wypowiedzi arcybiskupa, to wcale nie jego pozornie liberalny zwrot ku respektowaniu obyczajów konkurencyjnego wyznania. Choć wystąpienie Williamsa skupiło się wokół miejsca prawa szarijatu w Wielkiej Brytanii, to jednak głównym jego celem było przekonanie do przywrócenia prawomocności roli religii w brytyjskim społeczeństwie. Jako zwierzchnik Kościoła anglikańskiego, dr Williams jest boleśnie świadom kurczącego się znaczenia i wpływu swej instytucji. W Wielkiej Brytanii jest obecnie więcej chrześcijan praktykujących katolicyzm niż anglikanizm. Islam okazuje się motywować i inspirować ludzi w sposób trudny do pojęcia przez wielu przeciętnych anglikanów. Kościół Anglii z kolei boryka się z krytyką dotyczącą kwestii seksualnych oraz stylu życia, a także bezustannie walczy o utrzymanie swego międzynarodowego autorytetu nad 77 milionami anglikanów żyjących na całym świecie"[12].

Tym, co sprawia, że stanowisko arcybiskupa jest szczególnie wątpliwe, a nawet absurdalne, jest fakt, że w swych pozornych poszukiwaniach sposobu uznania praw muzułmańskiej mniejszości w Europie i tym sposobem rzekomego zachowania pokoju między wyznaniami, wzywa do podporządkowania „tego, co polityczne", „temu, co religijne", nawet jeżeli religia, w obronie której staje, nie jest jego religią. Albowiem jest niezwykłym przypadkiem *coincidentia oppositorum*, że praktyczne oraz prawne środki, oparte na fallibilistycznym, pluralistycznym i rzekomo tolerancyjnym podejściu, nie różniłyby się zbytnio od podobnych środków, opartych na dogmatycznym i antytolerancyjnym podejściu, jakie wyznaczało pozycję Kościoła katolickiego, który przez całe stulecia pragnął jeśli nie zachować swoją zwierzchnią pozycję nad prawem świeckim, to chociaż ocalić ścisłe przymierze między ołtarzem i tronem: dominująca pozycja zinstytucjonalizowanej religii w relacji do państwa, niegdyś

[12] Frank Furedi, *Hiding behind the veil of Sharia law*, „Spiked", 11 lutego 2008.

uprawomocniana nieznoszącymi sprzeciwu tezami o jego podporządkowaniu prawu naturalnemu i boskiemu, zostałaby bowiem przywrócona na mocy fallibilistycznej argumentacji, jaką przedstawił arcybiskup.

Jak puentuje Furedi, arcybiskup „nie domaga się po prostu większego uznania dla szarijatu, lecz dla wszystkich form prawa religijnego. Jego motywacją równie dobrze mogłoby być szczere pragnienie propagowania tolerancji dla islamu — jest on jednak dużo bardziej zainteresowany utrzymaniem, a jeśli to możliwe, także umocnieniem statusu religii w szerszych kręgach świeckiego społeczeństwa. To, że próbował odnaleźć drogę do celu wspierając przodujący ruch rywalizującego wyznania, jest symptomatyczne dla marazmu, jaki toczy jego kościół. Wystąpienie Wiliamsa wcale nie było aktem odwagi, a wskutek chowania się za prawem szarijatu, nie wyrażało także jego prawdziwych celów"[13].

Muzułmanie są w Europie, ponieważ Europa potrzebuje tańszej siły roboczej. Latynosi są sprowadzani do USA z tych samych powodów. Ma to jednak swoje konsekwencje sięgające daleko poza ekonomię. W swoim postmodernistycznym poszanowaniu dla wspólnotowo kształtowanych tożsamości, Europa zagwarantowała kolektywne raczej, aniżeli indywidualne uznanie muzułmanom, czego niegdyś nie potrafiła zapewnić Żydom. Jeśli jednak ktokolwiek miał nadzieję, że polityka ta pozwoli uniknąć gettoizacji muzułmanów, najwyraźniej pomylił się. Zamiast do autentycznego liberalnego uznania każdego z nich, polityka kolektywnego uznania doprowadziła właśnie do ich gettoizacji w rozmaitych miejscach Europy, ale także do ich zbiorowego poniżenia. Nie jest więc zaskoczeniem, że niektóre z tych gett stają się nie tylko siedliskami terroryzmu wewnątrz Europy, ale także bazami przerzutowymi dla bojowników dżihadu przybywających z Bliskiego Wschodu, jak ta w Hamburgu, która dała schronienie i zwerbowała sprawców zamachów z 11 września w Nowym Jorku, czy w Londynie i Madrycie.

Europa wciąż pozostaje w szoku wywołanym zabójstwem Theo Van Gogha przez muzułmanina, ale także sposóbem potraktowania Ayaan Hirsi Ali przez władze holenderskie. Debata dotycząca granic tolerancji w Europie rozpoczęła się wraz

[13] *Ibid.*

z książką Iana Burumy *Murder in Amsterdam*[14], w której wyjaśnia on konsekwencje zabójstwa Van Gogha przez islamskiego ekstremistę, Mohammeda Bouyeri. Jak podkreślił Francis Fukuyama, wydarzenia te, obok wielu innych konsekwencji, doprowadziły do „znacznie spóźnionego uświadomienia sobie, że dawna wersja multikulturalizmu, praktykowana [przez Holendrów], była niebezpieczna i przynosiła skutek wręcz odwrotny do zamierzonego. Tolerancja liberalna postrzegana była nie jako poszanowanie dla praw jednostek, ale dla praw grup, choć niektóre z nich same były nietolerancyjne (ponieważ na przykład nakazywały, z kim mogą się przyjaźnić lub kogo poślubić ich córki). Wskutek chybionego poczucia poszanowania dla innych kultur, muzułmańskie mniejszości zostały pozostawione samym sobie, by regulować własne zachowania, co było postawą ściśle zbieżną z tradycyjnym podejściem europejskiego korporacjonizmu do organizacji społecznych. W Holandii, gdzie państwo dotuje oddzielne katolickie, protestanckie i socjalistyczne szkoły, dość łatwo dodać było 'filar' muzułmański, który szybko jednak przekształcił się w getto odcięte od otaczającego społeczeństwa. W Holandii wdrożono nowe rozwiązania, jak np. przepisy zniechęcające do sprowadzania przyszłych żon z Bliskiego Wschodu, mające na celu zmniejszenie izolacji muzułmańskiej społeczności. Holenderska i brytyjska policja otrzymała nowe uprawnienia do monitorowania, aresztowania i wydalania podżegaczy religijnych. Nadal jednak nierozwiązany pozostaje znacznie poważniejszy problem, mianowicie problem ukształtowania takiej tożsamości narodowej, która połączy obywateli różnych wyznań i etniczności w obrębie wspólnej demokratycznej kultury, podobnie jak amerykańskie *Credo* pomogło jednoczyć nowo przybyłych do Stanów Zjednoczonych imigrantów"[15].

Lekcja, której Europa po raz kolejny uczy się dzięki własnym doświadczeniom z religijnym radykalizmem i ekskluzywizmem, przywodzi na myśl mowę członka parlamentu francuskiego, hrabiego Stanislasa Clermont-Tonnere'a, pochodzącą z roku 1789. Czyta się ją dziś jak niezwykły list z przeszłości, który jest zarazem bezpośrednią odpowiedzią na stwierdze-

[14] Wyd. pol. Ian Buruma, *Śmierć w Amsterdamie. Zabójstwo Theo van Gogha i granice tolerancji*, przekł. Adam Lipszyc, Universitas, Kraków 2008 [przyp. tłum.].

[15] Francis Fukuyama, *A Year of Living Dangerously. Remember Theo van Gogh, and Shudder for the future*, „Wall Street Journal", 2 lutego 2005.

nia arcybiskupa Canterbury i kardynała Ratzingera. Clermont-Tonnere powiedział wtedy, że „musimy odmówić Żydom wszystkiego jako narodowi, i przyznać Żydom wszystko jako jednostkom. Musimy cofnąć nasze uznanie dla ich sędziów; powinni mieć oni wyłącznie naszych sędziów. Musimy odmówić im ochrony prawnej, służącej utrzymaniu tak zwanych praw ich żydowskiej organizacji; nie można im pozwolić na utrzymywanie w obrębie państwa ciał politycznych ani zakonów. Muszą być obywatelami indywidualnie. Niektórzy jednak odpowiedzą mi, że oni nie chcą być obywatelami. Dobrze więc! Jeśli nie chcą być obywatelami, to niechże tak powiedzą, a wtedy my powinniśmy ich wygnać. Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby wewnątrz państwa była organizację nieobywateli, naród w obrębie narodu"[16].

Państwo oparte na prawie religijnym dowiodło, że nie jest ono zdolne zapewnić pokoju i tolerancji obywatelom wyznającym różne religie. Jako że byłoby rzeczą nierozsądną oczekiwać od religii pokory i umiaru, jakie cechują fallibilizm, zadaniem państwa staje się zapewnienie warunków, w których jednostki mogłyby żyć w pokoju bez względu na swoje wyznanie. Wydaje się, że rozwiązanie to będzie musiało opierać się na dwóch rozróżnieniach: pierwszym, które wprowadza różnicę między uznaniem pozytywnym i negatywnym, oraz drugim, które odróżnia uznanie indywidualne od kolektywnego. Odpowiednio więc, polityka państwa liberalnego wobec religii winna polegać na umiejętnym zespoleniu obu tych rozróżnień: państwo winno zatem uznawać w *negatywny* sposób te formy organizacji swoich obywateli, które okazały się niezdolne do przestrzegania zasad tolerancji względem innych, a jednocześnie gwarantować uznanie *pozytywne* dla obywatelskich praw wszystkich, traktowanych jako jednostki.

Rozwiązanie to wiąże się naturalnie z ideą zawartą w trzecim rozróżnieniu, tj. między tym, co prywatne, a tym, co publiczne. Prawdą jest, że podział na prywatne i publiczne jest przedmiotem krytyki, według której wszystko, co prywatne, jest zarazem polityczne. Istotną prawdę wyraża również agonistyczny punkt widzenia, według którego niemożliwe jest ścisłe i ostateczne

[16] Stanislas Clermont-Tonnere, *Translation of a Speech Spoken by the Count Clermont Tonnere, Christmas Eve Last, On the Subject of Admitting Non-Catholics, Comedians and Jews to All the Privileges of Citizens, According to the Declaration of Rights*, London, 1790, s. 13–14.

wyznaczenie granic między tym, co polityczne, a tym, co prywatne[17]. Te trzy rozróżnienia jednak łącznie wskazują na pewne polityczne rozwiązanie problemu miejsca religii we współczesnym społeczeństwie. Musi ono wypływać ze świadomości, że praworządne państwo nie może być przyjazną przystanią dla wszystkich religii, jakie wyznają jego obywatele, jeśli nie zdoła ono wznieść się ponad wszystkie ich wzajemnie niewspółmierne aspiracje do niepodważalnej prawdy. Nie może osiągnąć tego państwo, które w sporze z religiami deklaruje swą całkowitą bezradność.

[17] Por. Adam Chmielewski, *Etyka i polityka Alasdaira MacIntyre'a*, w: Alasdair MacIntyre, *Etyka i polityka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009, s.29–33.

6.
Ascetyzm wyuczony wersja akademicka

Przyznaję, że jestem bardzo przywiązany do tradycyjnej idei universitas, do tradycyjnej idei uniwersytetu jako miejsca, gdzie nie zawodowe umiejętności czy sprawności są przekazywane, ale gdzie przekazywane są fundamenty naszej kultury, bez których byśmy się cywilizacyjnie i kulturalni zniszczyli. (...) Jest taki sposób myślenia, który daje się wyrazić mniej więcej tak: 'każdemu wolno, jeśli chce studiować język Hetytów, japońskie ogrody Zen, albo różnice między św. Augustynem i św. Cyprianem w interpretacji sakramentu chrztu. Wolno ludziom się tego uczyć, ale dlaczegóż podatnik miałby płacić za kultywowanie tych egzotycznych zainteresowań?' To jest zły argument. Bo oczywiście niepodobna podać wymiernych korzyści, jakie każdy poszczególny podatnik miałby otrzymywać z tego tytułu, że ktoś inny studiuje język Hetytów albo japońskie ogrody Zen. Kultura nasza zawiera olbrzymie połacie, które wydawałoby się, że nie są potrzebne. (...) Są jednak rzeczy, których nie można do garnka włożyć, w które nie można się ubrać, ale jednak kultura z nich właśnie żyje i są one konieczne po to, żeby kultura istniała. Jeżeli tak zwana kultura 'bezinteresowna' jest uważana za luksus, to tylko dlatego, że sama ludzkość w pewnym znaczeniu jest luksusem natury. Bezużyteczność taka jest właśnie bezużytecznością pozorną, bo praktyczne wysilenia ludzi, również te pomysły, które służą praktycznemu życiu, w znacznej większości nigdy nie powstałyby, gdyby nie miały fundamentów w ogólnych podstawach życia kulturalnego[1].

U progu II wojny światowej, która zakończyła krótki żywot II Rzeczypospolitej, Florian Znaniecki, jeden z nielicznych pol-

[1] Leszek Kołakowski, Mowa dziękczynna z okazji otrzymania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego, 26 października 2002 roku.

skich humanistów, którzy zyskali międzynarodowe uznanie, zanotował następujące słowa: „Zaiste, w dzisiejszym czasie wiele zaryzykuje społeczeństwo, które śmiało poprze swobodą, wielką twórczość naukową, a przez to otworzy u siebie nieograniczone pole rozwoju dla wielkiej wynalazczości. Bo może ono się stać ośrodkiem rozpętanych potęg duchowych, które w ciągu kilku pokoleń zmiotą bez śladu to życie, jakie dziś znamy, i na jego miejsce wytworzą jakieś życie nowe, olbrzymie, lecz niedostępne nawet najbujniejszej naszej wyobraźni i zapewne niewspółmierne z żadnymi naszymi sprawdzianami wartości. Czy chcemy, aby społeczeństwo polskie stało się jednym z takich ognisk? Jeżeli nie, tego postępujmy nadal, jak dotąd, w sprawach twórczości naukowej — tylko konsekwentniej. Nie tylko nie dawajmy uczonym-twórcom poparcia, ale nie tolerujmy twórczości — niszczmy ją w zarodku"[2].

Mimo znacznego, chociaż jak się miało rychło okazać, dalece niewystarczającego wysiłku modernizacyjnego, Znaniecki krytycznie oceniał zaangażowanie ówczesnych władz polskich na rzecz wspierania rodzimej myśli naukowej i technicznej. Tezą niniejszego rozdziału jest twierdzenie tyleż banalne, co gorzko prawdziwe, a mianowicie, że od tamtego czasu pod względem wspierania rodzimej, autonomicznej i samodzielnej twórczości naukowej niewiele się zmieniło zarówno w okresie realnego socjalizmu, jak i w epoce III Rzeczypospolitej. Stosunek polskich władz państwowych do świata nauki w czasie tzw. IV Rzeczypospolitej jest przedmiotem omówienia w następnym rozdziale.

Okręty flagowe do stoczni remontowej

„Jesteśmy jak żeglarze, którzy na pełnym morzu muszą przebudować swój statek, lecz nie mogą tego dokonać całkowicie na nowo, od postaw. Gdy zostanie usunięta stępka, należy ją natychmiast zastąpić nową, a w tym celu reszta statku musi posłużyć jako wsparcie. W ten sposób za pomocą starych belek i pływającego drewna da się przebudować cały statek, ale można to uczynić tylko stopniowo"[3].

---

[2] Florian Znaniecki, *Stan obecny technologii społecznej* (1939) w: tenże, *Społeczne role uczonych*, wybór, wstęp, przekład tekstów angielskich i redakcja naukowa Jerzy Szacki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1984, s. 259.

[3] Otto Neurath, *Antispengler*, cyt. za: Willard Van Orman Quine, *Word and Object*, The MIT Press, Cambridge, Massachusetts, 1989, s. 3.

Ta metafora Otto Neuratha, jednego z czołowych przedstawicieli filozoficznej szkoły logicznego pozytywizmu, została zamierzona przezeń jako opis teoretycznego rozwoju nauk. Zawiera ona jednak prawdę, z której lekcję czerpać powinny władze edukacyjne w projekcie przebudowy polskiego szkolnictwa wyższego, znanego pod hasłem „okrętów flagowych". Z tego „stoczniowego" punktu widzenia wszystkie polskie uczelnie należałoby wysłać do stoczni remontowej. Także w dosłownym rozumienia słowa „remont". Ta wtórna sprawa ma jednak głęboki związek ze stanem polskiej nauki i wyższej edukacji, jest bowiem świadectwem sposobu ich traktowania zarówno przez minione, jak i obecne władze edukacyjne.

Rejestr pustych obietnic

W okresie transformacji kraju, wśród grup i instytucji społecznych, które miały trudności w dostosowaniu się do nowych warunków ekonomicznych i politycznych, były także polskie uczelnie państwowe. Od początków transformacji do 2005 roku lawinowo zwiększała się liczba studentów na polskich uczelniach; ich liczba, wynosząca około 380 tysięcy w początkach lat 90-tych, wzrosła nawet do 1 600 000 w okresie szczytu wyżu demograficznego. Wynik ten, co należy mocno podkreślić, osiągnięto bez wielkich nakładów, czy wręcz „bezinwestycyjnie". W tym samym czasie bowiem liczba nauczycieli akademickich zwiększyła się o jedyne 8%, zaś materialna baza dydaktyczna nie uległa znaczącemu rozbudowaniu. Przez długi czas nie zmieniała się również sytuacja prawna polskich uczelni. Zarazem w okresie tym z roku na rok zmniejszały się nakłady państwa na badania naukowe. Prowadziło to do obniżenia prestiżu uczonego i coraz gorszych nastrojów wśród badaczy, co stanowiło silny negatywny bodziec dla ich kreatywności. Uczeni polscy robili, co mogli, aby to zmienić, lecz mimo to narastała frustracja środowisk nauczycielskich i badawczych, których wysiłek nie był doceniany i które z dużą dozą bezradności obserwowały własną degradację.

Poniższy rejestr pustych obietnic składanych wobec polskich środowisk akademickich przez władze polityczne kraju, ograniczam zasadniczo do relacji z osobistych spotkań i rozmów z najwyższymi przedstawicielami Sojuszu Lewicy Demokratycznej,

w których miałem sposobność uczestniczyć. Czynię tak dlatego z kilku powodów.

Po pierwsze, było i pozostaje rzeczą oczywistą, że od skrajnie prawicowych ugrupowań, szczycących się swoją tradycjonalistyczną religijnością i antyintelektualnym konserwatyzmem, nie można było oczekiwać zrozumienia dla roli twórczej myśli naukowej jako bodźca modernizacyjnego kraju, albowiem na modernizacji kraju im nie zależało. Przykładem tej postawy jest chociażby słynne stwierdzenie jednego z przedstawicieli tego nurtu politycznego, który z trybuny sejmowej ośmielił się powiedzieć, że nie jest rzeczą istotną, czy Polska będzie biedna czy bogata, lecz czy będzie katolicka, czy też przypadek rządu premiera Jerzego Buzka, który wśród wielu chybionych reform, kosztownych błędów ekonomicznych i innych zaniedbań, dopuścił się także nieopłacenia składki umożliwiającej polskim studentom uczestnictwo w programach wymiany akademickiej w okresie przedakcesyjnym, argumentując to brakiem funduszy.

Po drugie, poniżej przytoczone puste deklaracje dobitnie ilustrują postawę ugrupowania, które chciało uchodzić za najbardziej modernizacyjną formację funkcjonującą na polskiej scenie politycznej. Ugrupowanie to bowiem, jako pierwsze po 1989 roku, w okresie sprawowania władzy w latach 1993–1997 podjęło działania w celu zmiany dramatycznej sytuacji całego sektora publicznego, w tym edukacyjnego. Należy bowiem pamiętać, że w pierwszych latach transformacji w sektorze tym przeciętne płace spadły do zaledwie 75% średniej krajowej; stan ten wywołał protesty społeczne, który doprowadził do upadku liberalnego rządu kierowanego przez Hannę Suchocką i otworzył Sojuszowi Lewicy Demokratycznej drogę do władzy w 1993 roku. Tym samym partia ta dawała nadzieję, że tego rodzaju prorozwojowa i prospołeczna polityka będzie kontynuowana w przyszłości. Co więcej, jej przywódcy wiele czynili, aby tę nadzieję podtrzymać, albowiem program Sojuszu Lewicy Demokratycznej, sformułowany na okoliczność kampanii wyborczej w 2001 roku, głosił, że z budżetu państwa należy finansować przede wszystkim wydatki na infrastrukturę, ochronę środowiska, oraz na naukę i edukację. Były to trzy podstawowe dziedziny, w których partia ta deklaratywnie dostrzegała bodziec rozwojowy kraju. Twierdzono, słusznie, że jeżeli tego się nie dokona, to trwały wzrost gospodarczy będzie niemożliwy. W ten

sposób partia ta starała się zbudować własny wizerunek jako ugrupowania, które stawia sobie za cel wiodący modernizację zapóźnionego kraju oraz odrabianie cywilizacyjnych zaniedbań. Wizerunek ten okazał się jednak nieszczerą, medialną fasadą, skrywającą głęboki antyintelektualizm tego ugrupowania. Oto kilka przykładów.

W odpowiedzi na pytanie, czy i jak można zaradzić trudnej sytuacji środowiska akademickiego w Polsce, prezydent Aleksander Kwaśniewski odparł: „Dobrze zdaję sobie sprawę z niekorzystnej sytuacji, w jakiej są uczelnie, doceniam też fakt imponującego wzrostu liczby studentów w ostatnim dziesięcioleciu. Sądzę, że nakłady państwa na edukację powinny zostać wydatnie zwiększone. Niezależnie od tego trzeba uruchomić mechanizmy stymulujące przedsiębiorstwa i poszczególnych obywateli — zwłaszcza ze sfer lepiej sytuowanych materialnie — do większej ofiarności na cele edukacyjne. Na przykład umożliwiając znaczne odpisy od podatków na cele edukacyjne. Z drugiej strony mam jednak wrażenie, że w uczelniach przy rozważeniu kosztów kształcenia dominuje myślenie tradycyjne tj. tendencja do gromadzenia znacznej liczby studentów w salach dla wysłuchania wykładów, a zbyt mało myśli się o szansach, jakie stworzył rozwój nowoczesnych technik informatycznych i niekonwencjonalny styl kształcenia, którego przykładem są inicjatywy takie jak brytyjski Open University. Te nowe formy już są tańsze, a w przyszłości będą stawały się coraz bardziej dostępne”[4].

Przed transformacją blisko 20% młodzieży na wyższych uczelniach pochodziło ze środowisk wiejskich. W okresie bezpośrednio poprzedzającym szczytowy rozwój edukacji wyższej, tj. w latach 2000–2005 roku było jej zaledwie ok. 2%. Można było odnieść wrażenie, że polityka odnowionego państwa polskiego wobec szkolnictwa wyższego mnożyła bariery przed pragnącymi się uczyć młodymi ludźmi, zamiast im to ułatwiać i zarazem zniechęcała ich nauczycieli do wysiłku, nie wynagradzając ich właściwie. Na pytanie, czy nie stwarza to zagrożenia, że Polska wejdzie do Europy jako naród nieuków, zdolnych wyko-

[4] Adam Chmielewski, *Miasto mostów — miasto pomost*, rozmowa z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej, Aleksandrem Kwaśniewskim, w: „Uniwersytet Wrocławski”, Pismo społeczności akademickiej Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław, czerwiec 2000, s. 4–5.

nywać co najwyżej podrzędne prace, czy nie grozi to tym, że w ten sposób Polacy zatracą własną tożsamość, prezydent Kwaśniewski odpowiedział: „Każdy kraj, który ma politykę edukacyjną na miarę naszych czasów, stara się wyrównywać szanse oświatowe i dba o to, by dzieci należące do grup społecznych znajdujących się w gorszej sytuacji otrzymywały wsparcie i pomoc ułatwiającą uzyskanie możliwie wysokiego wykształcenia. Nie sądzę by 'polityka odnowionego państwa polskiego' z lat ostatnich 'mnożyła bariery przed pragnącymi się uczyć młodymi ludźmi', natomiast uważam, że mimo kilku deklaracji nie uczyniono niemal nic, by już istniejące bariery likwidować. Zauważam jednak, że w większości nasi politycy nie interesują się tym, czym powinna się charakteryzować dojrzała, długofalowa polityka edukacyjna kraju takiego jak nasz. Decydenci różnych szczebli i osoby kształtujące opinię publiczną jakby nie zauważyli, że na Zachodzie ranga edukacji w ostatnim dziesięcioleciu znacznie wzrosła i żaden polityk nie może tam pozwolić sobie na lekceważenie tych zagadnień"[5].

Podobne opinie formułował ówczesny marszałek Sejmu Rzeczpospolitej Polskiej, ekonomista Marek Borowski. Priorytety reprezentowanej przez niego partii brzmiały w jego opinii następująco: „[N]asz program sprowadza się najogólniej do bardziej aktywnej roli państwa, która musi wspierać rodzimą przedsiębiorczość, i do bardziej elastycznej polityki podatkowej. Budżet musi inwestować w infrastrukturę, w drogi, w ochronę środowiska, musi inwestować w naukę i edukację. Są to trzy podstawowe dziedziny, w które musimy inwestować. Jeżeli tego nie zrobimy, to na dłuższą metę nie będzie żadnego trwałego wzrostu gospodarczego"[6]. Z wypowiedzi Marka Borowskiego wynikało, że edukacja ma również strategiczne znaczenie dla całej polskiej gospodarki. Ówczesna sytuacja dawała się jednak określić jako dramatyczna. Państwo łożyło tak niewielkie pieniądze na kształcenie wyższe i rozwój nauki, że uczelnie po prostu nie dawały sobie rady. Na pytanie o to, czy konstytucyjna zasada nieodpłatności kształcenia na poziomie wyższym da się utrzymać, marszałek Borowski jednoznacznie odpowiedział: „Da się

[5] *Ibid.*, s. 5.

[6] Adam Chmielewski, *Prewencja lepsza od terapii*, rozmowa z Marszałkiem Sejmu RP, Markiem Borowskim, w: „Uniwersytet Wrocławski", Wrocław, luty 2001, s. 9.

utrzymać. Oczywiście trzeba sobie zdawać sprawę, że w Polsce nie da się dzisiaj wprowadzić bezpłatnej edukacji powszechnej — mówię oczywiście o szkołach publicznych, ponieważ szkoły prywatne to inne zagadnienie. Mamy obecnie studia wieczorowe i zaoczne, i gdybyśmy powiedzieli, że nie wolno za te usługi edukacyjne brać pieniędzy, to by się one skończyły, a więc tego nie można zrobić"[7].

Nie dało się tego zrobić, mimo że pobieranie opłat za „niektóre usługi edukacyjne" oznaczało gwałt na zasadzie egalitaryzmu, która powinna była być bliska partii pragnącej uchodzić za lewicową. Nie dawało się także tego zrobić, ponieważ w wielu państwowych szkołach wyższych ponad jedna trzecia ich budżetu pochodziła z wpływów z czesnego.

Potem było już tylko gorzej. Okazało się, że priorytet edukacyjny został zastąpiony militarystycznym: ówczesny rząd SLD postanowił o zakupie 48 kosztownych samolotów F-16. Zwróciłem się wówczas do ówczesnej minister edukacji narodowej, Krystyny Łybackiej z zapytaniem, czy zechce przekonać swoich partyjnych kolegów, by zrezygnowali z zakupu dwóch lub choćby jednego z tych samolotów, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze przeznaczyli na inwestycje w naukę. W odpowiedzi otrzymałem jedynie uśmiech wyrażający politowanie dla mojej naiwności i zażenowanie z powodu niedotrzymania słowa przez reprezentowaną przez nią partię.

Przy innej okazji, na pytanie o stanowisko wobec Strategii Lizbońskiej, narzucającej wymóg finansowania badań naukowych na poziomie 3%, przy zestawieniu tej projekcji z wydatkami polskiego budżetu na poziomie 0,3%, prezydent Aleksander Kwaśniewski odpowiedział: „Strategia Lizbońska... to jest słuszny postulat. Europa nie będzie się liczyła, jeżeli nie postawi na naukę, na technikę, na badania naukowe. Te 3% to wygórowana kwota. Dla tych państw, które od dawna postawiły na rozwój to nie jest nic specjalnego, one się już zbliżają. Dla Polski na pewno jest to problem programu wieloletniego. Jedno mogę obiecać, w budżecie na rok 2005 te środki będą co najmniej utrzymane, a nawet nieco zwiększone. (...) to, co działo się w ostatnich latach było niewątpliwie nie do wytłumaczenia, procentowy udział środków [na badania naukowe] — choć produkt oczywiście rósł — zmniejszał się. Jestem zdecydowanym zwo-

[7] *Ibid.*, s. 10.

lennikiem tezy — mam nadzieję, że parlament przyjmie takie decyzje — żeby wyraźnie postawić na naukę. Premier również podjął to w swoim wystąpieniu 15 października [2004 roku], że jest to jeden z tych ewidentnych projektów rządowych, które on chce zacząć, a które powinny być realizowane przez kolejne rządy"[8]. Obietnica ta, jak inne, pozostała gołosłowna.

Należałoby do tego dodać jeszcze jeden przejaw faktycznego antyintelektualizmu tej fasadowo modernizacyjnej partii. Od początku transformacji kraju Uniwersytet Wrocławski zawsze miał swoją reprezentację w parlamencie. Wśród parlamentarzystów „uniwersyteckich" byli m.in. profesorowie Franciszek Połomski (senator Unii Demokratycznej), posłowie Marek Mazurkiewicz i Kazimierz Działocha (obaj z SLD), poseł Ludwik Turko (UW). W wyborach, w których Sojusz Lewicy demokratycznej odniósł swe największe zwycięstwo, w ławach parlamentarnych również znalazł się poseł „uniwersytecki". Został nim Antoni Stryjewski, pracownik Muzeum Geologicznego na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego, który nie był profesorem, lecz magistrem, i nie reprezentował SLD, lecz Ligę Polskich Rodzin. Fakt, że Uniwersytet Wrocławski, postrzegany przez pewne środowiska jako uczelnia o skłonnościach lewicowych, w wyborach, w których Sojusz Lewicy Demokratycznej uzyskał najwyższe poparcie, był reprezentowany w Sejmie przez jedną tylko osobę, i to na dodatek członka Ligi Polskich Rodzin, stanowił wielce znaczący paradoks. Anonimowy profesor tej uczelni komentował, że „podstawowy mechanizm demokratyczny wyłaniania reprezentacji narodu do najwyższego organu ustawodawczego, jakim jest partia polityczna, znajduje się we władaniu egoistycznych miernot. Jeżeli SLD nie wyciągnie wniosków z tej sytuacji, to dzisiejsza jego wygrana przeobrazi się już niebawem w zapowiedź jego klęski"[9].

Wyuczony ascetyzm

Okazało się jednak, że postawa zademonstrowana przez po-

[8] Materiały z IV konferencji pt. *Silna Polska w silnej Europie*, odbywającej się w ramach Międzynarodowego Klubu Polityki, Uniwersytet Wrocławski, 13 października 2004 roku, Biuro Integracji Europejskiej Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa 2004, s. 35–36.

[9] Andrzej Piwowski, *Profesorowie w odstawce*, „Przegląd", 42 (95), 8 października 2001, s. 54.

lityczną formację liberalną wobec tej kwestii różniła się od stanowisk rywali w bardzo niewielkim stopniu, mimo tego, że cieszyła się ona największym poparciem środowiska akademickiego. Dobitnie świadczy o tym odpowiedź na pytanie, jakiej udzielił minister nauki w rządzie liberalnej Platformy Obywatelskiej. Pytanie dotyczyło tego, czy przez zgiełk dotyczący Traktatu Lizbońskiego ma szanse przedrzeć się do świadomości Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przykurzony już dezyderat Strategii Lizbońskiej, zgodnie z którym rządy Unii Europejskiej winny wydawać minimum 3% PKB na badania naukowe. Kilkudziesięciu uczonych Uniwersytetu Wrocławskiego usłyszało bowiem od profesora-ministra Jerzego Duszyńskiego jednoznaczne „nie". Minister powiedział, że „gdybyśmy nagle otrzymali taką górę pieniędzy, to byśmy nie wiedzieli, na co je wydać i się pod nią udusili".

Odpowiedź ministra Duszyńskiego chyba już ostatecznie rozwiewa wszelką nadzieję na jakąkolwiek poprawę sytuacji szkolnictwa wyższego w Polsce. Mimo to w pełni zgadzam się z ministrem: w ciągu minionych kilkudziesięciu lat uczeni polscy w znacznej większości przyjęli postawę, którą nazwać można syndromem wyuczonego ascetyzmu. Syndrom ten w naszym wypadku polega na tym, że polskich uczonych doprowadzono do takiego stanu, iż w sytuacji, gdy otrzymują jakieś dodatkowe pieniądze, czy to w postaci nieoczekiwanego dodatku do pensji, czy nieoczekiwanie zwiększonego funduszu na badania naukowe, faktycznie nie wiedzą, co z nimi zrobić. Wielokrotnie byłem świadkiem, gdy takie dodatkowe pieniądze, nie wydatkowane w jednym roku, przepadały całkowicie lub częściowo przy przejściu na rok następny.

Jako ofiary wyuczonego ascetyzmu nie śmiemy więc nawet oczekiwać natychmiastowego dziesięciokrotnego zwiększenia nakładów na naukę; na początek wystarczyłoby zwiększenie tych nakładów choćby do wysokości 1% PKB. Odpowiedź profesora-ministra Duszyńskiego była jednak bardzo niepokojąca dlatego, że nawet słowem nie zasugerował, iż jego Ministerstwo kontempluje podjęcie jakichkolwiek kroków w celu zwiększenia nakładów na badania naukowe w budżecie na rok nadchodzący i kolejne lata, choćby w minimalnym stopniu, wręcz przeciwnie. Wydaje się, że na wyuczony ascetyzm cierpi także samo Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Przypuszczenie to znajduje dodatkowe uzasadnienie w naciskach na rektorów publicznych uczelni wyższych, by wdrażali różne cząstkowe reformy w sposób, który nie będzie generował dodatkowych kosztów, tj. bez zwiększania dotacji ministerialnych dla uczelni. Celem tych reform jest to, abyśmy my, profesorowie, zamiast pracować naukowo, zostali zapędzeni do wyścigu szczurów o pieniądze „w trybie grantowym", choć wysiłek i czas, jakich wymaga sukces w tym wyścigu, nie pozostawia czasu na autentyczną pracę naukową.

Patologie

Nic dziwnego, że sytuacja wymuszonego ascetyzmu, kultywowana przez wszystkie władze potransformacyjnej Polski przez dwa dziesięciolecia, stała się źródłem licznych patologii w środowisku akademickim. Niektóre z nich wskazał Jacenty Wertyczko, autor prowokacyjnego tekstu *Zuzanna i starcy*[10]. Posłużył się on inwokacją wziętą z biblijnego tekstu o nagiej Zuzannie w kąpieli (symbolizującej Naukę Polską), próbie wymuszenia na niej seksu przez lubieżnych starców (profesorów, którzy nie chcą odejść na emeryturę i ustąpić miejsca młodym) oraz o tajemniczym młodym Danielu, który ze strachu o własną karierę boi się wystąpić w imię ocalenia polskiej nauki przed starczą zachłannością.

Ukrywający się pod pseudonimem autor pisał: „Pewnego biblijnego poranka piękna Zuzanna zażywała kąpieli. W swej nagości została podejrzana przez dwóch starych i lubieżnych sędziów, którzy chcąc wymusić na niej stosunek seksualny, zaszantażowali ją oskarżeniem o cudzołóstwo ze zmyślonym młodzieńcem. Odmówiwszy, Zuzanna, osoba cnotliwa, została skazana na śmierć. Wszelako młody Daniel kazał katom czekać i wznowił proces, w którym udowodnił winę starcom, za co zostali słusznie ukarani śmiercią.

Apokryf o *Zuzannie i lubieżnych* starcach pozwala wskazać kilka chorób niszczących instytucjonalną naukę i humanistykę w Polsce. Choroba pierwsza to recenzje grzecznościowe. Czyli: ja dam tobie, a ty mnie. Powagę tego schorzenia zrozumiemy, wskazując na jego związek z problemem piractwa naukowego,

[10] Jacenty Wertyczko, *Zuzanna i starcy*, „Przegląd", 20, 5 maja 2003.

który poruszył niedawno wielu autorów, a wstrząsnął całym środowiskiem polskiej humanistyki.

Szczególnie drastycznym rodzimym przypadkiem plagiatorstwa jest sprawa pewnego filozofa, któremu obecnie grozi odebranie tytułu naukowego, wręczonego mu swego czasu przez oszukanego Prezydenta RP. Postępowanie tej osoby nie ma naturalnie usprawiedliwienia, jednakże trzeba się zastanowić, jak mogło dojść do tego, że uczony nagminnie plagiatujący cudze teksty awansował tak szybko, tak daleko i tak wysoko.

Wiadomo, że w nauce awans możliwy jest dzięki opinii recenzentów, którzy wypowiedzieli się — a zazwyczaj wypowiadają się bardzo pozytywnie — na temat osiągnięć kandydata. Stąd naturalny wydaje się postulat, by tytuł profesora odebrać nie tylko złoczyńcy, ale także jego wspólnikom w przestępstwie, czyli przesadnie uprzejmym lub niekompetentnym recenzentom. Ich własnoręcznie podpisane recenzje można bowiem traktować jako poświadczenie nieprawdy, które wprowadziło w błąd władze łódzkiego uniwersytetu, Polskiej Akademii Nauk, ale także najwyższy urząd w państwie, urząd Prezydenta, wystawiając go przy okazji na śmieszność.

Centralna Komisja ds. Tytułu Naukowego powinna zainteresować się zwłaszcza tymi recenzentami, którzy opiniowali dzieła tego złoczyńcy kilkakrotnie (bo tak dzieje się zazwyczaj), i postawić im zarzut uporczywego wprowadzania w błąd instytucji publicznych w celu osiągnięcia korzyści.

W celu usprawiedliwienia takich recenzentów można powiedzieć, że nie mogli znać wszystkich prac publikowanych w danej dziedzinie. Przecież tyle się teraz pisze... To prawda; tym bardziej, że są nimi prawdopodobnie profesorowie mający około 70 lat, są emerytami pobierającymi pełne uposażenie emerytalne, a ponadto pracującymi na kilku etatach profesorskich i kierujący kilkoma instytutami filozofii na różnych, ale za to publicznych uniwersytetach. Wymóg znajomości publikacji w swojej dziedzinie wydaje się faktycznie trudny do spełnienia dla kogoś tak zapracowanego...

To prowadzi nas do kolejnego schorzenia polskiej nauki, którym powinna się zająć gerontologia, albowiem ma związek z geriatrią. W sytuacji nadprodukcji absolwentów studiów dziennych, zaocznych i doktoranckich, często najzdolniejsi ludzie muszą się poniewierać na zasiłkach, ponieważ nie mają szansy na

etaty, zajęte od dziesięcioleci przez licznych starców-emerytów. Trzeba przy tym pamiętać, że każdy z nich zajmuje nie jeden, lecz co najmniej kilka etatów. Tylko w polskiej nauce możliwe jest pobieranie emerytury i jednoczesne wieloletnie zasiadanie — bo przecież nie praca! — na kilku etatach. Pamiętajmy również o tym, że taki 'aktywny' zawodowo profesor-emeryt nie zadowala się najniższą pensją [wówczas ok. 2500 zł] i zazwyczaj otrzymuje stawkę maksymalną [w okresie tym wynosiło to ok. 4500 zł], plus tzw. „aneksy", czyli pieniądze wyżyłowane z czesnego studentów zaocznych, których wcześniej 'nie udało' się przyjąć na studia dzienne z powodu braku miejsc. W niektórych wypadkach daje to łącznie pensje grubo przekraczające... 40 tysięcy złotych, czyli więcej niż pensja prezesa NBP. Każdy taki *emeritus* więc nie tylko odbiera pracę i możliwość rozwoju naukowego co najmniej kilku młodym uczonym, ale także bezwzględnie wyzyskuje setki innych. Geriatria naukowa stanowi więc poważny problem ekonomiczny i społeczny, a także cywilizacyjny.

Geriatria wiąże się naturalnie z gerontokracją. Starcy nie tylko zostają 'w nauce' o wiele za długo, często do samej śmierci, ale także do końca swych dni zachowują w jednostkach badawczo-dydaktycznych stanowiska kierownicze, prowadząc w nich swoją sklerotyczną, archaiczną, gerontokratyczną politykę, zazdrośnie nie dopuszczając ludzi młodych do nabywania doświadczeń w zarządzaniu nauką. W rezultacie człowiek nauki w Polsce zasiada na stołku kierownika zakładu czy instytutu dopiero dobrze po czterdziestce i jeszcze mu wypominają, że taki młody, a tak mocno awansował... Ponadto ci 'aktywni' emeryci, jak w Księdze Daniela, są niekwestionowanymi sędziami samych siebie i do samej śmierci wybierają siebie nawzajem do centralnych gremiów zarządzających nauką: CK, KBN, PAN, PAU, itp., itd., po to, aby zagarniać lwią część funduszy przyznawanych uczelniom i jednostkom pozaakademickim przez oba polskie ministerstwa 'naukowe' [ówczesne MENiS i KBN], hamując młode talenty i stawiając barierę na drodze unowocześnienia polskiej nauki.

Geriatria i gerontokracja są blisko spokrewnione z nepotyzmem i kumoterstwem. To prawidłowość historyczna: tak było zawsze i wszędzie. W nauce polskiej skumanie się tych zjawisk stało się możliwe dopiero od półwiecza, tj. od czasów

powojennego 'odnowienia' nauki polskiej. Pół wieku względnego spokoju i bezpieczeństwa, osiąganego zazwyczaj za cenę mimikry i intelektualnej potulności, pozwoliło na ukształtowanie się jej zrębu personalnego i związanej z nim tradycji, która broni swego istnienia i zabiega o własną kontynuację. W nauce polskiej, jak w polskim showbiznesie, szerzy się więc zjawisko zatrudniania na stanowiskach dzieci i wnuków profesorskich, bo przecież komu jak komu, ale 'swoim' trzeba pomóc, zwłaszcza teraz, w obliczu trudnego rynku pracy... Towarzyszy temu kumoterskie załatwianie miejsc na studiach dzieciom przyjaciół (którzy też są często profesorami), miejsc na studiach doktoranckich, etatów, stypendiów zagranicznych itd. Zjawiska te osiągają znamiona mafijności i powinny być odpowiednio traktowane przez prawo.

Gerontokracja skumana z kumoterstwem i nepotyzmem przeobraża się w dynastyczność i klanowość. Stają się one trwałym elementem nauki polskiej (i polskiego showbiznesu), ponieważ już niebawem, poza samymi wszechwładnymi dynastiami i klanami, które się nawzajem opiniują i popierają, nie będzie żadnych innych czynników selekcji gromad polskich uczonych.

Na to wszystko pozwala obecne prawo o szkolnictwie, którego nowelizacja odsuwa się w nieskończoność, oraz prawo kaduka. Nic albo niewiele robią również ministrowie, aby tę kompletnie chorą sytuację uzdrowić. Naukę polską do Europy wprowadzą więc trzęsący się starcy, u kresu władz fizycznych i umysłowych, którym na starość pozostał tylko jeden popęd — lubieżna zachłanność.

Nieprzyzwoitość tej sytuacji przypomina przytoczoną na wstępie anegdotę o Zuzannie i lubieżnych starcach. Nauce polskiej brakuje tylko młodego Daniela, który by swoją odwagą i rozumem ocalił piękną pannę Zuzannę (Naukę), jak to się udało bohaterowi z apokryfu. Brakuje go, ponieważ każdy mniej lub bardziej rozumny młody uczony doskonale wie, że gerontokracja jest wszędzie i jest wszechmocna, i bez wahania takiego naiwnego idealistę prędzej czy później (raczej prędzej niż później) wykończy, przepędzając go z nauki. „Za brak respektu dla tradycji i autorytetu...".

Nie solidaryzując się w pełni z radykalizmem i tonem wypowiedzi tego anonimowego profesora, należy jednak przyznać,

że w jego gorzkich, podyktowanych zapewne osobistą sytuacją słowach, kryje się sporo nie mniej gorzkiej prawdy.

Przed kilku laty na łamach „Polityki" toczył się spór o to, którzy z polskich uczonych uzyskali autentyczną rangę światową dzięki wynikom swych badań naukowych. Propozycja Jana Woleńskiego, aby listę polskich naukowych bohaterów narodowych ograniczyć do czterech (Mikołaj Kopernik, Maria Curie-Skłodowska, Stefan Banach i Alfred Tarski; Florian Znaniecki nie znalazł się na tej liście) wzbudziła głosy protestu, wielu bowiem sądziło, że nasz kraj zasługuje na liczebniejszą reprezentację. Wszelako niemal każde nazwisko, jakie chciano do tej listy dodać, budziło mniejsze lub większe wątpliwości, co z natury rzeczy rzucało cień znaku zapytania nad każdą, jakkolwiek wydłużoną listą polskich osiągnięć naukowych. Polska aleja zasłużonych dla nauki światowej jest niepokojąco krótka.

Co to oznacza? Bardzo przykrą prawdę, a mianowicie, że polskie tradycje naukowe nie są imponujące. A w istocie żałosne. Wyjaśnienia tej znikomej roli polskich umysłów w tworzeniu światowych dzieł naukowych można szukać w licznych przyczynach historycznych. Wśród nich warto pamiętać przede wszystkim o odpowiedzi, udzielonej na ten temat przez Irenę Krzywicką w dojmującym wspomnieniu o teściu, Ludwiku Krzywickim. „Talent naukowy Krzywickiego był bardzo wysokiej miary. Gdyby był uczonym w jakimś szczęśliwszym niż Polska kraju, imię jego z pewnością zyskałoby rozgłos światowy, a dorobek czysto naukowy byłby rewelacyjny. Tymczasem on z jednej strony oddał się na służbę ojczyźnie, z drugiej zaś musiał gonić za zarobkiem. Rozmienił w znacznej mierze swój talent na drobne, drukując mnóstwo artykułów, wykładając nie tylko na wyższych uczelniach, ale i w szkole średniej i na kompletach dla burżuazyjnych panienek".

Choć wielu polskich uczonych ma powody do autentycznej i słusznej dumy, to należy przyznać, że pod wieloma względami sytuacja polskiego uczonego nie uległa radykalnej zmianie ani w czasach PRL, ani w czasach wyśnionej i wywalczonej, niejednokrotnie przez samych naukowców zresztą, wolnej Rzeczypospolitej. System polskiej nauki, umocowany w archaicznych ustawach i równie archaicznym myśleniu politycznym, jest zorganizowanym marnotrawstwem talentów naukowych oraz

humanistycznych. Instytucjonalne rozmienianie na drobne talentów ma zaś swoją przyczynę w haniebnej nędzy polskiej nauki.

Nędzę ilustruje to, że państwo łoży z budżetu na naukę około 0.3 % PKB, co sytuuje nas w niepokojącym sąsiedztwie Uzbekistanu, Kazachstanu i chyba już poniżej Albanii, znanych potęg naukowych. Czesi wydają na naukę 2% PKB. Inna liczba jest równie porażająca: Finlandia, kraj o powierzchni zbliżonej do powierzchni Polski, ale za to znacznie bardziej mroźny, a na dodatek zamieszkały głównie przez karłowate sosny, karłowate brzozy, łosie, 5,2 mln Finów oraz przez św. Mikołaja, wydaje na każdego studenta rocznie równowartość ok. 9000 USD; Polska natomiast ok. 900 USD, tj. dziesięć razy mniej. Nie lepiej sprawa wygląda, gdy idzie o talenty absolwentów, którym udaje się studia skończyć (ci lądują na pustyni bezrobocia), jak i z talentami młodych uczonych, którym udała się sztuka pozostania w instytucjach naukowych.

Tygodnik „Polityka" określił tych ostatnich słusznym mianem „desperados" i niektórych wspiera w ich materialnej nędzy całkiem szczodrymi stypendiami. Ta godna pochwały inicjatywa jest chwalebna dla „Polityki", ale zarazem niekiedy wstydliwa dla wielu potencjalnych laureatów tych stypendiów; jest tak zapewne dlatego, że młodzi uczeni wstydzą się swojej nędzy, a i chyba własnej głupoty, że dali się nabrać na tę idealistyczną ścieżkę kariery życiowej.

W odpowiedzi na krytykę niskiego poziomu finansowania badań naukowych przez państwo, jego najwyżsi urzędnicy argumentują, że tak jak w innych krajach, ciężar współfinansowania nauki winien ponosić także polski przemysł. Argument ten jest szczególnie perfidny, ponieważ ci, którzy się nim posługują, doskonale wiedzą, iż naukę i uczonych, których w Polsce na adekwatnym poziomie państwo nie wspiera, nie będzie także wspierał rodzimy przemysł z tej prostej przyczyny, że on nie istnieje. Najnowocześniejsze gałęzie przemysłu funkcjonującego na obszarze Polski są niemal w całości oparte o technologie wymyślone gdzie indziej. Ani w epoce przedtransformacyjnej, ani po przełomie politycznym nie pojawiły się w naszym kraju żadne wynalazki pozwalające odnieść sukces gospodarczy na miarę nowoczesnej cywilizacji i technologii, takie jak np. telefon komórkowy, na którym fortunę zbija fińska Nokia, a jeżeli się pojawiły, zostały skutecznie zabite przez instytucje, które słu-

żyć mają ich budowaniu i ich ochronie, w tym same instytucje naukowe. Jak do tej pory, jedynym autentycznie polskim wynalazkiem cywilizacyjnym o tym charakterze pozostaje lampa naftowa Ignacego Łukasiewicza.

Z czym więc nauka polska wejdzie do Europy? Maria Janion stwierdziła niedawno, że do Europy, tak, winniśmy wejść, ale ze wszystkimi naszymi umarłymi. Powinniśmy się jednak zastanowić, zanim wejdziemy do Europy w towarzystwie gromady duchów naszych zmarłych, czy nie byłoby znacznie lepiej dla nas wszystkich, gdybyśmy „z żywymi naprzód szli, po życie sięgali nowe, a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroili głowę". Myśląc o przyszłości żywych, nie zaś o przeszłości martwych, skuteczniej wygospodarujemy w „nowej Europie" nie tylko godne miejsce dla nas samych, ale i respekt dla naszych przodków, którym zawdzięczamy nasze istnienie i nasze tradycje. Samymi umarłymi ani starej, ani nowej Europie nie uda się nam zaimponować, skoro, jeżeli wierzyć Janowi Woleńskiemu, tak niewielkie ich grono budzi jednoznaczny szacunek.

Obok wspomnianego bagażu nasza nauka wejdzie do Europy wraz z plagami, które ją prześladują. Na ich czele znajduje się wtórność polskiego piśmiennictwa naukowego, zwłaszcza w humanistyce. Wtórność polega na tym, że ze zrozumiałych, choć trudno wybaczalnych przyczyn historyczno-psychologicznych, nie tylko nie ufamy we własne zdolności stworzenia czy powiedzenia czegokolwiek interesującego w naszym zupełnie egzotycznym języku. Jest tak zapewne po części dlatego, że — wbrew Kantowi, który wzywał: *sapere aude!* — nie mamy śmiałości myśleć. Jest jednak także jeszcze inna przyczyna: wskutek powszechnego wśród Polaków przekonania, utrwalonego w epoce PRL, iż to, co „zachodnie", zawsze jest lepsze od „krajowego", jesteśmy w pozytywny sposób zniechęcani do oryginalności. Nic dziwnego więc, że pod takim społecznym naciskiem oduczani oryginalności, nie potrafimy, nie jesteśmy w stanie lub nie chcemy, jako intelektualiści, ekonomiści, artyści, filozofowie, powiedzieć czegoś własnego i oryginalnego, albowiem nawet jeżeli potrafimy stworzyć coś oryginalnego, to oryginalność ta zostanie chętniej uznana i zaakceptowana w kraju, gdy takie uznanie uzyska ona uprzednio w obcej, zagranicznej opinii. Dla humanisty tworzącego w języku polskim jest to pułapka bez wyjścia. Dlatego właśnie chętnie chowamy się za plecami uznanych na

świecie autorytetów i czekamy, aż ktoś powie coś, z czym moglibyśmy się czym prędzej zgodzić. Nie wierzymy, iż inne nacje będą chciały nas czytać i tłumaczyć na swoje języki. Ten fundamentalny brak wiary we własne siły, połączony z wzajemnym brakiem szacunku dla pracy kolegów, jest paraliżujący i on właśnie skazuje nas na intelektualną drugorzędność.

Postawa taka jest silnie wzmacniana za pomocą następującego zjawiska: kiedy wydawnictwo zwraca się do humanisty z prośbą, aby zechciał przełożyć jakąś książkę z języka obcego, oferuje mu pewne honorarium, choć jest ono niewspółmierne wobec rozmiaru zadania, benedyktyńskiej cierpliwości i staranności, jakiej wymaga taka praca. Kiedy zaś ten sam humanista zwraca się do wydawnictwa z prośbą o wydanie napisanej przezeń książki, to pierwsze pytanie, jakie zazwyczaj słyszy, dotyczy tego, czy wraz z manuskryptem swojego dzieła dostarczy także pieniądze na jego wydanie, przy czym o honorarium dla autora nie ma zazwyczaj mowy. Taka sytuacja trwa od dziesięcioleci, wskutek czego, co zrozumiałe, choć przykre, chętniej poświęcamy się upowszechnianiu i interpretowaniu cudzych idei, aniżeli tworzeniu własnych.

Wtórność przeplata się z kombatanctwem. Jedyne dzieła ocierające się o oryginalność to te nawracające do przeszłości i w tym sensie „kombatanckie". Są one niekiedy wielce znaczące, jednakże mają one swoje znaczenie i zasięg tylko lokalny, czyli obchodzą tylko samych Polaków, lecz oczywiście tylko bardzo nielicznych, ponieważ większość nic nie czyta, ale i to tylko na chwilę, ponieważ zaraz pojawia się nowy pomnik, któremu trzeba oddać cześć, odwracając się plecami do poprzedniego. Jednakże nawet w dziedzinie kombatanctwa trzeba zauważyć, że nasze rodzime dzieła historyczne nie mogą się równać np. z dziełem François Guizota o cywilizacji europejskiej, Leopolda Rankego o dziejach papiestwa, Edwarda Gibbona o upadku Rzymu, czy Arnolda Toynbee'ego o cyklach historycznych i prawach rozwoju cywilizacji. W ostatnich latach najgłośniejsze na świecie z polskich dzieł historycznych okazały się dwie książki Tomasza Grossa *Sąsiedzi*[11], oraz *Strach*[12], które wszelako traktują

[11] Jan T. Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Pogranicze, Sejny 2000.

[12] Jan T. Gross, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008.

o rodzimych, haniebnych zbrodniach, nie stanowią więc specjalnych powodów do dumy narodowej, zaś sam Gross jest polskim Żydem pracującym na uczelni amerykańskiej.

Plaga druga to wtórność złośliwa, znana jako plagiatorstwo. Niektórym autorom nie chce się już nawet wyrażać cudzych myśli swoimi słowami (np. „jak napisał wielki amerykański, francuski, angielski, uczony...”), więc spisują je dosłownie z cudzych tekstów. Wertyczko wzmiankuje przypadek, który niedawno wstrząsnął humanistyką polską profesora pracującego w kilku instytutach w kraju, a zarazem gościnnego profesora uczelni niemieckich; opublikował on szereg prac w kilkudziesięciu procentach spisanych żywcem z tekstów żywych jeszcze niemieckich filozofów. Grozi mu teraz odebranie tytułu naukowego.

Każdy plagiat zasługuje na potępienie. Zasługuje na nie jednak tym bardziej, że każdy plagiat zawsze jest dziełem zbiorowym. I to nie w tym trywialnym sensie, że praca jednej osoby jest nieuczciwie zawłaszczana przez inną. W przypadku pracy naukowej chodzi również o to, że ktoś profesora-plagiatora recenzował, opiniował i popierał do awansów. Dlatego Wertyczko sądzi, że oskarżając go o popełnienie występku przeciwko uczciwości intelektualnej, nie należy zapominać o sumieniach tych, którzy przyczynili się do promocji nieuczciwej osoby do godności profesora, nadawanej przez najwyższy urząd w kraju. Urząd ten według niego został wprowadzony w błąd zarówno przez głównego winowajcę, jak i jego nieświadomych lub niekompetentnych promotorów. Jeżeli tak jest w istocie, to w obu wypadkach nie najlepiej świadczy o wszystkich zaangażowanych w ten przypadek osobach.

Ale wtórność polskiej nauki jest tylko odzwierciedleniem typowego dla społeczeństwa polskiego przyzwolenia na wtórność i nieuczciwość intelektualną, z którym każdy Polak styka się już we wczesnym dzieciństwie szkolnym. Jeżeli polski uczeń wie, że „wolno mu” ściągać na klasówkach, na egzaminach, na maturze, na studiach, to dlaczego miałoby być inaczej później, podczas pisania prac magisterskich, które stanowią nowy, intensywnie rozwijający się rynek handlu „gotowcami”, a także w trakcie ubiegania się o wyższe stopnie i godności naukowe?

Problem ten przybiera obecnie rozmiary absolutnie przytłaczające i wcześniej niesłychane. Choroba ta narasta w postę-

pie geometrycznym dzięki powszechnej dostępności komputerów, Internetu i... wyższej edukacji. Obecnie przeciętny wykładowca przedmiotów humanistycznych jest zmuszony zaliczać swój przedmiot już nie kilku, kilkunastu, lecz kilkudziesięciu, a nawet kilkuset studentom. Aby zachować przynajmniej pozory sprawiedliwości wystawianej przez siebie oceny, czyni to na podstawie albo schematycznych i odmóżdżajacych testów, albo prac pisemnych. Prace te zaś w ok. 75% okazują się zakupione na rynku takich surowców wtórnych lub są wzięte z Internetu. Skutek jest taki, że w jednej kilkusetosobowej grupie studentów profesor natyka się na partie identycznych prac, pod nie zawsze zmienionym tytułem. Zdarza się, że jedynym wkładem studenta do jego „własnej" pracy zaliczeniowej jest odręczne nagryzmolenie swojego nazwiska na ściągniętym z Internetu pliku, z którego nie pofatygował się nawet usunąć atrybutów typowych dla strony internetowej[13].

Sens tego procederu jest taki, że przyszłość i nadzieja narodu polskiego, polska młodzież, w zastraszającym tempie zapomina o sztuce pisania, ponieważ jej wiedzę sprawdza się zazwyczaj za pomocą testów wymagających zasadniczo biernej, nie czynnej znajomości ojczystej mowy. Jeżeli zaś już musi cokolwiek napisać, to zamiast komunikować swe twórcze idee oraz zapełniać Internet swymi opiniami, zaśmieca swe głowy zerżniętymi z Internetu cudzymi myślami, sztampą, stereotypem i bredniami. Tym sposobem zatraca bezpowrotnie jedyną szansę, jaką daje młodość, na kultywowanie swej kreatywności.

Skutki są już widoczne po poziomie polskiej literatury, polskiego filmu, a także — dlaczego i w tym wypadku miałoby być inaczej? — polskiej humanistyki. Skutki tego sięgają jednak o wiele dalej. Jak bowiem student przedsiębiorczy w sposób, który polega na chadzaniu po linii najmniejszego oporu, ma być potem kreatywnym i uczciwym politykiem, przedsiębiorcą tworzącym nowe miejsca pracy dla siebie i innych, czy twórcą dzieła, które stanie się światowym bestsellerem, lub pomysłu, który mógłby ożywić rozwój polskiej gospodarki?

Polskiego przemysłu nie ma nie tylko dlatego, że dawny został zniszczony, ponieważ był przestarzały i nieadekwatny. Nie

[13] Poleciwszy przed egzaminem studentom zerknięcie do jednej z moich książek, wśród prac zaliczeniowych otrzymałem jedną, która w całości okazała się odręcznie przepisanym rozdziałem z tej książki.

ma go również dlatego, że przez ostatnie kilkanaście lat nikt nie miał nawet czasu ani ochoty pomyśleć o stworzeniu nowego. Takiego, który opierałby się w drobnej choćby części na nowej, rodzimej myśli technicznej. A przecież, jeżeli ufać Josephowi Schumpeterowi, ekonomiście bardziej wiarygodnemu niż inni, kapitalizm nie rozwija się wyłącznie dzięki masie kapitałowej pomnażanej za pomocą spekulacji na akcjach i obligacjach, lecz dzięki masie kapitałowej, która umie generować nowe idee i przekształcać je w postać nowych przedmiotów masowej konsumpcji. Kiedyś takimi nowalijkami, które przyniosły ich twórcom wielkie uznanie i/lub wielkie fortuny, były samochód, lodówka, pralka, pończochy nylonowe, *Alicja w krainie czarów* oraz *Władca pierścieni*. Teraz są nimi telefon komórkowy, komputer, majtki-stringi oraz *Harry Potter*, które wszystkie słusznie zrobiły światową karierę i wielką kasę. Lampa naftowa już do nich nie należy. Nic dziwnego, że niebieski laser, sukces polskich uczonych, stał się przedmiotem masowej produkcji i sprzedaży raczej dzięki Japończykom niż Polakom. Aby to bowiem zrobić, potrzebna jest twórcza myśl, respekt dla niej, cierpliwość, czas, a także, wbrew stanowisku polskich ministrów nauki, cztery rzeczy: pieniądze, dużo pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy oraz rozumna kontrola ich wydatkowania.

Kolejna rodzima plaga naukowa to wieloetatowość, widoczna chociażby we wspomnianym wyżej przypadku plagiatu. Jak badacz zatrudniony na kilku etatach ma znaleźć czas na twórcze, czy choćby odtwórcze myślenie? W pogoni za groszem niektórzy profesorowie zatrudniają siebie nawzajem na wielu etatach w wielu instytucjach, co łącznie daje całkiem niezłe kwoty. W takich warunkach jednak nie ma możliwości prowadzenia przyzwoitych zajęć dydaktycznych, jakichkolwiek badań naukowych, nie mówiąc o badaniach oryginalnych czy przełomowych. Temu usiłowała zapobiec — niezbyt udolnie zresztą — uchwała Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, inspirowana przez byłego rektora tej uczelni, Franciszka Ziejkę.

Ale z tych powodów właśnie to filozof amerykański Richard Rorty czy niemiecki Jürgen Habermas byli i są nadal — mimo mocno zaawansowanego wieku — wielkimi uczonymi, na których książki cały świat czeka z niecierpliwością i zaciekawieniem. Natomiast polscy sędziwi uczeni w większości — nie wszyscy! — cierpią na syndrom Krzywickiego albo żyją z odci-

nania kuponów, jakie daje im pożądany na rynku status profesora.

W okresie boomu edukacyjnego na wyższych uczelniach polskich na elitarnym kierunku dziennikarstwa jednego z uniwersytetów o jedno miejsce zabiegało prawie dwudziestu kandydatów. Okazało się jednak, że żaden z wyłonionych w tak morderczym konkursie studentów nie przyszedł na studia z biegłą znajomością języka obcego, czy choćby angielskiego. Z wyjątkiem jednej Nigeryjki, która się wśród nich zaplątała. Polska młodzież wie, kim jest Potter, ale nie wie, kto to Popper, zna Wiśniewskiego, ale nie Wiśniowieckiego, Ciechowskiego, lecz nie Cieszkowskiego, itd. Polskie szkoły i uczelnie, nie z własnej winy, lecz z niezaprzeczalnej winy opieszałego i niewrażliwego na problemy nauki ustawodawcy, nie są przygotowane do tego, by uczynić z nich przyszłych noblistów, Billów Gatesów, ani nawet Kulczyków.

Wbrew przekonaniu więc, że będzie pięknie i mądrze, zrobiło się brudno i durno. Wolnościowa transformacja w szybkim tempie doprowadziła w praktyce polską naukę na krawędź edukacyjnego i naukowego spustoszenia. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że kolejny krok naprzód już dawno wykonaliśmy, nawet tego nie zauważając. Zamiast więc wejść do Europy tanecznym krokiem i stanąć w dobrej kondycji do naukowego wyścigu — pierś w pierś — z koleżanką Susanne, polska Zuzia spędzi co najmniej pokolenie, zanim wygrzebie się z dna tej przepaści. A może dłużej.

Degeneracyjny budżet uczelni

Jakkolwiek w różnych uczelniach sprawy budżetowe kształtują się w sposób dość odmienny, to ogólny obraz jest mniej więcej taki, że dotacja otrzymywana przez uczelnie publiczne z Ministerstwa, która teoretycznie ma pokrywać całość kosztów funkcjonowania uczelni, tj. kosztów płac, remontów bazy dydaktycznej oraz zakupu mediów i usług zewnętrznych, pokrywa zaledwie połowę tych kosztów (a i to, wskutek przyjętej dawno temu reguły, owo „pokrycie" faktycznie wynosi ok. 95% *tej połowy*). Od kilku lat większość uczelni przeznacza całość otrzymywanej dotacji *wyłącznie* na płace kadry naukowej i administracyjnej oraz technicznej. Wszystkie pozostałe koszta są pokrywane z drugiej połowy budżetu, którą uczelnia zara-

bia własnymi — tj. naszymi — siłami, dzięki temu, iż prowadzi studia zaoczne. Ekstraordynaryjne zakupy sprzętu oraz inwestycje są pokrywane z funduszy, o które każdorazowo władze uczelni muszą ubiegać się w długotrwałym procesie bezpośrednio w Ministerstwie; sukces w tych staraniach często zależy od wsparcia lokalnych polityków reprezentujących dany region w Parlamencie, pod warunkiem, że mają dostatecznie duże przełożenie na właściwe osoby, przy czym tymi właściwymi osobami wcale nie są ministrowie właściwego ministerstwa.

Sytuacja ta ma nie tylko ten skutek, że każdego miesiąca kadra naukowa i administracyjno-techniczna polskich uczelni jest upokarzana wysokością comiesięcznych pensji. To dlatego większość profesorów i adiunktów permanentnie tkwi w nastroju Adasia Miauczyńskiego, który doprawdy nie służy kreatywności, także naukowej. Jej skutkiem jest także i to, że stopniowej degeneracji ulega materialna baza dydaktyczna większości uczelni. Sytuację tę pogarsza dodatkowo fakt, iż obecne obyczaje finansowe, panujące w szkolnictwie wyższym, aktywnie zachęcają rektorów uczelni publicznych do inwestowania w nowe budynki, a zarazem aktywnie ich zniechęcają do remontowania istniejących: jeżeli uczelnia chce wyremontować jakiś budynek, musi na to faktycznie sama zarobić, albowiem dotacja ministerialna, jako się rzekło, wystarcza tylko na płace...

Sytuacja polskich uczelni jest dramatyczna, zaś z perspektywy oczekiwań i postulatów modernizacyjnych kraju jest katastrofalna. Do tej katastrofy przyłożyły ręce wszystkie rządy poczynając od 1989 roku; wzmiankowana wyżej wypowiedź obecnego wiceministra-uczonego nie wskazuje na to, by obecny rząd miał zmienić politykę wobec nauki. Zarazem nie widać jakiejkolwiek strategii ratunku.

Permanentna niemożność zmiany sytuacji polskiej nauki nie zwalnia nas jednak od obowiązku ratowania naszych miejsc pracy. Nie mam recepty całościowej, ale mam cząstkową propozycję, która mogłaby tę sytuację odrobinę zmienić. Moja propozycja zmierza do tego, aby obecny Minister Nauki, w trybie rozporządzenia, dał rektorom prawo do pobierania semestralnej opłaty administracyjnej od studentów studiów stacjonarnych. Wysokość tej opłaty winna być wyliczona na podstawie realnych kosztów obsługi jednego studenta trybu stacjonarnego, i może być różny w przypadku studentów różnych kierunków.

Opłata administracyjna

Postulowana przeze mnie opłata administracyjna, obliczona na podstawie kosztów obsługi studentów prowadzonej przez dziekanaty, sekretariaty instytutowe i prorektorskie itd., zajmujące się prowadzeniem spraw studenckich, oraz kosztów utrzymania budynków dydaktycznych, mogłaby zostać wydatkowana przede wszystkim na zwiększenie płac dla pracowników administracyjnych uczelni, a także na remonty obiektów dydaktycznych.

Warto zwrócić uwagę na to, że wprowadzenie tej opłaty nie musiałoby stać w konflikcie z istniejącym zapisem konstytucyjnym o nieodpłatnym dostępie do studiów w uczelniach publicznych. Rozumuję tak na podstawie dwóch przesłanek. Pierwsza z nich to treść wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego, który dał uczelniom publicznym prawo do pobierania opłat za studia prowadzone w trybie zaocznym, obliczanych w oparciu o koszta faktycznie poniesione przez uczelnie, cokolwiek ta fikcja oznacza; wyrok ten można traktować jako precedens do zastosowania także w przypadku studentów studiów stacjonarnych. Druga przesłanka to prawo, a może raczej utrwalony i uzasadniony obyczaj, który pozwala uczelniom publicznym pobierać opłaty administracyjne za obsługę kandydatów na studia oraz za wydawanie dyplomów.

Konsekwencje finansowe

Konsekwencje finansowe wprowadzenia tego kroku można zilustrować na następującym przykładzie fikcyjnej uczelni, która kształci 20000 studentów w trybie stacjonarnym i zatrudnia 2000 pracowników naukowo-dydaktycznych oraz 1500 pracowników administracyjnych. W przypadku wprowadzenia w/w opłaty w wysokości 500 złotych semestralnie, tj. 1000 złotych rocznie, oznaczałoby to roczne przychody do budżetu w wysokości 20 mln zł. Część tej kwoty mogłaby być przeznaczona przede wszystkim na wzrost płac pracowników administracji uczelni, obecnie wynoszący przeciętnie poniżej 1500 zł. Zwyżka płacy w wysokości 500 zł miesięcznie pochłonęłaby 9 milionów rocznie, a więc mniej niż połowę kwoty pozyskanej drogą wprowadzenia opłaty administracyjnej. Pozostałą część uzyskanych w ten sposób przychodów, tj. 11 mln, uczelnia powinna mieć prawo wydatkowania na pokrycie kosztów utrzymania i remon-

tów budynków przeznaczonych na cele dydaktyczne, a także na budowę finansowego systemu motywacji dla pracowników naukowych.

Wprowadzenie postulowanej przeze mnie opłaty administracyjnej mogłoby przyczynić się do zmiany wstydliwej sytuacji, w jakiej znajduje się zarówno infrastruktura techniczna uczelni, jak i płace ich pracowników administracyjnych. A także, co może najważniejsze, zrobiłoby wyłom w społecznym i politycznym przekonaniu, że dobra nauka i dobra dydaktyka nie muszą kosztować.

Żądanie (nie)możliwego

Być może wielu zainteresowanych uzna koncentrację na płacach kadry administracyjnej oraz na stanie budynków dydaktycznych w uczelniach publicznych za skromny margines problemu, który jest znacznie poważniejszy. Ja sam uważam podobnie: powinniśmy być realistami i żądać niemożliwego. Na pewno nie wolno nam poprzestawać na czczym narzekaniu. Pilnie potrzebny ratunek całościowy byłby możliwy wyłącznie przez wprowadzenie pełnej odpłatności za studia stacjonarne. Jednakże w obecnej sytuacji nie jest to możliwe — pod względem prawnym — z powodu zapisu konstytucyjnego o bezpłatnym dostępie do edukacji wyższej. Ta prawna trudność ma oczywisty wymiar polityczny, ponieważ zapis ten został wprowadzony do ustawy zasadniczej dzięki równie usilnym, co nierozumnym staraniom Polskiego Stronnictwa Ludowego, stadnie popartego przez resztę „sił" politycznych. Zapis ten, uniemożliwiający jakąkolwiek całościową reformę szkolnictwa wyższego, nie zostanie więc zniesiony, ponieważ na przeszkodzie wprowadzeniu odpłatności za studia stanie, z jednej strony, ostatnio zdumiewająco egalitarna w tej sprawie Platforma Obywatelska, z drugiej zaś, populistycznie egalitarne Polskie Stronnictwo Ludowe i wszyscy pozostali politycy. Sądzę jednak także, że dramatyzm sytuacji jest tak wielki, że należy natychmiast zacząć od realizacji tego, co możliwe, tym bardziej, że jest to absolutnie konieczne. Proponuję więc zacząć od realizacji postulatu, który wydaje się możliwy prawnie i politycznie.

Z pewnością nie podnosiłbym tej kwestii, gdyby nie to, że budynki mojej uczelni były przez pewien czas oklejone nie tyle protestacyjnymi, co błagalnymi hasłami bibliotekarzy, którzy pro-

sili rektora o zwiększenie ich płacy, wynoszącej 1200 zł. A także gdyby nie to, że w jednym z budynków mojej uczelni kawał przedwojennego tynku, o wymiarach metra kwadratowego, oberwał się i spadł wprost na głowę studentki. Nie wiem, jak moja uczelnia załatwiła sprawę ze studentką, która ucierpiała. Wiem jednak, że skandal byłby znacznie większy, gdyby ten tynk spadł na głowę profesora. Mam nadzieję, że Ministerstwo nie będzie czekało ze zmianą swojego obecnego stanowiska w sprawie finansowania nauki i uczelni do momentu, gdy jakiś kawał tynku spadnie na głowę Ministra.

Aneks:

Dwa punkty Ustawy o szkolnictwie wyższym, systematycznie łamane przez rządy Rzeczpospolitej Polskiej:

Art. 93.1. Wydatki budżetu państwa planowane na finansowanie działalności uczelni publicznych w części dotyczącej wynagrodzeń waloryzowane są corocznie, co najmniej o średnioroczny wskaźnik wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej ustalony w ustawie budżetowej na dany rok budżetowy.

2. Wydatki budżetu państwa planowane na finansowanie działalności uczelni publicznych, w części niedotyczącej wynagrodzeń waloryzowane są corocznie, co najmniej o średnioroczny wskaźnik wzrostu cen towarów i usług ustalony w ustawie budżetowej na dany rok budżetowy.

7.
Dwa świstki papieru

Wtedy również zmieniano dowolnie znaczenie wielu terminów... Kto się oburzał i gniewał, zawsze znajdował posłuch, ten, kto się mu sprzeciwiał — był podejrzany[1].

Wzrost stawek

Polityka akademicka jest tak bardzo zaciekła, ponieważ stawki w niej są tak znikome. Słowa te, przypisywane Henry'emu Kissingerowi, choć naprawdę wypowiedział je politolog Wallace S. Sayre z Columbia University, adekwatnie ujmują charakter codziennych igraszek politycznych na wszystkich uczelniach na świecie. Do niedawna ujmowały one trafnie charakter potyczek politycznych również na polskich uczelniach. Wprowadzenie obowiązku lustracji dla pracowników uczelni w Polsce w 2007 roku znienacka i radykalnie zmieniło sytuację: okazało się, że nagle stawki urosły bardzo mocno. Lustracja bowiem rodziła skutki, które miały przesądzać nie tylko o akademickim, ale także obywatelskim życiu i śmierci dziesiątków tysięcy ludzi.

Polityka tym różni się od wojny, że w polityce można ginąć wiele razy, na wojnie zaś można zginąć tylko jeden raz. Rezultat osiągnięty za pomocą wprowadzenia lustracji na uczelniach

[1] Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przekł. Kazimierz Kumaniecki, Czytelnik 1957, 82.

przez ugrupowanie Prawo i Sprawiedliwość, sprawujące władzę w Polsce w latach 2005–2007, był aktem najskrajniejszego upolitycznienia środowiska akademickiego, był mianowicie aktem wojny przeciwko niezależności Akademii.

Z tym upolitycznieniem i z nagłym wzrostem stawek w polityce akademickiej uczeni polscy radzili sobie z dużym trudem z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że uprzednio lustracja była narzędziem walki politycznej, wymierzonym zwłaszcza w postkomunistyczną lewicę, i nie dotyczyła uczonych. W okolicznościach wykreowanych za pomocą rozszerzenia ustawy lustracyjnej na środowiska akademickie, co było równoznaczne z pogwałceniem autonomii akademickiej, uniwersytety stały się najbardziej niebezpiecznym miejscem — dla samych uczonych. Wskutek obowiązku lustracji stały się one dla nich pułapką bez wyjścia, ponieważ większość z nich nie miała i nie ma dokąd uciec. Po drugie, przez wiele dziesięcioleci, nawet w sytuacjach trudnych i w przypadku radykalnego oporu uczonych przeciwko różnym władzom, cieszące się znaczną autonomią uczelnie dawały całkiem bezpieczne schronienie wielu niepokornym, aktywnym działaczom na rzecz demokratycznych przemian. Więcej: ów bezpieczny azyl sprzyjał niepokorności i czynił z uniwersytetów ośrodki oporu przeciwko represyjnej władzy. Bez ludzi zatrudnionych na uniwersytetach przemiana Polski w kraj demokratyczny byłaby niemożliwa.

Litera i duch

Z tej racji w najgorętszym lustracyjnym okresie 2007 roku po obu stronach obecnego sporu wypowiadano różne trafne argumenty. Ale również wiele głupstw. Wśród niektórych uczonych zapanowała atmosfera sadystycznego entuzjazmu, jaki budzi okazja do wzięcia rewanżu, przez tych zwłaszcza, którzy, mimo poczucia dawnego pokrzywdzenia, dotychczas wcale nie odważali się go wziąć samodzielnie, wśród innych zaś groza, panika i autentyczny strach, ponieważ albo mają coś na sumieniu lub nie są całkowicie pewni jego czystości.

Niektórzy uczestnicy debaty nad ustawą lustracyjną twierdzili, że jej realizacja nie będzie prowadziła do dramatów, ponieważ środowiska naukowe cechują się znaczną zdolnością do przebaczania. Inni prezentowali tę ustawę jako niewinną, administracyjną formalność; jej litera stanowiła bowiem, że uczeni,

którzy nie współpracowali ze służbami specjalnymi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nie mają się czego bać. Stanowiła przecież także, że ci, którzy z nimi współpracowali i którzy się do tego przyznają, nie *muszą* się bać; zwłaszcza utraty stanowisk i tytułów.

Rzeczywiście; to nie litera tej ustawy budziła grozę, lecz jej duch.

Tadeusz Luty, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich i były rektor Politechniki Wrocławskiej, właśnie wbrew literze tej ustawy orzekł, że dla ludzi, którzy kiedyś współpracowali ze służbami, nie ma miejsca na uczelniach publicznych: niech idą do uczelni prywatnych. To była zapowiedź spektaklu, którego można się było spodziewać na niektórych uczelniach. Znajdując zachętę nie w literze, ale w duchu ustawy, chcieli w nim wziąć udział „bezgrzeszni", ci zwłaszcza, którzy wcześniej nie mogli się kąpać w blasku chwały swoich osiągnięć naukowych. Sytuacja ta stwarzała im okazję otoczenia się przynajmniej glorią swojej niezłomności. Gloria ich niezłomności lśniłaby tym jaśniej, gdyby udało się im przy okazji wykazać — to zaś zawsze jest możliwe — że to „grzesznicy", którzy zgodnie z ustawą musieliby się zadenuncjować własnoręcznie, są odpowiedzialni za ich zawodowe niepowodzenia z przeszłości. Co więcej, z pewnością udałoby się im również bez trudu wykazać, że rzekome osiągnięcia naukowe ich dawnych, choć świeżo odkrytych prześladowców, są nic niewarte, a jeżeli są cokolwiek warte, to na pewno zostały im ułatwione dzięki ich kontaktom ze służbami specjalnymi.

Jest wysoce prawdopodobne, że ustawa lustracyjna taki mechanizm uruchomiłaby na uczelniach. „Grzesznicy" zatem, choć litera ustawy nie przepędzałaby ich z uczelni, mogliby się stać obiektem nagonki ze strony tych, którzy zachowali moralną czystość, tych zwłaszcza, którzy uznają się za pokrzywdzonych. W przypadkach szczególnie zapiekłych nienawiści wzajemnych, których zawsze pełno w ciasnych oraz dusznych murach akademickich, było prawdopodobne, że niektórzy spośród dawnych, choć świeżo ujawnionych „złoczyńców", musieliby odejść z miejsc swojej pracy, nawet jeżeli oficjalnie ustawa tego nie żądała.

Spektakl ten nie byłby ani budujący, ani, z pewnymi wyjątkami, poza częścią gawiedzi studenckiej, tej zwłaszcza, która

przesiąkła mentalnością ipeenowską, nie wzbudziłby wielkiego zainteresowania. Toczyłby się w murach poszczególnych uczelni, gdzie co jakiś czas któryś z „przestępców" byłby wzywany na miejsce kaźni, poddany torturze samokrytyki, a następnie pozbawiony życia akademickiego i obywatelskiego.

Nie byłoby okoliczności łagodzących. Nie dopuszczała ich bowiem ani litera, ani tym bardziej duch ustawy. Ktoś taki mógłby potem tylko odejść z uczelni, gdzie spędził całe swoje dotychczasowe życie. Czy poszedłby do uczelni prywatnych, jak chciał tego działacz samorządu akademickiego, pragnący oczyścić uczelnie publiczne z moralnej zgnilizny?

W tej sprawie można powiedzieć dwie rzeczy: idea przepędzania byłych współpracowników służb specjalnych z uczelni publicznych do uczelni niepublicznych świadczy o skrajnie niewłaściwym sposobie odnoszenia się przez najwyższy szczebel samorządu uczelni publicznych do swoich prywatnych konkurentek. Samorzutne przeniesienie się „agentów" do szkół prywatnych w poszukiwaniu ucieczki przed ostracyzmem środowiska byłoby natomiast bezcelowe: polityka w uczelniach prywatnych jest tak samo zapiekła, jak na uczelniach publicznych, chociażby dlatego, że większość ich kadry naukowej stanowią nauczyciele ze szkół publicznych. Prawdopodobnie więc w większości przypadków wzajemne destrukcyjne animozje po prostu przeniosłyby się ze szkół publicznych do prywatnych.

Ofiara zbrodni komunistycznej

Do sporu o lustrację i o minioną historię chciałbym się odnieść z perspektywy kilku epizodów z własnej przeszłości, choć czynię to bez żadnych złudzeń co do siły sprawczej pisanego słowa, cokolwiek by ono wyrażało.

Dzięki słowotwórstwu obecnego reżymu, całkiem podobnego do tego, jakie zauważył Tukidydes w swoim opisie walk politycznych w starożytnej Grecji, funkcjonuje w Polsce termin „zbrodnia komunistyczna". Posłużono się nim np. niedawno przy okazji procesu przeciwko osobie, której „zbrodnią komunistyczną" było wyrzucenie z pracy jakiejś osoby. Zgodnie z obecnie obowiązującym, dość nowatorskim użyciem tego terminu mogę stwierdzić, że mój przypadek wyczerpuje znamiona odpowiedniego paragrafu, dzięki czemu mogę się uznać za ofiarę zbrodni komunistycznej.

A było to tak.

Po ukończeniu studiów w 1984 roku bez trudu znalazłem pierwszą pracę na jednej z wrocławskich uczelni, ówczesnej Akademii Ekonomicznej im. Oskara Langego. Po kilku miesiącach jednak zostałem z niej wyrzucony. Właściwie byłem z niej wyrzucany od momentu przyjęcia. Powodem było to, że konsekwentnie odmawiałem podpisania świstka papieru, który oznaczałby przystąpienie do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Były także dwa inne powody: oczekiwano ode mnie, że przyszły doktorat napiszę pod kierunkiem osoby, która zmuszała mnie do wstąpienia do partii i która wydawała mi się zupełnie niekompetentna. Poza tym, ponieważ już wtedy publikowałem we wrocławskim miesięczniku „Odra", wszelkie publikacje, jakie bym zamierzał ogłaszać, miałem dawać uprzednio do aprobaty, swoistego *placet*, ze strony mojej ówczesnej zwierzchniczki-prześladowczyni. Nie chciałem tego zrobić za żadną cenę i wymigiwałem się, jak długo mogłem. Żadnego z tych trzech warunków, które podyktowano mi jako *sine qua non* dalszej pracy na tej uczelni, nie mogłem zaakceptować. Po karczemnej awanturze wyleciałem więc z hukiem z roboty w tej instytucji.

Wyleciawszy stamtąd jednak nie potrafiłem zarazem zrozumieć, dlaczego nie wyleciał wraz ze mną jeden z moich kolegów, który pracował w tej samej katedrze, choć jego zaangażowanie przeciwko ówczesnemu ustrojowi było dość znane. Kolega ten, obecnie bardzo znany polityk, z pracy nie wyleciał, choć do partii chyba nie wstąpił, a być może nawet nikt go do tego nie zmuszał tak brutalnie, jak mnie. Prawdę powiedziawszy, nadal nie potrafię tego zrozumieć i sądzę, że byłaby to rzecz godna wyjaśnienia. Możliwe że, paradoksalnie, jego widoczne zaangażowanie było dlań swoistą ochroną przed prześladowaniem analogicznym dla tego, które mnie spotykało. Gdyby go bowiem wyrzucono z pracy, to być może w jego obronie stanęłaby sama Wolna Europa, czyniąc zeń ofiarę represyjnego reżymu, a tym samym niepodważalny dowód represyjności reżymu? Ale w takim wypadku dlaczego, jako zadeklarowany wróg reżymu, został w ogóle przyjęty do pracy na uczelni? Może zadziałały zwyczajne koneksje lokalne lub rodzinne? A może było tak, że kierownictwo tej katedry, dawszy schronienie mojemu bardziej znanemu koledze, uznało, że wykorzysta moją osobę, nikomu nie znanego aspiranta do kariery naukowej, w obronie którego

nikt nie stanie, aby przywrócić poziom upartyjnienia, zachwiany wskutek przyjęcia do pracy kogoś, o kim z góry było wiadomo, że do niej nie wstąpi? Ale w takim razie dlaczego to właśnie ja musiałem zapłacić swoim upokorzeniem i sponiewieraniem cenę za bezpieczeństwo akademickiego zatrudnienia mojego kolegi, który zresztą żadnym uczonym nie został?

Jakkolwiek było, utraciwszy swoją pierwszą pracę, chociaż jako asystent-stażysta oficjalnie byłem chroniony ówczesnym prawem pracy, natychmiast bez większego kłopotu znalazłem zatrudnienie na Uniwersytecie Wrocławskim.

Stopień represyjności

Te dwie okoliczności pozwalają wskazać na bardzo ważką różnicę między społecznym i prawnym funkcjonowaniem obywatela w czasach PRL, a sytuacją prawną i społeczną, jaką stwarzała w 2007 roku ustawa lustracyjna. Różnica ta polega na tym, że odmowa złożenia podpisu pod świstkiem papieru, który kazała mi podpisać Polska Rzeczpospolita Ludowa w 1984 roku, wcale nie oznaczała bezwzględnego zakazu pracy nawet w kontrolowanych przez wszechwładną PZPR instytucjach publicznych, nie oznaczała także publicznej banicji, ani nie wiodła do społecznej stygmatyzacji. Wręcz przeciwnie: była świadectwem swoistego heroizmu i oporu przeciwko rzekomo wszechwładnej władzy komunistów. Przykład mojego kolegi, który angażował się na rzecz opozycji w sposób bardziej widoczny niż ja to czyniłem, świadczy o tym, że takiej banicji nie stosowano nawet wobec sporej części jawnych i zdeklarowanych wrogów PRL, choć, naturalnie, niektórzy z nich znacznie ucierpieli.

W 2007 roku jednak odmowa podpisania świstka papieru, który kazała mi podpisać „IV Rzeczpospolita", oznaczałaby natychmiastową, automatyczną utratę pracy, a także, co więcej, zakaz pracy w publicznych i chyba prywatnych instytucjach naukowo-dydaktycznych przez najbliższe 10 lat. Nie koniec na tym: odmowa podpisania świstka papieru, nachalnie podtykanego uczonym przez „IV Rzeczpospolitą", oznaczałaby także społeczne potępienie i całkowitą banicję z przestrzeni publicznej. Niepodpisanie tego świstka nie byłoby również wcale traktowane jako świadectwo heroizmu w ruchu oporu przeciwko karykaturalnej władzy i przeciwko jej służalczym poplecznikom;

przeciwnie, rodziłoby niewymazywalne podejrzenie o nieczystość rąk i sumienia.

Co więcej, taką właśnie karą, karą główną, zostały wówczas obłożone czyny, które nie tylko, że nie były uprzednio przestępstwami, ale także nie były przestępstwami według prawa obowiązującego w 2007 roku. Natomiast do wydawania wyroków o życiu lub śmierci akademickiej i obywatelskiej, oraz do ich egzekucji, zostali zmuszeni przez ustawę sami uczeni. Mówiąc inaczej, ustawa wepchnęła im do rąk sznur i dała wybór: teraz tylko od nich samych zależało, czy się na nim sami powieszą, czy też tylko własnoręcznie spętają się nim do końca swojego życia.

Jest to jeden z powodów, dla których ustawę lustracyjną z roku 2007 należy ocenić jako sprzeczną z zasadami sprawiedliwości, z prawami człowieka, z prawdą historyczną oraz ze zdrowym rozsądkiem. Wyglądała ona na to, czym w istocie była: była bowiem płodem sadystycznej żądzy zemsty ze strony gromady nieudaczników politycznych, zasłaniających się szczytnymi hasłami prawa, prawdy, sprawiedliwości i patriotyzmu. Zgodnie z nowymi obyczajami słowotwórczymi, ustawa ta nadała nowy sens pojęciu patriotyzmu, potwierdzając przykrą wiarygodność dawnych, choć gorzkich mądrości politycznych Samuela Johnsona i Oscara Wilde'a: patriotyzm w wydaniu lustratorów okazuje się ostatecznym argumentem łajdaka i cnotą nikczemnych.

Waga wolnego słowa

Wracam do tragikomicznej drogi krzyżowej mojego zatrudnienia. W nowym miejscu zatrudnienia byłem obiektem represji kilkakrotnie. Pierwsza z tych represyjnych prób miała związek z tym, że jako bardzo świeży asystent-stażysta zgłosiłem do publikacji w czołowym ówcześnie polskim piśmie filozoficznym, „Studiach Filozoficznych", artykuł, w którym powoływałem się na jedną z nieznanych w jeszcze w Polsce książek Leszka Kołakowskiego. Artykuł został zaakceptowany do druku przez redakcję niemal natychmiast. Prawdę powiedziawszy, artykuł ten był odpryskiem tekstu, który napisałem pierwotnie dla wrocławskiej „Odry", ale jej redakcja uznała go, jak to ma w zwyczaju, za zbyt obszerny...

Na wieść o tym mój ówczesny zwierzchnik zażądał przedstawienia maszynopisu, a gdy się z nim zapoznał, wezwał mnie

na rozmowę. Gdy już zamknęły się za nami drzwi jego gabinetu, w histeryczny sposób poddał druzgocącej krytyce, po kolei, styl mojego pisania, fakt wzmiankowania w nim „Boga", i całą resztę. Kiedy zaś doszedł do cytatów z Leszka Kołakowskiego, zawołał z potępieniem w głosie, które mieszało się z autentycznym przerażeniem: „Czy pan wie, panie kolego, co to znaczy, te cytaty z Kołakowskiego?! Wie pan?! Cytując Kołakowskiego, pan się deklaruje jako wróg klasowy!!!".

W artykule tym były także cytaty z innego filozofa, Isaiaha Berlina, kolegi Kołakowskiego z All Souls College. Za te odniesienia nie zostałem zbesztany. Było tak jednak tylko dlatego, że mój ówczesny zwierzchnik, który odebrał wykształcenie filozoficzne w Moskwie, nie miał pojęcia, kim był Isaiah Berlin; w szczególności nie wiedział, że jest to filozof nie mniej niebezpieczny dla ustroju ludowej ojczyzny niż Leszek Kołakowski.

Kiedy w odpowiedzi na wybuch histerii mojego zwierzchnika, która wzbudziła we mnie autentyczny przestrach i odebrała mi dech w piersiach, odparłem nieśmiało, że ten w jego opinii dramatycznie niedobry, a co gorsza niebezpieczny dla państwa artykuł został już przyjęty przez „Studia Filozoficzne" — które z czarnobiałej perspektywy ipeenowskiej mentalności muszą wydawać się zapewne nie mniej komunistyczne niż katedra, w której pracowałem — groza mojego zwierzchnika osiągnęła szczyt i w nerwowym popłochu nakazał mi natychmiast telefonować do redakcji, aby usunęła z mojego tekstu cytaty z Kołakowskiego. Bo jeżeli nie, to — jako zdeklarowany z pomocą Kołakowskiego wróg klasowy — wylecę z roboty.

Nie zadzwoniłem. Tekst się ukazał bez żądanych zmian. Z pracy jednak nie wyleciałem.

Gdy opowiadam tę absurdalną historię filozoficznym kolegom spoza Wrocławia, którzy nie znają specyfiki tutejszych ówczesnych uwarunkowań nauczania filozofii, uśmiechają się z politowaniem, często ze zrozumieniem, rzadziej ze współczuciem. Kiedy zaś dodaję, że rzecz działa się w 1986 roku, w ogóle przestają mi wierzyć. Nic jednak nie poradzę na to, że tak właśnie było.

Paradoksalnie, mimo strachu, jakiego napędził mi ówczesny szef, z tęsknotą wspominam tamten czas. Dlatego, że na własnej skórze odczułem wówczas, jak wielką wagę miało wtedy słowo pisane. Doceniano je tak, jak nigdy potem. I nawet teraz nie

jestem pewien, czy wolałbym, aby napisane przeze mnie wówczas słowa zostały docenione w sposób inny, niż to faktycznie się stało, choć nie zapomnę, jak wiele mnie to wtedy kosztowało. Lecz doprawdy wolałbym urodzić się i pracować w kraju, gdzie nic takiego by mnie nie spotkało.

Słuszne argumenty

Do kolejnej próby usunięcia mnie z pracy doszło z powodu treści, które wykładałem studentom prawa. Nauczałem ich w sposób uznany przeze mnie — przyznaję, że dość nieroztropnie — za właściwy, tj. wykładałem im historię filozofii. Po kilku tygodniach, dzięki gorliwości moich studentów, wiadomości o tematyce moich zajęć rozeszły się w katedrze, w której pracowałem. Bezzwłocznie wylądowałem na dywaniku ponownie i usłyszałem, że nie jest moim zadaniem nauczanie staroświeckich, religianckich i metafizycznych doktryn, lecz filozofii systematycznej. Oznaczało to, jak wiadomo, materializm dialektyczny i historyczny. Poinformowano mnie, że jeżeli tego natychmiast nie zmienię, to pożegnam się z pracą. Niechętnie więc zmieniłem na pewien czas treści nauczania i sprawa ucichła.

Zapomniano o niej również także dlatego, że już niebawem znowu stworzyłem kolejne, jeszcze większe problemy swoim zwierzchnikom, a zwłaszcza sobie samemu. Tym razem bowiem zagrożono mi utratą pracy, gdy — dzięki korespondencyjnym kontaktom z kręgiem filozofów skupionych wokół Karla Poppera, nawiązanym przeze mnie jeszcze w czasach studenckich — wystarałem się o stypendium naukowe, które miało mi umożliwić uczestnictwo w zagranicznym seminarium poświęconym filozofii Ludwiga Wittgensteina. Okoliczności tej próby pozbycia się mnie były nieco bardziej dramatyczne niż wcześniejsze i późniejsze.

Najpierw podjęto próbę zdyskredytowania mnie jako nauczyciela. Ponieważ rzecz się działa w trakcie sesji egzaminacyjnej, mój ówczesny zwierzchnik, na wieść, że aplikuję o zgodę na wyjazd zagraniczny, natychmiast oblał siedmioro studentów uczęszczających na moje zajęcia, w tym najlepszych spośród nich. Potem poddano mnie dalszej, codziennej żmudnej obróbce psychologicznej, której szczegóły są zbyt nikczemne, aby je pamiętać, cóż dopiero wspominać.

Zaapelowałem o pomoc do osoby będącej ówczesnym prorektorem ds. badań naukowych i współpracy z zagranicą. W obezwładniającym popłochu uczyniłem to z pominięciem procedur, znanych pod nazwą drogi służbowej. Fakt ten na pewien czas jeszcze bardziej pogorszył moją sytuację, o samopoczuciu nie wspominając. Pani Prorektor, choć nie mająca żadnego interesu w ratowaniu mojej skóry, okazała się bardzo dla mnie życzliwa. Nie mogła jednak, ot tak, po prostu, arbitralnie odeprzeć sprzeciwu moich bezpośrednich zwierzchników wobec mojego wyjazdu. Posługiwali się oni bowiem zniewalającym i całkowicie słusznym argumentem, że ludowa ojczyzna nie ma cennych dewiz na finansowanie podróży zagranicznych osoby, która nie tylko, że dopiero co została zatrudniona, lecz, co gorsza, nie rokuje najlepiej, wręcz przeciwnie. Prorektor nie mogła tego uczynić, ponieważ, w przeciwieństwie do mnie, musiała bezwzględnie przestrzegać przyjętych procedur, aby nie narazić własnej pozycji. Nie pozostała jednak obojętna na moją sytuację, choć dla swojego świętego spokoju mogła po prostu wzruszyć ramionami. Zamiast tego postanowiła odwołać się do „autorytetu" członków uczelnianego komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, prosząc ich o opinię w sprawie mojej aplikacji o wyjazd. Ci z kolei wyrazili... jednoznaczne poparcie dla mojego wyjazdu, argumentując, niemniej słusznie niż ich oponenci, że ludowa ojczyzna powinna wydatkować garść cennych dewiz, aby popierać aspiracje naukowe młodych uczonych.

Otrzymawszy tę opinię, Prorektor wezwała na rozmowę mojego zwierzchnika, by wysłuchać jego stanowiska. Należy dodać, że był to czas, kiedy władze rektorskie cieszyły się respektem władz państwowych, nawet jeżeli mogły one odwoływać nieposłusznych rektorów, i nawet gdy były mściwe. Cóż dopiero mówić o podwładnych, nawet jeżeli byli głupi. Zanim jednak mój bezpośredni przełożony udał się na dywanik, w sporym popłochu zdążył przepytać wszystkich, wcześniej oblanych moich studentów.

Wszyscy zdali egzamin pomyślnie. Zaraz potem zapadła decyzja. Pojechałem za granicę.

Jedni przeciwko drugim

Z perspektywy obecnej, jak i ówczesnej, było dla wszystkich, również dla mnie, całkowicie jasne, że w tym incydencie wcale

nie chodziło o to, aby pomóc ludowej ojczyźnie w kształceniu nowych kadr naukowych, ani też nie o to, by uchronić ludową ojczyznę przed niepotrzebną stratą cennych dewiz. Oba powyższe argumenty, powołujące się na interes ludowej ojczyzny, całkowicie zresztą słuszne, były tyle samo warte. Były mianowicie jedynie instrumentami we wzajemnej walce między różnymi grupami ludzi, którym chodziło tylko o to, aby postawić na swoim przeciwko innym. Mimo całej swojej ówczesnej bezdennej naiwności nie miałem co do tego najmniejszych złudzeń i byłem świadom, że — choć dla mnie stawka była równie wielka, jak była w 2007 roku — spełniłem wówczas jedynie rolę drobnego elementu w drobnej potyczce między dwoma frakcjami, czy raczej dwoma grupami towarzyskimi, jakie wyłoniły się w ówczesnej akademickiej PZPR, które od dawna toczyły ze sobą walkę, choć cel tej walki umykał mojemu rozumieniu. Moja sprawa była znakomitym pretekstem, aby jedna frakcja mogła coś ugrać przeciwko drugiej, choć nie wiedziałem, co by to miało być. Nie należąc do żadnej z nich, nie wiedziałem nawet, kto stanął w mojej obronie. Wielu szczegółów tej ówczesnej sytuacji nie znam; dopiero długo po fakcie dowiedziałem się z plotek, że w gronie moich skutecznych obrońców znajdował się przypuszczalnie późniejszy współtwórca Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

Czwarta próba pozbycia się mnie z uczelni została sprowokowana moim pomysłem, aby opublikować skrypt poświęcony filozofii Karla Poppera w Wydawnictwie Uniwersytetu Wrocławskiego. Pomysł ten zablokowano, albowiem w opinii moich zwierzchników oznaczało to popularyzację wśród studentów filozofii człowieka, który sformułował, jak się wówczas w Polsce sądziło, druzgocące argumenty przeciwko filozofii Marksa, a więc niewątpliwie był wrogiem klasowym, choć nie było dokładnie wiadomo, o jaką klasę mogło chodzić. Ponieważ propagowanie wroga klasowego również było aktem wrogości wobec klasy, z kogokolwiek by się ona składała, otrzymałem wówczas nie podpisany, odręczny świstek, w którym stwierdzano, że „dwaj recenzenci negatywnie ocenili przedłożoną propozycję wydawniczą" i domagano się wycofania tego skryptu.

Dalszych szczegółów nie pamiętam. Ale, naturalnie, znowu postawiłem na swoim.

Ofiara III Rzeczypospolitej

Kolejna próba pozbycia się mnie z pracy odbyła się, gdy chciałem obronić doktorat. Rzecz się działa już za III Rzeczpospolitej. Mimo przygotowania kolejnych czterech wersji rozprawy, żadna nie zyskała aprobaty pewnych profesorów, którzy wcale nie należeli do grona moich poprzednich opresorów, ani do grona popleczników minionego już zresztą wówczas systemu. Należałoby ich raczej uważać za kogoś w rodzaju członków opozycji, która zresztą wówczas przestała być już opozycją. Jeden z nich zaś był głęboko związany z intelektualnymi kręgami dominującej religii. Po kilku latach zmagań, które mi bezpowrotnie zmarnowano, zamknięto mi ostatecznie przewód doktorski. Dzięki temu mogłem go jednak otworzyć od nowa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zamykanie mojego przewodu we Wrocławiu odbywało się w atmosferze szyderstw: „jeżeli on uważa, że na Jagiellońskim jest niższy poziom niż u nas, to niech tam sobie idzie!".

Kiedy jednak, zapewne dzięki znacznie niższemu poziomowi wymogów naukowych na Uniwersytecie Jagiellońskim, i dzięki profesorowi Janowi Woleńskiemu, obecnie czołowemu filozofowi polskiemu, obroniłem swoją tezę, próbowano następnie nie dopuścić do zatrudnienia mnie na stanowisku adiunkta. W mojej obronie ponownie stanął ktoś, kto mnie nawet bliżej nie znał, mianowicie sam ówczesny Rektor.

Dodam przy okazji, że jeden z moich dawnych zwierzchników, któremu tak wiele złego zawdzięczam i który zmarnował tyle mojego entuzjazmu, czasu, zdrowia i nerwów, pracował w tej samej jednostce naukowej przez następne dziesięciolecia. I nawet podawałem mu rękę.

Z moim statusem akademickim miałem wiele innych, mniej lub bardziej poważnych problemów. Przez moment, tuż przed nastaniem „IV Rzeczypospolitej", wydawało mi się, że skończyły się one ostatecznie. Jeżeli jednak nie podpisałbym oświadczenia lustracyjnego w 2007 roku, to w „IV Rzeczypospolitej" moje kłopoty z zatrudnieniem akademickim skończyłyby się rzeczywiście: ostatecznie i nieodwołalnie.

Niewolnicy zakłamania

Powyższe anegdoty stanowią łącznie, moim zdaniem, podstawę do tego, abym miał uzasadnione poczucie pokrzywdze-

nia przez miniony ustrój. Mimo więc statusu ofiary komunizmu, który sobie samowolnie niniejszym przyznaję, pod żadnym pozorem jednak nie chciałbym, aby ktokolwiek uznał to za wyraz woli ubiegania się o coś, co nosi obecnie w Polsce karykaturalną nazwę „statusu pokrzywdzonego".

Sama idea „statusu pokrzywdzonego" jest nieudolnym i niewolniczym odwróceniem kategorii, jakimi przesiąkli autorzy szaleńczych pomysłów rozliczenia się z historią na podstawie papierów wyprodukowanych w zgodzie z nakazami wypaczonego, zakłamanego, tajniackiego dyskursu, którymi nikt poza zamkniętą sektą pracowników służb specjalnych się nie posługiwał i które z tej racji nie mają wiele wspólnego z ówczesną rzeczywistością, choć same stanowią część tej rzeczywistości. Dlatego za całkowicie chybione uznaję szukanie prawdy w dokumentach stworzonych („wytworzonych") według rygorów tego dyskursu.

Nie chcę tego tym bardziej, że jego pomysłodawcą i szafarzem jest koślawa i niebezpieczna instytucja Instytut Pamięci Narodowej oraz nie mniej mentalnie wykoślawieni i niebezpieczni ludzie w niej zatrudnieni. Jestem bowiem pewien, że ani w Instytucie Pamięci Narodowej, ani w żadnym innym miejscu, nie ma śladów dokumentów na ten, nikogo poza mną nie obchodzący temat, jakim były losy mojego akademickiego zatrudnienia. A jeżeli są jakiekolwiek dokumenty na ten temat, to nie mogą mieć żadnego odniesienia do mojego odczuwania i przeżywania autentycznych kłopotów, w jakie co jakiś czas popadałem ja, jak też inni ludzie, znajdujący się w sytuacjach podobnych do mojej.

Instytut Pamięci Narodowej został powołany w celu ścigania zbrodni popełnionych na narodzie polskim przez dwa reżymy: nazistowski i komunistyczny. To zrównanie reżymów nazistowskiego i komunistycznego, samo w sobie głęboko nieadekwatne, jest odpowiedzialne m.in. za koszmar nieporozumienia, jakim jest pojęcie „zbrodni komunistycznej": jeżeli bowiem zbrodnie na narodzie polskim niewątpliwie popełniali naziści, to dzięki temu nonsensownemu zestawieniu obecny ustawodawca mógł uznać, iż nie może inaczej zakwalifikować, jak tylko jako zbrodnie, to, co robili w Polsce ludzie uznani obecnie za komunistów.

W istocie polska prawica nie tylko dokonuje zrównania komunizmu i nazizmu, ale także, na podstawie rachuby ofiar obu tych totalitarnych reżymów, argumentuje, że komunizm był gor-

szy od nazizmu; wynika z tego logiczna konsekwencja, że nazizm był mniejszym złem od komunizmu. Jak słusznie zauważył Bronisław Łagowski, „Dla nowych pokoleń nie jest więc zrozumiałe, dlaczego Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, państwa liberalne i demokratyczne, nie stanęły po stronie mniejszego zła, czyli nazizmu, lecz zawarły sojusz z mocarstwem komunistycznym"[2]. Ta w istocie wewnętrznie sprzeczna operacja semantyczna ma na celu uzasadnianie niepojętego skandalu, jakim jest szerzenie się postaw nazistowskich na polskiej prawicy, które, przez to dogodne porównanie z „gorszym" komunizmem, zyskują nie tylko rozgrzeszenie, ale także usprawiedliwienie i uprawomocnienie. Świadectwem powodzenia w tej operacji semantycznej jest fakt, że mniej kontrowersji w Polsce budzi zajmowanie najwyższych stanowisk publicznych przez kryptonazistów niż przez byłych komunistów. Albowiem dogmat, iż rodzimym postkomunistom w Polsce wolno mniej, zaczął w praktyce oznaczać, że rodzimym nazistom wolno więcej.

Intelektualny, choć w pełni świadomy i zamierzony błąd, leżący u podstaw tego zrównania, prowadzi do dalszego, który leży u podstaw lustracji. Reżym nazistowski był pochodzenia niemieckiego. Naród ten charakteryzuje się wielką kulturą prawną i administracyjną. Z tych powodów zbrodnie nazistowskie dość łatwo jest ścigać, ponieważ sami naziści, cokolwiek czynili, starannie dokumentowali, własnymi rękoma sporządzając tym sposobem akty oskarżenia siebie samych. Lustracja, zwłaszcza w Polsce, oparta tylko o zasoby archiwalne IPN, nie może być sprawiedliwa, ponieważ, pomijając fakt, iż wiele dokumentów zostało zniszczonych, to ponadto kultura prawna i administracyjna, w Polsce zarówno minionej, jak i obecnej, była i jest bardzo niska. Wskutek owej *polnische Wirtschaft* wiele spraw, zarówno nikczemnych i bohaterskich, nie zostało udokumentowanych przez nikogo.

Prawda jest w ludziach. Jest w ich pamięci. Jest w ich sumieniach. Prawda jest także w ludzkich sercach, w ich zdolności do wybaczania i w ich skłonności do pokajania. Wymuszanie aktów moralnych za pomocą kłonicy koślawego prawa jest tak bezczelnym oszustwem, że od razu wiadomo, iż w prawie tym wcale

[2] Bronisław Łagowski, *Klamra Zdrojewskiego*, „Przegląd", 35, 6 września 2009, s. 11. Na ten temat por. także Slavoj Žižek, *Two Totalitarianisms*, „London Review of Books", 17 marca 2005.

nie chodzi o nakłonienie do aktów pokajania ani do aktów wybaczania, lecz o metodę realizacji jednego z najsilniejszych i najbardziej ludzkiego z pragnień: bezkarnego, usankcjonowanego prawnie, a tym samym rzekomo moralnie słusznego zadawania cierpienia innemu człowiekowi. Do tego właśnie i do niczego innego służy grzebanie w dokumentach byłych służb specjalnych przy akompaniamencie wznoszonych haseł prawdy, prawa, sprawiedliwości i patriotyzmu. Te spustoszałe słowa służą jedynie jako instrumenty do nadawania pozorów szlachetności sadystycznemu pragnieniu, jakie popycha obecnych lustratorów i prokuratorów. Ta sadystyczna motywacja popychała do działania aktywistów i arywistów poprzedniego systemu. Dokładnie taka sama sadystyczna motywacja popycha do działania aktywistów i arywistów obecnego systemu.

Zorganizowana nienawiść

Nie chciałem brać udziału w działaniach poprzedników, nie chcę też mieć nic wspólnego z ich następcami. Dlatego nawet przez myśl mi nie przechodzi, aby gdzie indziej niż tylko w sferze filozofii szukać prawdy, sprawiedliwości i zadośćuczynienia. A już na pewno nie w Instytucie Pamięci Narodowej, który stał się instrumentem zorganizowanej nienawiści narodowej tych, którzy bez nienawiści żyć nie mogą.

Instytut Pamięci Narodowej, jakkolwiek by nie był pojemny, nie przyda mi się jako narzędzie zadośćuczynienia za doznane krzywdy także dlatego, że nie sądzę, aby ci, od których doznałem krzywd, byli w formalnym sensie współpracownikami ówczesnych sił specjalnych. Sądzę tak z trzech powodów. Po pierwsze, niektórzy moi ówcześni koledzy z pracy byli nie tylko skrajnie lojalni wobec systemu, lecz wręcz czuli się jego duchowymi przywódcami i nadzorcami; z tej racji nie sądzę, aby służby specjalne ośmielały się żądać od nich podpisywania deklaracji o współpracy. Ich radykalizm i zaangażowanie na rzecz tego systemu były tak wielkie, że to raczej moi ówcześni koledzy, gdyby mogli, zmuszaliby pracowników ówczesnych służb specjalnych do podpisywania deklaracji lojalności, aniżeli odwrotnie. Po drugie, niektórzy z moich ówczesnych kolegów z pracy byli zbyt mało inteligentni i umiejętni, aby być czymś więcej niż wykładowcami zdogmatyzowanej filozofii marksizmu-leninizmu. A na pewno niedostatecznie inteligentni i nieumiejętni, aby

być współpracownikami jakichkolwiek służb, cóż dopiero specjalnych. Po trzecie, wszyscy oni byli członkami władającej wtedy partii. Z informacji natomiast, które są obecnie publikowane, należy wnioskować, że członków partii nie werbowano na współpracowników. Służby specjalne miały Partii służyć, nie zaś nią manipulować czy ją nadzorować.

Ustawa lustracyjna z 2007 roku była więc chybiona w tym sensie, że sprawcy wszystkiego, co w minionym ustroju było złe, byli poszukiwani przez ówczesnych tropicieli nie tam, gdzie faktycznie się ulokowali. Ulokowali się bowiem raczej na różnych szczeblach partii, nie w służbach specjalnych. Służby specjalne wykonywały różne zadania pod dyktando Partii i w interesie — zbiorowym lub prywatnym — jej odpowiednio umocowanych członków. Partia, cokolwiek to słowo znaczy, potrzebowała tajnych i „brudnych" służb specjalnych po to, by to ich pracownicy brudzili swoje ręce w imieniu Partii oraz aby swoim działaniem brudzili i niszczyli innych — słabych lub bezbronnych — ludzi. Służby te były jej potrzebne nade wszystko po to, aby członkowie Partii sami nie musieli brudzić rąk i pozostawali czyści. Mechanizm ten jest tak stary, jak cywilizacja, zwłaszcza chrześcijańska. Prawdę tę doskonale rozumiał Chrystus, który powiedział do swego oprawcy, Piłata, gdy ten umywał ręce: „większą winę ponoszą ci, którzy mnie tobie wydali".

Talenty krawieckie

Kolejnym przykładem politycznego słowotwórstwa w Polsce były operacje semantyczne wykonane na moralnym terminie „hańba". Zwłaszcza wszystko to, co stanowiło akt oporu przeciwko Prawu i Sprawiedliwości, stawało się haniebne. Świadectwem szczególnie wielkiej hańby czyniło się zwłaszcza pobieranie wynagrodzenia od pracowników służb specjalnych. Na przykład przy okazji autolustracji reżysera Marka Piwowskiego podniosły się głosy o hańbie jego czynów, albowiem brał on za swoją współpracę pieniądze. Gazeta „Nowy Dziennik" napisała również, że „zdecydowana większość naukowców po prostu zgodziła się na współpracę nie tylko dla korzyści osobistych, ale także dlatego, że wspierała ten ustrój. Nie może więc dzisiaj dziwić opór części środowiska akademickiego wobec lustracji. Historycy, którzy badają inwigilację uniwersytetów, potwierdzają,

że dokumenty jednoznacznie stwierdzają, iż inwigilowali się sami pracownicy naukowi".

Tak być może. Interesująca jest jednak kwestia owych „korzyści", w tym finansowych. Do tej sprawy można podejść z perspektywy szeroko znanego utworu kultury masowej, tj. książki Johna Le Carré pt. *Krawiec z Panamy*. Na jej podstawie zrobiono całkiem niezły film. Autor opisuje tam mechanizm, który, jak można podejrzewać, funkcjonuje powszechnie we wszystkich służbach specjalnych pod każdą szerokością geograficzną.

Jeżeli pracownik służb specjalnych ma być skuteczny w pozyskiwaniu informacji, musi mieć do dyspozycji sposób na wynagrodzenie swoich tajnych współpracowników. Zazwyczaj są to pieniądze. Tak też się dzieje w przypadku brytyjskiego agenta Andy'ego Osnarda (Pierce Brosnan), który po przybyciu do Panamy wmawia sobie samemu, błędnie, że Harry Pendel (Geoffrey Rush), krawiec szyjący garnitury dla przedstawicieli lokalnej władzy, ma dostęp do szczególnie ważkich informacji.

Krawiec dostępu do informacji nie ma, ale ma wielki wrodzony talent narracyjny, zdolność przystosowywania się do okoliczności i jest inteligentny. Jest także szantażowany i całkowicie bezbronny. Na podstawie zadawanych mu nachalnie pytań, dzięki swej mimikrze i inteligencji odgaduje bez trudu, jakie informacje zadowolą jego brutalnego i szantażującego go przedstawiciela MI5, przed którym nie ma ani sił ani możliwości się bronić, ponieważ stosuje on wobec niego taktykę kija, czyli szantażu, i marchewki, czyli obietnic wynagrodzenia. „Pozyskany" w ten sposób współpracownik dostarcza całe masy sensacyjnych informacji, albowiem doskonale wie, że innych informacji prowadzący go agent nie oczekuje. Andy Osnard więc zyskuje w ten sposób mocne podstawy do tego, aby domagać się od centrali pieniędzy, by opłacać cennego i dobrze poinformowanego współpracownika. Pieniądze dostaje i opłaca swojego tajnego współpracownika, ale tylko częściowo: pieniądze, owszem, wędrują do kieszeni krawca Pendela, ale znaczna ich część ląduje w kieszeni Osnarda.

Zachodzi podejrzenie, że w mechanizmie opisanym przez znawcę instytucji agenturalnych należałoby poszukać powodów, dla których pracownicy ówczesnych służb specjalnych tak intensywnie szukali dla siebie współpracowników i oferowali im wynagrodzenie. Można bowiem przypuszczać, iż pozyskiwali oni

gorliwie tajnych współpracowników dlatego, że dzięki posiadaniu pokaźnego stadka agentów mogli sami sięgać szczodrą ręką do powierzonych im środków *a konto* swoich współpracowników. Można też przypuszczać, że czynili to w zamian za informacje, które były tyle samo warte, ile warte były informacje krawca z Panamy. Wydaje się także, że relacja między pracownikiem służb specjalnych i zmuszoną do współpracy osobą była z reguły mniej więcej taka, jak symbioza między panamskim krawcem i jego brytyjskim szantażystą: pierwszy był zmuszany do „szycia" informacji po to, aby drugi mógł „kroić" na kasę swoich mocodawców.

Komercjalizacja PRL-u

Innymi słowy, dzięki zalążkom kapitalizmu, których nigdy w PRL nie udało się całkowicie stłumić, oraz dzięki powolnej komercjalizacji PRL, komercjalizacji i kapitalizacji uległy z czasem także jej służby specjalne. Musiało to sprzyjać generowaniu ich współpracowników w przyspieszonym tempie. To właśnie dzięki temu mechanizmowi dzisiejsi gończy „IV RP" mają kogo lustrować: podejrzanych o „zbrodnie komunistyczne" jest bowiem kilkaset tysięcy ludzi. Gdyby nie zadano ustawowego gwałtu dość jednoznacznemu terminowi „zbrodnia", nad czym większość z ludzi w Polsce, w tym prawników, bez odruchu protestu przeszła do porządku dziennego, i gdyby tych kilkaset tysięcy podejrzanych faktycznie popełniło zbrodnie, lecz nie w ustawowym, ale w potocznie przyjętym sensie tego słowa, to liczebność narodu polskiego musiałaby być znacznie mniejsza.

Sama wielkość liczby podejrzanych świadczy o tym, ile byli warci ówcześni współpracownicy służb specjalnych, a także ile warte były ich „haniebne" „zbrodnie". Wiele bowiem wskazuje, że byli oni tyle warci, ile kasy dzięki nim mogli wydobyć z funduszy operacyjnych „prowadzący" ich pracownicy służb specjalnych. Mniej więcej tyle samo warte były ich zbrodnie. Zanim więc ktokolwiek powie o „hańbie", która spada na Marka Piwowskiego czy arcybiskupa Stanisława Wielgusa za to, iż pobierali pieniądze za swoją współpracę, niech wskaże także, jakie hańbiące czyny pokalały im ręce. Ponieważ jednak poza pożółkłymi świstkami, potwierdzającymi zgodę na współpracę ze służbami, trudno zazwyczaj znaleźć świadectwa faktycznie popełnionych zbrodni w zwyczajnym sensie, to — w zastęp-

stwie tych zbrodni — za zbrodnię popełnioną przez wielu ludzi uważa się fakt, iż nie byli bohaterami, lub że padli oni ofiarami szantażu urzędników minionego reżymu.

Bohaterowie naszych czasów

Zgodnie z semantyką języka, obowiązującego przed dokonanymi obecnie, rewolucyjnymi operacjami semantycznymi, bycie ofiarą nie może być uznane za zbrodnię. Ale także ówczesny brak bohaterstwa wielu ludzi również nie może być uznany za zbrodnię. Co najwyżej za „zbrodnię komunistyczną". Nie może być też uznany za tchórzostwo. Problem bowiem polega na tym, że wówczas wielu ludzi, którzy nie chcieli przeciwstawić się ówczesnemu reżymowi, wcale nie było tchórzami. Oni tylko nie chcieli być bohaterami w takim sensie, jaki już wtedy z wolna zaczynał obowiązywać i powoli obejmował tylko wrogów minionego systemu, systematycznie, ale za to bezpowrotnie wypychając z kręgu bohaterstwa bohaterów poprzedniego systemu.

Innymi słowy, nie chcieli oni zaakceptować słowotwórczej operacji na terminie „bohaterstwo", która zaczęła dokonywać się już wtedy i której skutki, choć w histerycznym nasileniu, obowiązują dotychczas. W rezultacie tej operacji semantycznej, bohaterem naszych czasów może być tylko wróg dawnych czasów. Zgodnie z panującym obecnie, zerojedynkowym poglądem, skrupulatnie utrwalonym w ustawie lustracyjnej, kto nie był wrogiem tamtego systemu, musi być wrogiem systemu obecnego. Według obecnie obowiązującej, rewolucyjnej semantyki moralnej, to właśnie jest jego właściwa, autentyczna i największa zbrodnia.

Handel martyrologią

Innym powodem, dla którego nie chciałbym szukać zadośćuczynienia za swoje peerelowskie cierpienia jest to, że niebawem po ustanowieniu III RP wszyscy w Polsce mieli okazję oglądać wyjątkowo przykry spektakl komercjalizacji martyrologii przez niektórych nowo wykreowanych bohaterów walki o niepodległość Polski. Niektórzy z nich bowiem występowali przeciwko III RP z żądaniem finansowego zadośćuczynienia za swoje cierpienia doznane ze strony PRL-u. Jako pierwszy zapewne uczynił to niejaki Słowik, który, choć jego działalność zarówno opozycyjna, jak i konstruktywna nie jest szerzej znana, to swoją mar-

tyrologię wycenił na kilkaset milionów dawnych złotych i od niezawisłego sądu oraz podatników je otrzymał. Kolejni handlarze osobistej martyrologii poszli jego śladem, choć stosowali inne, często nowatorskie metody kupieckie i szło im o inne, zazwyczaj znacznie wyższe stawki.

Bez początku

Ten rozdział nie ma początku. Powinienem był w nim opisać moje zaangażowanie w strajki studenckie w 1981 roku, ten niezwykły, karnawałowy czas niepewnej, chybotliwej i brutalnie przerwanej wolności. Niemal każdy biuletyn naszego biura strajkowego został wyklepany na matrycach przeze mnie; drukował je później na powielaczu nieustępliwy i bohaterski, ale nieżyjący już Tomek Wacko.

Nie ma w nim tego, jak w okresie stanu wojennego moi ówcześni koledzy ze studiów, w tym pewien bardzo znany obecnie polityk, z kilkudziesięciogodzinnym opóźnieniem powiadomili mnie o tym, że jeden z nich, pod presją szantażu, zdradził służbie bezpieczeństwa, zresztą zgodnie z prawdą, że to ja rozpowszechniam maszynopisy z tłumaczonymi przez siebie tekstami z prasy zachodniej. Mój kolega doniósł na mnie, lecz nie powiadomił mnie bezzwłocznie o tym. Powiadomił za to innych moich kolegów, którzy jednak nie dali mi żadnego znaku o niebezpieczeństwie, choć mieli po temu okazję i choć doskonale wiedzieli, że mój pokój w akademiku był wtedy pełen bibuły, którą w panice musiałem ukrywać, by ocalić zarówno bibułę, jak i siebie samego. Tą bibułą było pięć przepisywanych przeze mnie na maszynie egzemplarzy nie opublikowanego dotąd przekładu książki Karla Poppera *Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie*. Przekładu dokonał mój nauczyciel estetyki, który dzięki prasowemu donosowi Jarosława Ładosza, mojego nauczyciela materializmu dialektycznego, został niebawem wypędzony z Polski i od tamtej pory pracuje w Nowym Jorku.

Nie ma w nim tego, jak we współpracy z bardzo ważnym obecnie urzędnikiem miejskim Wrocławia publikowałem w wydawnictwie podziemnym przekład rozdziału *Drogi do zniewolenia* Friedricha von Hayeka. Gdy przekład, którego z obawy nie podpisałem nazwiskiem, już się ukazał, ze zdumieniem dowiedziałem się, iż za autora mojego przekładu podaje się ktoś,

kto kiedyś był również szeroko znanym niepodległościowym politykiem, obecnie zaś jest miernym felietonistą.

Nie ma w nim tego, jak wziąłem udział w pierwszych wrocławskich zamieszkach na placu Pereca w proteście przeciwko stanowi wojennemu, o pół włosa unikając wystrzelonego przez ZOMO w moim kierunku pocisku z gazem łzawiącym, podczas gdy wszyscy moi niepodległościowi koledzy siedzieli bezpiecznie w nieodległym akademiku, czekając na rezultat tych starć. Zgodnie z polską inteligencką tradycją, po inteligencku debatowali, czy przyłączyć się do demonstracji robotników, czy też może nie. Zapłakany od gazu łzawiącego wróciłem późną nocą na koniec tej, nierozstrzygniętej naturalnie debaty, w której rej wodziła osoba, będąca obecnie innym bardzo ważnym politykiem, choć powody dla jego ważności są mi równie mało znane, jak w przypadku innych, mniej lub bardziej znanych polityków, moich dawnych kolegów.

Nie ma tu także o tym, jak nachalnie zmuszano mnie, bym się zapisał do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, stosując wobec mnie moralny szantaż, że jeżeli tego nie zrobię, to znaczyć to będzie, że jestem agentem SB. Takie bolszewickie *dictum* bardzo ułatwiło mi podjęcie decyzji: nigdy nie zostałem członkiem Zrzeszenia, choć dla niego pracowałem.

Nie ma w nim wreszcie o tym, jak załamany po klęsce listopadowych strajków studenckich, o świcie 13 grudnia 1981 roku, zostałem brutalnie obudzony w pociągu, którym jechałem do odległego o kilkaset kilometrów domu, aby z „właściwego dla miejsca zamieszkania" biura paszportowego wydobyć mój paszport i emigrować z Polski.

Nie ma także o tym, jak w pierwszych dniach stanu wojennego gorączkowo pisałem wojowniczy i kompletnie nonsensowny tekst wzywający do czynnej walki z militarnym reżymem o społeczeństwo otwarte.

Bez końca

Ten rozdział nie ma także końca, w którym opisać by można, co było dalej. Nie ma również końca w tym sensie, że nie potrafiłem się zdecydować, czy podpiszę świstek zwany oświadczeniem lustracyjnym.

Miałem wielką pokusę, aby go nie podpisać. Za niesprawiedliwe uważałem zmuszanie mnie do podpisania tego świstka

dlatego, że nie było na nim rubryki, w której mógłbym napisać wszystko to, co napisałem powyżej, i jeszcze więcej, co pominąłem. Sądzę, że w IPN nic na ten temat nie ma. A jeżeli nic na ten temat nie ma w IPN, to nie istnieje. Nie istnieje w szczególności dla sądu lustracyjnego, ani dla nikogo innego. Nawet jeżeli ustawa nakazywałaby sądowi wzięcie pod uwagę zeznań „podsądnego" i zeznań świadków, to czy sąd, przytłoczony nawałem podobnych spraw, zechciałby wysłuchać tego wszystkiego, co przeżyłem i co zapamiętałem, wziąć to poważnie, oraz, co najważniejsze, dać temu wiarę?

Rozważałem decyzję o nie podpisaniu tego świstka również po to, aby na własnym przykładzie zademonstrować niesprawiedliwość i absurd faktu, że odruch oporu przed złym prawem „IV RP" prowadzi do nieodwołalnej utraty zatrudnienia na 10 lat, do przekreślenia dorobku całego życia akademickiego, a także, wskutek wzbudzania podejrzeń o nieczyste sumienie, do bezpowrotnej utraty dobrego imienia.

Pokusa ta jednak nie była we mnie zbyt silna, ponieważ nie miałam ochoty odgrywać cierpiętnika tego reżymu. Działka cierpiętnictwa z czasów PRL i III RP całkowicie mi wystarczy. Poza tym przecież tak naprawdę wcale nie byłem ofiarą ani PRL-u, ani III RP. Padałem bowiem co najwyżej ofiarą małych, podłych ludzi, którzy mieli swoje małe interesiki i które załatwiali, skrywając je za wielkimi słowami dobra ludowej ojczyzny, i na drodze których miałem nieszczęście niechcący wiele razy stawać. Gdybym zaś nie podpisał świstka „IV RP", to nie stałbym się polityczną ofiarą tego reżymu, lecz ofiarą tak samo małych, podłych ludzików, którzy swoje małe interesiki pokrywają wielkimi słowami prawdy i czystości odnowionej ojczyzny.

Rzecz ciekawa, że niejednokrotnie są to ci sami, mali ludzie, co poprzednio. Swoją drogą, dlaczego oni zawsze są tak niewielkiego wzrostu?...

Jest jeszcze jeden powód, który mimo wszystko skłaniał mnie do podpisania tego świstka. Polegał on na tym, że w owej przeklętej wtedy PRL, kiedy odmawiałem podporządkowania się absurdalnym w mojej opinii nakazom i prawom, zawsze znajdował się ktoś, kto solidarnie stawał po mojej stronie i w mojej obronie, kto wyciągał do mnie rękę, nawet jeżeli mnie nie znał i nawet jeżeli czynił to dla mnie tylko przy okazji, i nie zawsze bezinteresownie. W 2007 roku, odmawiając podpisania absurdalnego

świstka, który kazała mi podpisać „odnowiona" Polska, należało się liczyć nie tylko z bezpowrotną utratą zatrudnienia i środków do życia oraz utratą dobrego imienia, a więc wszystkiego. Należało bowiem liczyć się także z tym, że nikt nie zechce stanąć w mojej obronie równie skutecznie i równie stanowczo, jak wtedy.

Czy bowiem ówczesny Rektor mojej uczelni, dla której pracowałem na różnych funkcjach, odważyłby się przeciwstawić lustracyjnemu prawu, które przecież narzucało zastosowanie bezwzględnego automatyzmu w zwalnianiu dzisiejszych ewentualnych refuzników? Ten automatyzm prawny, gwałcący autonomię uczelni, oznaczał przecież, że nawet gdyby Rektor odważył się przeciwstawić, tak jak kiedyś uczyniła to Prorektor tej samej uczelni, by mnie ratować, to przecież jego sprzeciw niczego by nie wskórał.

Tym sposobem okazało się, że dzięki ustawie lustracyjnej i dzięki władzom „IV RP", które w swej małej i podłej mściwości ją wprowadziły, w odrodzonej ojczyźnie było więcej strachu, więcej upodlenia, mniej solidarności i mniej nadziei, niż było w PRL.

Żal z pozostania

Pamiętam, że wtedy, w czasach PRL, gdy było naprawdę trudno, siły dodawało mi, jak wielu innym, przekonanie, że gorzej już być nie może. A także niezłomna nadzieja na to, pewność wręcz, że musi się zmienić na lepsze. Albo że w ostateczności uda się przynajmniej wyemigrować w lepsze strony świata. Jednak po groteskowej porażce mojej pierwszej emigranckiej próby cały czas miałem w pamięci przestrogę sformułowaną przez pewnego tragikomicznego polskiego emigranta, który rozgoryczony swoją emigracją napisał, że wtedy, przed swoją ucieczką na „Zachód", nie wiedział jeszcze, iż świat dzielił się na dwie połowy, z tym, że w jednej z nich było nie do życia, w drugiej zaś nie do wytrzymania.

Może to śmieszne, ale te słowa, napisane przez miernego i kabotyńskiego pisarza, który nie umiał znaleźć dla siebie miejsca nigdzie na świecie, zawierały w moich oczach istotną mądrość. Mądrość ta stała się dla mnie jednym z ważnych powodów, aby z Polski nie emigrować. Nie sądziłem, iż kiedykolwiek przyjdzie mi żałować, że zostałem.

Bibliografia

An Honorary Citizen's Fall from Grace, „Der Spiegel", 18 sierpnia 2006;

Araloff Simon, *The Visegrad Group. Polish Geopolitical Axis*, http://www.axisglobe.com, dostęp 27 lutego 2006;

Black Tim, *John Gray, The Poster Boy for Misanthropy*, w: „Spiked", 24, maj 2009;

Bokajło Wiesław, Pacześniak Anna (red.), *Równość w Unii Europejskiej. Teoria i praktyka*, Atla2, Wrocław 2008;

Buruma Ian, *śmierć w Amsterdamie. Zabójstwo Theo van Gogha i granice tolerancji*, przekł. Adam Lipszyc, Universitas, Kraków 2008;

Chmielewski Adam, *Dwie koncepcje jedności. Interwencje filozoficzno-polityczne*, Oficyna Branta, Bydgoszcz-Wrocław 2006;

Chmielewski Adam, *Etyka i polityka Alasdaira MacIntyre'a*, w: Alasdair MacIntyre, *Etyka i polityka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009;

Chmielewski Adam, *Miasto mostów — miasto pomost*, rozmowa z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandrem Kwaśniewskim, w: „Uniwersytet Wrocławski", czerwiec 2000;

Chmielewski Adam, *Niewspółmierność, nieprzekładalność, konflikt. Relatywizm we współczesnej filozofii analitycznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997;

Chmielewski Adam, *Prewencja lepsza od terapii*, rozmowa z Marszałkiem Sejmu RP, Markiem Borowskim, w: „Uniwersytet Wrocławski", luty 2001;

Chmielewski Adam, *Społeczeństwo otwarte czy wspólnota?*, Arboretum, Wrocław 2001;

Chmielewski Adam, *Walc wiedeński i walec europejski oraz inne interwencje filozoficzno-polityczne*, Atla2,Wrocław 2001;

Drałus Dorota (red.), *Wizje wspólnoty politycznej*, „Studia Philosophica Wratislaviensia", Instytut Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław, 1, 2009;

Dunin Kinga, *Niewidzialna noga rynku*, „Gazeta Wyborcza" 23 marca 2007;

Dunin Kinga, *Podatki są fajne*, „Gazeta Wyborcza", 24 lutego 2007;

Eccleshall Robert i in., *Political Ideologies*, Routledge, London 1994;

Fukuyama Francis, *A Year of Living Dangerously. Remember Theo van Gogh, and shudder for the future*, Wall Street Journal, 2 lutego 2005;

Furedi Frank, *Hiding behind the veil of Sharia law*, „Spiked", 11 lutego 2008;

Furedi Frank, *Politics of Fear. Beyond Left and Right*, Continuum, London–New York 2005;

Furedi Frank, *Where Have All Intellectuals Gone? Confronting 21st Century Philistinism*, London–New York 2004;

Gadomski Witold, *Rynek jest ciepły*, „Gazeta Wyborcza" 3 marca 2007;

Gessler Philip, *Oh my God! Ratzinger new Pope*, „Die Tageszeitung", 20 kwietnia 2005;

Gray John, *Straw Dogs. Thoughts on Humans and Other Animals*, Farrar, Straus and Giroux, New York, 2002;

Gross Jan T., *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Pogranicze, Sejny 2000;

Gross Jan T., *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008;

Hawley Charles, *The Wounds of World War II, Remembering German Victims*, „Der Spiegel", 10 sierpnia 2006;

Kagan Robert, *Potęga i raj: Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, tłum. W. Turopolski, Warszawa 2003;

Kamenka Eugene, *The Ethical Foundations of Marxism*, Routledge and Kegan Paul, London 1962;

Katznelson Ira, *Krzywe koło liberalizmu. Listy do Adama Michnika*, przekł. Łukasz Nysler, Andrzej Orzechowski, Lotar Rasiński, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2006;

Kertzer David L., *Papieże a Żydzi. O roli Watykanu w rozwoju współczesnego antysemityzmu*, przekł. Agnieszka Nowakowska, WAB, Warszawa 2005;

Kleinfeld Gerald R., *Zderzenie dwóch unilateralizmów*, przekł. Edyta Ratzko i Dawid Karaś, w: „Studia Philosophica Wratislaviensia", Wrocław 2009;

Krastev Ivan, *The New Europe: Respectable Populism, Clockwork Liberalism*, w: „openDemocracy", 21 marca 2006;

Łagowski Bronisław, *Duch i bezduszność III Rzeczypospolitej. Rozważania*. Universitas, Kraków 2007;

Łagowski Bronisław, *Klamra Zdrojewskiego*, „Przegląd", 35, 6 września 2009;

Łagowski Bronisław, *Pochwała politycznej bierności*, Wydawnictwo Sprawy Polityczne, Elbląg 2008;

Lantis Jeffrey, *Strategic Dilemmas and the Evolution of German Foreign Policy since Unification*, Praeger Publishers, Westpost, Ct, 2002;

MacIntyre Alasdair, *Czyja sprawiedliwość? Jaka racjonalność?*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, przekł. Adam Chmielewski i in., Warszawa 2007;

MacIntyre Alasdair, *Dziedzictwo cnoty. Studium z teorii moralności*, przekł. Adam Chmielewski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996;

MacIntyre Alasdair, *Marxism and Christianity*, Pelican Books, Penguin, London 1995;

Mann Thomas, *Czarodziejska góra*, przekł. Józef Kramsztyk, Czytelnik, Warszawa 1982;

Marks Karol, Engels Fryderyk, *Manifest komunistyczny*, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Pisma wybrane*, PWN, Warszawa 1979;

Nagorski Andrew, *Poland's Imperfect Revolution*, „Foreign Policy", lipiec/sierpień 2006;

New Setback in German-Polish Ties, „Der Spiegel", wrzesień, 2006;

Nussbaum Martha C., *Body of Nation: Why Women Were Mutilated in Gujarat*, „Boston Review", September 2004; wyd pol.: *Ciało Narodu. Dlaczego w Gujaracie okaleczano kobiety?*, przekł. Karolina Skarbek i Grzegorz Maryniec, w: *Demokracja, Konflikt, Wykluczenie. Krytyczne perspektywy współczesnej teorii społecznej i filozofii politycznej*, red. Mariusz Turowski i Jakub Nalichowski, Instytut Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2008;

Ost David, *Klęska „Solidarności". Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, przekł. Hanna Jankowska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza S. A., Warszawa 2007;

Phillips Kevin, *American Theocracy, The Perils and Politics of Radical Religion, Oil, and Borrowed Money in the 21st Century*, Viking, Penguin Group, London 2006;

Piwowski Andrzej, *Profesorowie w odstawce*, „Przegląd", 42 (95), 8 października 2001;

Poland Demands Apology. Polish PM Prickled by 'Spud' Slander, „Der Spiegel", 11 lipca 2006;

Rawls John, *Political Liberalism,* Columbia University Press, New York, 1993; wyd. pol.: *Liberalizm polityczny*, przekł. Adam Romaniuk, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa;

Robins Robert S., Post Jerrold M., *Paranoja polityczna. Psychopatologia nienawiści*, Książka i Wiedza, Warszawa 2007;

Robotnicy żądają podwyżek. Firmy podniosą ceny, „Gazeta Wyborcza", 14 maja 2007;

Rochefoucauld La, *Maksymy i rozważania moralne*, przekł. Tadeusz Żeleński (Boy), Książka i Wiedza, Warszawa 1996;

Russell Bertrand, *Portrety z pamięci. Wartość wolnej myśli*, przekł. A. Chmielewski, Wrocław 1995;

Sachs Jeffrey, *Koniec z nędzą. Zadanie dla naszego pokolenia*, przekł. Zofia Wiankowska-Ładyka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006;

Schmitt Carl, *The Concept of the Political*, Rutgers University Press, New Brunswick, New Jersey, 1976;

Schumpeter Joseph A., *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, przekł. Michał Rusiński, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995;

Shusterman Richard, *Fallibilism and Faith*, „Common Knowledge", 13, 2007;

Shusterman Richard, *O sztuce w życiu, Od poetyki hip-hopu do filozofii somatycznej*, przekł. Wojciech Małecki, Atla2, Wrocław 2007;

Silna Polska w silnej Europie, materiały z IV konferencji Międzynarodowego Klubu Polityki, Uniwersytet Wrocławski, 13 października 2004 roku, Biuro Integracji Europejskiej Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa 2004;

Singer Peter, *What Should a Billionaire Give — and What Should You?*, „The New York Times Magazine", 17 grudnia 2006;

Skidelsky Edward, *Habermas versus the Pope*, „The Prospect Magazine", 116, listopad 2005;

Staniszkis Jadwiga, *Fanatycy ożywiają ducha wolności*, „Dziennik", 14 lipca 2007;

Szabo Stephen F., *The Poisoned Relationship. Germany, The United States, and the Election of 2002*, [w:] *A Precarious Victory. Schoeder and the German Elections of 2002*, (eds.) David P. Conradt, Gerald R. Kleinfeld, Christian Søe, Berghahn Books, New York–Oxford 2005;

Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przekł. Kazimierz Kumaniecki, Czytelnik 1957;

Waffen SS Admission. Grass Seeks to Cleanse Reputation, „Der Spiegel", 17 sierpnia 2006;

Walicki Andrzej, *Marksizm i skok do królestwa wolności, Dzieje komunistycznej utopii*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996;

Walicki Andrzej, *O inteligencji, liberalizmach i o Rosji*, Universitas, Kraków 2007;

Wertyczko Jacenty, *Zuzanna i starcy*, „Przegląd", 20, 5 maja 2003;

Wolność, nie równość, rozmowa z Januszem Lewandowskim, „Gazeta Wyborcza", 15–16 stycznia 2000;

Znaniecki Florian, *Stan obecny technologii społecznej* (1939) w: tenże, *Społeczne role uczonych*, wybór, wstęp, przekład tekstów angielskich i redakcja naukowa Jerzy Szacki, Państwowe Wydawnictw Naukowe, Warszawa 1984;

Žižek Slavoj, *Przekleństwo fantazji*, przekł. Adam Chmielewski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2001.

Žižek Slavoj, *Two Totalitarianisms*, „London Review of Books", 17 marca 2005.

Indeks autorów

Adamko Jerzy, 18
Ali Ayaan Hirsi, 126
Allen Woody, 45, 51
Araloff Simon, 23, 181

Balcerowicz Leszek, 80
Banach Stefan, 144
Barber Benjamin, 69
Bartoszewski Władysław, 32
Benedykt XVI, 114
Berlin Isaiah, 164
Beveridge William Sir, 76
Black Tim, 15, 181
Blagojevich Rod R., 105
Blair Tony, 67, 89
Bokajło Wiesław, 18, 19, 181
Borowski Marek, 59, 136
Böckenforde Ernst-Wolfgang, 115
Bremmer Paul, 60
Brosnan Pierce, 173
Brown Gordon, premier Wielkiej Brytanii, 124
Buffet Warren, 96
Bugaj Ryszard, 56
Burke Edmund, 72
Buruma Ian, 127
Bush George W., 40

Cassirer Ernst, 114
Chirac Jacques, 39
Chmielewski Adam, 7, 8, 38, 66, 67, 73, 74, 77, 112, 129, 135, 136, 181–185
Ciechowski Grzegorz, 151
Cieszkowski August, 151
Cimoszewicz Włodzimierz, 59
Clermont-Tonnere, hrabia Stanislas Marie Adélaide de, 127, 128
Conradt David P., 25, 185
Csurka Istvan, 77
Curie-Skłodowska Maria, 19, 144

Diogenes z Synopy, 106
Dodds Elliot, 75
Drałus Dorota, 19, 22, 182
Dumas Roland, 22
Dunin Kinga, 62, 81, 182
Duszyński Jerzy, 139
Dyduch Marek, 61–63
Działocha Kazimierz, 138

Eccleshall Robert, 72, 76, 182
Engels Fryderyk, 87, 183

Fini Gianfranco, 77

Fortuyn Pim, 77
Fotyga Anna, 31
Francisco Franco , 27
Frey Gerhard, 77
Fukuyama Francis, 127, 182
Furedi Frank, 7, 8, 13, 14, 125, 126, 182

Gadomski Witold, 46, 81, 182
Gates Bill, 96, 151
Geissel Johannes von, kardynał, arcybiskup Kolonii, 119
Genscher Hans Dietrich, 22
Geremek Bronisław, 77
Gessler Philip, 113, 114, 182
Gibbon Edward, 147
Giertych Maciej, 27
Giertych Roman, 26, 27
Goldfarb Jeffrey C., 19
Grass Günther, 35
Gray John, 15, 16, 97, 99, 181, 182
Gretkowska Manuela, 62, 63, 71
Gross Jan Tomasz, 122, 147, 148, 182
Gudzowaty Aleksander, 61
Guizot François, 147
Günther Anthon, 119

Haas Lukas, 45
Habermas Jürgen, 114–116, 150, 185
Haider Jörg, 77
Hawley Charles, 33, 182
Hayek Friedrich von, 48, 49, 97, 176
Hegel Georg W., 74, 84
Heidegger Martin, 114
Hobbes Thomas, 4, 82
Hobhouse L. T., 76
Hobson John A., 76
Houllebecq Michel, 63
Hudzik Jan P., 17–19

Innocenty IV, papież, 122

Jan Paweł II, papież, 22, 114
Janion Maria, 146
Jankowska Hanna, 9, 184
Jaruzelski Wojciech, 65, 66
Jurek Marek, 46

Kaczyński Jarosław, 26–28, 31, 33, 34, 40, 46, 51, 53, 56, 57
Kaczyński Lech, 26, 28–32, 46, 53, 56
Kagan Robert, 37, 182
Kamenka Eugene, 84, 183
Kamiński Mariusz, 57
Kant Immanuel, 146
Karaś Dawid, 37, 183
Katznelson Ira, 11, 89, 183
Kerry John, 114
Kertzer David L., 122, 183
Kiš Janoš, 75
Kleinfeld Gerald R., 19, 25, 37, 183, 185
Kołakowski Leszek, 163, 164
Kohl Helmut, 22, 28
Köhler Horst, 33, 34
Köhler Peter, 30
Kolasiński Marek, 79
Kopernik Mikołaj, 144
Korwin-Mikke Janusz, 81
Kramsztyk Józef, 86, 183
Krastev Ivan, 79, 80, 183
Krzaklewski Marian, 79
Krzywicka Irena, 144
Krzywicki Ludwik, 144, 150
Kumaniecki Kazimierz, 157, 185
Kwaśniewski Aleksander, 26, 40, 46, 51, 54–56, 59, 63, 108, 135–137, 181

La Rochefoucauld, 42, 184
Lantis Jeffrey, 183
Le Carré John, 173
Le Pen Jean-Marie, 77
Leon XIII, papież, 79
Lepper Andrzej, 26, 51, 52, 76, 77, 80, 81
Lewandowski Janusz, 73, 185
Lipszyc Adam, 127, 181
Lityński Jan, 55
Lukács György, 85
Luty Tadeusz, 159

Ładosz Jarosław, 176
Łagowski Bronisław, 6, 7, 9, 21, 170, 183
Łukasiewicz Ignacy, 146

Macierewicz Antoni, 32, 56
MacIntyre Alasdair, 8, 85, 129, 181, 183
Madoff Bernard, 106
Małecki Wojciech, 112, 184
Mann Thomas, 85, 86, 183
Marcinkiewicz Kazimierz, 34
Marks Karol, 47, 48, 84–87, 89, 98, 99, 167, 183
Maryniec Grzegorz, 18, 120, 184
Mazowiecki Tadeusz, 22
Mazurkiewicz Marek, 138
Meciar Vladimir, 77
Meller Stefan, 26
Merkel Angela, 25, 28–31, 33, 40
Michnik Adam, 11, 65, 66, 71, 76, 79–81, 83, 88, 183
Mika Bascha, 31
Milewicz Ewa, 56
Mill John Stuart, 75
Miller Leszek, 24, 39, 46, 51, 63, 78, 108

Nagorski Andrew, 41, 183
Nalichowski Jakub, 120, 184
Neurath Otto, 132, 133
Nussbaum Martha C., 18, 91, 120, 184
Nysler Łukasz, 11, 183

Orzechowski Andrzej, 11, 183
Ost David, 8–11, 53, 184

Pacześniak Anna, 18, 181
Pawelka Rudi, 35
Pawlak Waldemar, 76
Peirce Charles Sanders, 117
Phillips Kevin, 100–102, 184
Piketty Thomas, 92
Pius IX, papież, 119
Piwowski Andrzej, 18, 138, 184
Piwowski Marek, 172, 174
Połomski Franciszek, 138
Popper Karl R., 99, 151, 165, 167, 176
Post Jerrold M., 5, 184
Proudhon Pierre-Joseph, 85
Putin Władimir, 25, 30

Quine Willard Van Orman, 132

Rakowski Mieczysław, 54
Ranke Leopold, 147
Rasiński Lotar, 11, 183
Ratzinger Joseph (Benedykt XVI, papież), 113–118, 128, 182
Ratzko Edyta, 37, 183
Rawls John, 82, 184
Robins Robert S., 5, 184
Rokita Jan M., 46, 53, 56, 57
Romaniuk Adam, 82, 184
Rorty Richard, 150
Rush Geoffrey, 173
Rusiński Michał, 98, 184
Russell Bertrand, 72, 73, 184

Rydzyk Tadeusz, 32, 46, 59

Sachs Jeffrey, 93, 184
Saez Emmanuel, 92
Salazar Antonio, 27
Sarkozy Nicolas, 40
Schmitt Carl, 22, 52, 123, 184
Schröder Gerhard, 23–25, 33, 39, 40, 89
Schumpeter Joseph, 12, 98–100, 105–107, 150, 184
Shusterman Richard, 18, 111–113, 117–120, 124, 184
Sierakowski Sławomir, 61, 62
Sikorski Radosław, 30, 38, 40, 59, 60
Singer Peter, 92, 93, 185
Skarbek Karolina, 120, 184
Skidelsky Edward, 115, 116, 185
Skubiszewski Krzysztof, 22
Sladek Miroslaw, 77
Slota Jan, 77
Słonimski Antoni, 83
Słowik Andrzej, 175
Søe Christian, 25, 185
Sorel Georges, 84
Staniszkis Jadwiga, 51, 52, 61, 185
Steinbach Erika, 33–35
Strachey Lytton, 83, 138
Suchocka Hanna, 134
Sullivan Andrew, 113
Szabo Stephen F., 25, 37, 185
Szacki Jerzy, 132
Szela Jakub, 76

Środa Magdalena, 62

Tarski Alfred, 144
Thatcher Margaret, 67
Toynbee Arnold, 147
Tukidydes, 157, 160, 185
Turko Ludwik, 138
Turopolski Witold, 37, 182
Turowski Mariusz, 120, 184
Tusk Donald, 26, 46, 56, 57

Urban Jerzy, 58

Van Gogh Theo, 126, 127, 181, 182

Wacko Tomasz, 176
Walicki Andrzej, 47–49, 185
Wells George H., 83
Wertyczko Jacenty, 18, 140, 148, 185
Wiśniewski Michał, 151
Wiśniowiecki Michał Korybut, 151
Wiankowska-Ładyka Zofia, 93, 184
Wielgus Stanisław, 174
Wilde Oscar, 83, 163
Williams Rowan, arcybiskup Canterbury, 120, 121, 123–125
Witos Wincenty, 76
Wittgenstein Ludwig, 165
Woleński Jan, 144, 146, 168

Zarzycki Roland, 18
Ziętek Agnieszka, 17
Ziemkiewicz Rafał, 78
Ziobro Zbigniew, 57
Znamierowski Czesław, 5
Znaniecki Florian, 131, 132, 144, 185

Żeleński Tadeusz (Boy), 42, 184

Žižek Slavoj, 65, 66, 96, 170, 185

Adam Chmielewski
Psychopathology of the Political Life.
An Illustrated Textbook

Contents

Introduction 5

1. The Struggle for Recognition. Germany and Poland in the European Union 21
2. Expansion of the Battlefield 45
3. Why Polish Liberals Need the Left? 65
4. The Crisis 97
5. Religion and the Limits of the Powerlessness of the State 111
6. Self-Induced Ascetism, Academic Style 132
7. Two Slips of Paper 157

Bibliography 181
Index of Authors 186
Summary 191

SUMMARY

Psychological aspects of political life constituted a subject of the keen philosophical interest ever since the most ancient times. Insightful observations of the psychological phenomena which have filled the political space established by the Athens's democratic experiment have become a basis for political theories of the greatest Greek philosophers, Plato and Aristotle. A deep appreciation of political significance of human social emotions has played an equally fundamental role in the political works of Niccolò Machiavelli, Thomas Hobbes, Jean-Jacques Rousseau, Adam Smith and John Locke. They have been of the greatest import for David Hume, the leading thinker of the Enlightenment who in this, as well as in other matters, has adopted a deep sceptical attitude toward the Enlightenment belief in reason as capable of exerting its regulatory and controlling power over emotions, famously arguing that reason is and ought only to be a slave of the passions.

The Athenian democracy has opened the space for a more egalitarian expression of the political agency of human individuals for the first time in history. Development of contemporary democracies, together with the accompanying technological and social advance, has resulted in opening of the public space for the human individuality more widely than ever before. Since the sphere of human subjectivity is capable of more dynamic transformations than other aspects of social life, and since, within the liberal democracies, subjectivity and emotionality reveal themselves both in an unprecedented degree and in a diversity of novel forms, some of which tend to undermine the social stability, they often come to be perceived as pathological ones. For this reason an inquiry into political phenomena considered

pathological has now become an independent and well defined subject of scholarly interest.

This book is about political emotions; it is also about political methods of controlling and managing them. It has been written from a rather uncontroversial point of view according to which emotions play a crucial and an indispensable role in the functioning of human societies. I also believe that, perhaps more controversially, that the dynamics of human subjectivity is of a fundamental importance in the sphere of knowledge, in the moral conduct, in the artistic creation, as well as in the matters of politics. It is thus only natural that one of the chief tasks of politics should be seen as an intelligent understanding of them, their adequate interpretation, and an innovative search for effective methods of their regulation and control. Conceptions of political philosophy which disregard the sphere of human emotions cannot be adequate.

This book, however, is not so much a theoretical contribution to the political science of human emotions, but rather an analysis of some pathological phenomena which made themselves felt, sometimes very acutely, within the contemporary Polish politics. It has been designed as a collection of illustrations of a claim that the presently dominant forms of Polish politics, and new developments within it, are a result of the psychopathologies responsible for a gradual decline and degradation of the Polish political space as a whole; a decline which seems already irreversible.

I argue that the degradation in question stems to a large extent from a failure of the Polish political elites adequately to understand and manage the emotions of the Polish society. According to the interpretation put forward here, the failure has been a cumulative effect of various modes of political disregard, misuse and abuse of social emotions. More specifically, it has been the failure resulting from an inability of one part of the Polish political elites to understand the role played by the "political emotional variable", and the cynical instigation and exploitation of it in the political struggles by an another part. In my opinion, all forms of these misuses result in a manifest disregard of a common good. In particular, the present degenerative trend in the Polish politics I attribute especially to pathological modes of employment of social emotions by leading figures of the Po-

lish political right, themselves no less pathological in character, who have claimed a (temporary) success in hijacking the Polish politics and have pushed it into the abyss of a new form of the authoritarian populism. For this reason, despite the fact that the book is published at the time of celebrations of the 20th anniversary of the commencement of the democratic transformation of the country, it has not been written in a self-congratulatory style.

Pathologies described in this book reveal themselves not only in the area of the practical political life in Poland, but also within the narrower scope of the Polish political debates. The specific Polish understanding of political ideologies of liberalism, conservatism and the leftist thought is the case in point. Drawing on the recent writings by Bronisław Łagowski, David Ost, Andrzej Walicki, Adam Michnik, as well those of Frank Furedi and John Gray, I argue that a specific Polish brand of liberalism, both in its practical as well as doctrinal dimensions, is responsible for squandering the emancipatory potential of the "Solidarity" movement, for generating a variety of political problems which stand in the way of the badly needed and much delayed modernisation of the country, and for contributing to the rise of the authoritarian populism in Poland.

In Chapter 1, *The Struggle for Recognition. Germany and Poland in the European Union*, the attention is focused on a radical reversal in the Polish foreign policy after 2005. The peaceful transformation of the country initiated by the roundtable talks in 1989 has become a symbol of an unprecedented change in the course of Poland's recent history. It has also been interpreted as turning point in traditional Polish attitude to the history itself. The spirit of peaceful transformation has dominated the first 15 years of the transition from Communism to democracy; it seemed that, ever since, the history for the Poles will be transformed not by desperate violent uprisings but through peaceful processes of negotiations and mutual understanding. It also seemed that, from that crucial point on, Poland will be eager to learn, like other European countries did, to reconcile its newly recovered national identity with other ones within the European framework. During that time Polish foreign policy has been almost unanimously understood as a way of promoting national interest through cooperation and agreement, and not through,

often futile, even if justified, resistance and violence. Such an attitude has informed the Polish foreign policy especially toward the immediate neighbours, Germany in particular. It seemed certain that the old Polish saying which may be roughly translated: "As long the world is the way it is, a German will never be a Pole's brother", will never be revivified as the chief principle in Poland's relation with Germany. The general elections in 2005, however, have marked a beginning of a dramatic setback in this respect. It has been effected by extreme nationalist and populist parties of the Polish right who professed a specific version of exterminative politics, inspired by the political philosophy of Carl Schmitt. As a result, the Polish foreign policy has become almost completely subsumed to the disastrous pre-war principle of "two enemies", the enemies being Poland's powerful neighbours, Russia and Germany. By reference to several incidents in the German-Polish relations in 2005–2007, as well as to the Hegelian concept of the struggle for recognition, I explain how this came about.

The title of the Chapter 2, *Expansion of the Battlefield*, has been borrowed from Michel Houllebecq's novel *Extension du domaine de la lutte*. It is devoted to the predicament in which the Polish leftist political movements have found themselves twenty year after the demise of the "really existing socialism", and to the misbegotten attempts to recover their old vigour and popular support. A failure of a recent attempt to revive the Polish political left has been attributed to the fact that a coalition of several leftist parties, formed in the run-up to the general elections in 2007, has disregarded the potential of political anger organised by some trade union associations and by a newly established women's party. I argue that this disregard has eventually led to a failure to expand the political battlefield, and that its expansion could have secured a larger electoral support for a more egalitarian political agenda.

The aim of Chapter 3, *Why Polish Liberals Need the Left?*, is to provide a tentative answer to the question concerning the prospects for an alliance between liberalism and social democracy. My response to the question is twofold. In the first part of the chapter I argue that, yes, from the point of view of present problems in Western countries, the prospects for such marriage are bright indeed. I support this answer by a diagnosis of the cur-

rent status and role of liberalism in Poland's present political space. I argue that chief reason for the current crisis of liberalism in Poland is a general tendency toward self-limitation of the Polish liberal parties in the implementation of a social emancipatory tasks. For, from the very beginning of socio-political transformation of the country, the Polish liberals have deliberately confined their political interests to the economic sphere, and worked to create the entrepreneurial class as well as to enhance its social and political role. At the same time, no less deliberately, the Polish liberals have neglected egalitarian demands for the emancipation of wide social strata within the social, cultural and political spheres. As a result of this deliberate exclusionary self-limitation, some important areas of the public space, deserted by liberals, have been filled by radical, nationalist and fundamentalist political parties which in 2005 have won a significant popular support and marginalised the liberal movement itself. I point out also to the fact that a similar failure has been suffered by Polish political parties which, although nominally leftist, have in fact pursued a neo-liberal agenda. I argue that in order to regain some level of political stability and accountability, Polish liberals, in order to avert the danger of an repeated marginalisation, would have to address a range of current economic, social and cultural demands, engaging in this with the parties of the left.

In the second part of the chapter, however, I reconsider the above affirmative opinion by reference to some global problems. The analysis seems to point out to a pessimistic conclusion that in the face of global problems a genuine attempt to universalise the imperatives of both liberty and equality must fail. As a consequence, the marriage between liberalism and social democracy, instead of being an exemplar of a decent and generous marital couple, seems to become a morally questionable, gangster-like collusion against the excluded and the poor in Developing Countries.

In Chapter 4, *The Crisis*, I attempt to throw some light on the recent global economic crisis. By reference to Joseph Schumpeter's theory of capitalism and his prophecy of its demise, I argue that the recent crisis should be understood as a result of an extreme intensification of the principles which constituted the very essence of a neoliberal vision of economy. Analysing some

aspects of the dynamics of the changes in the American productivity, I draw attention to two trends which contributed to the fall of the American economic power. One of them is the transfer of jobs to the regions of the world where the surplus of labour force abounds, the second is the gradual "de-materialisation" of the US economy. I contend that the latter trend, encouraged by the monetarist economic theory, has eventually led to a deep change in the function of money; in consequence of the neoliberal dogma, the money in the US economy has been increasingly used not so much to organise the production, distribution and consumption of goods, but to the wilful generation of the money-like products. As a result of the failure of the US federal supervising agencies to control these practices, the unrestrained "production" of largely worthless bonds and other papers by the unsupervised banks and funds was tantamount to forgery of the coin which, subsequently distributed liberally across the world, has had disastrous consequences to some states, robbing them and their citizens of their savings. I also devote some space to the actual and possible effects of the global crisis on the Polish economy.

In Chapter 5, *Religion and the Limits of the Powerlessness of the State*, I address the issue of the place of religion in the public life of contemporary Western societies. I argue that since the state founded on religious laws has proven to be incapable of preserving peace and tolerance between citizens professing different religions, and since it would be unreasonable to expect a fallibilist humility and moderation from religions in discharging their respective missions, it should be the task of the state to ensure a framework in which individuals may be able to live in peace, irrespective of the differences of the outlooks or religions they profess. In conclusion, referring to the famous speech by Stanislas Clermont-Tonnere in which he proposed to deny the collective recognition to religious groups within a state, while offering a full range of rights to their individual members, I propose that a solution of the problem of the place of religion in contemporary societies will have to be based on a conjunction of two distinctions: one, between the positive and negative recognition, and the other, between the individual and collective recognition. According to the proposed idea, the contemporary state is to extend its negative recognition to those groupings

of its citizens which have proven themselves incapable of observing the principles of toleration, and, simultaneously, a positive recognition of the civic right of their members as individuals. This solution naturally involves a presumption of the validity of a third distinction, between the private and the public. Even though the distinction between the private and the public has been repeatedly undermined by the argument that all private is political, and by the fact that, from an agonistic view of the political, it cannot be precisely delineated once and for all, it nevertheless points to a political measure which follows from an awareness that a legitimate state cannot become a safe-haven to all religions professed by its citizens if it is not able to transcend all their incompatible claims to incontestable truth. This cannot be achieved by a state that proclaims it own complete helplessness versus religions.

The final two chapters are devoted to the present grave problems faced by the higher education and the scientific research in Poland. In Chapter 6, *Self-Induced Ascetism, Academic Style*, I attribute the recent crisis of the Polish Academia to a disregard of the Polish state authorities of its duties in supporting the innovative humanistic, scientific, and technological investigations conducted by the Polish scholars at their home universities. The bitter diagnosis of the present predicament of the Polish universities I supplement by a proposal to remedy the situation by an immediate introduction of students' tuition fees, as well as a scheme for its distribution and spending.

The subject of the Chapter 7, *Two Slips of Paper*, is an aborted attempt to subject the academic staff to the so-called lustration by the Polish authorities in 2007. Having recounted some personal adventures and repressions endured by myself during my academic career in Poland, and the complexity of choices faced by the academics during the Communist regime, I attempt to demonstrate how and why the lustration bill was tantamount to an unprecedented and grossly unjust violation of human rights and as well as of the academic freedoms and autonomy. I also try to explain why and how both the construction and the popular construal of the lustration law now results in an undeserved sentencing of many individuals to life-time infamy and condemnation.

John Gray, one of the most incisive contemporary thinkers, has recently become famous for his bleak outlook as for the future fate of humanity. Someone even wondered where a misanthrope like him finds a motivation to get out of bed every morning. While pondering on the topics discussed here, I have found, somewhat to my own surprise, that the overall conclusions of the book are rather gloomy and that, like Gray, I increasingly tend to adopt a grim view of the future as far as both the Polish and global politics are concerned.

Despite the initial optimism which inspired me to put together this book, I have found, gradually, fewer reasons to continue to hold on to it.

Adam Chmielewski
Wrocław, September 2009